

Krajobraz po szoku



wydawnictwo
przedświt

tematy **KARTY**

TEMATY KARTY

Krajobraz

po szoku

© Copyright by KARTA, 1989

Redaktor prowadzący:

EWA ŻYLINSKA

Przedstawiciel KARTY:

Małgorzata Gizejewska
02-917 Warszawa
ul. Morszyńska 7 m. 1

TEMATY KARTY

Krajobraz po szoku

Gustaw Holoubek	6
Stefan Móravski	13
WYPISY	25
Jan Lityński	46
"Maria Szerszeń"	54
"Barbara Dąbrowska"	65
Henryk Szlajfer	73
Aleksander Perski	80
Natan Tenenbaum	86
Józef Dajczgewand	96
"Emigrantka"	104
Zygmunt Bauman	114

W piątym numerze KARTY ukazał się blok tekstów związanych z Marcem 68. Trafił do nas – nie zamawiany – tekst ówczesnej studentki, próbującej po blisko dwudziestu latach odpowiedzieć na pytanie, czym było w jej życiu (i życiu jej pokolenia) marcowe doświadczenie. Wcześniej nam – młodszym wydawało się, że wiemy o Marcu dość – tyle w każdym razie, by traktować go jak zamknięty rozdział polskiej historii. Po lekturze tekstu, niespodzianie dostrzegliśmy własny związek z tamtym doświadczeniem. Stawało się żywe, kusilo, by przyjrzeć mu się wnikliwiej.

Zaczęliśmy rozmawiać z ludźmi Marca. Każda kolejna rozmowa poszerzała pole widzenia, otwierała nową perspektywę. Kiedy zdecydowaliśmy się na publikację w KARCIE zapisów tych rozmów, byliśmy pewni, że ten materiał będzie jeszcze uzupełniany.

Ja sama niewiele o Marcu wiedziałam, kiedy zaczynałam pierwszą rozmowę. Fragmentaryczną wiedzę o faktach zaciemniły mi dodatkowo jakieś słowa-wytrychy, dotyczące tamtego czasu: Moczar i syjonisci, partyzanci i prowokacja, antysemita i komandosi. Kto kogo prowokował, kto był syjonistą a kto antysemitą – trudno się było zorientować. Pewna byłam tylko tego, że bili. Z gomuśkowackiej szarej stabilizacji nagle wyłaniał się ludźle z pałkami, rzucali gaz.

Może to wstyd, że wcześniej nie wiedziałam. Może bardziej wstyd – że wstydziałam się pytać. Lektur było zań niewiele i wszystkie raczej rozpraszały obraz niż go budowały.

W tym co o Marcu wcześniej czytałam, nawet w świetnie zestawiającym fakty "Krótkim spięciu" Marka Tarniewskiego – nie mogłam dostrzec ludzi. Chwalił się za "całościowym ujęciem", roztopiali się w rozważaniach o mechanizmach społecznej frustracji i frakcyjnych walk. Podejmując pracę nad marcowym blokiem dla KARTY – ludzi odnajdywałam. Pytałam ich o prywatny, jednostkowy sens tamtego doświadczenia.

Nie jestem historykiem ani socjologiem. Nie czułam się więc zobowiązana ani do rekonstruowania wydarzeń w wielu planach, ani do wyważania proporcji między różnorodnymi punktami spójrzenia na marcowe wypadki. Pozwoliłam sobie na luksus zanurzenia się w aurze rozmów dla historyka czy socjologa niewystarczająco reprezentatywnych.

Być może dostarczyłam sobie wiedzy niepełnej. Nie dość wnikliwie rozpoznałam, na przykład, środowisko ówczesnych czterdziestolatków, którzy w Marcu skończyli flirt z komunistyczną władzą. Nie poznałam – w każdym razie nie na tyle głęboko, by o nich pisać – ludzi przez Marzec zniszczonych, wciśniętych w ziemię, którym przetrącono kark. Ani tych, którzy całym sercem popierali studencki bunt, ale nie mieli dość siły, by walczyć samotnie, gdy zabrakło już zbiorowej emocji i poczucie wspólnoty trzeba było odbudowywać mozolnie, wbrew prozie codziennego życia. W jakiś tajemniczy, ale i naturalny sposób przyciągali mnie inni.

Z tekstów, które znalazły się w piątym i siódmym numerze KARTY, z materiałów wybranych z KRYTYKI i TYGODNIKA POWSZECHNEGO, wreszcie z rozmów, które przeprowadzałam już z myślą o książce – zbudowałam własny obraz Marca. Szoku, który niespodzianie dla tych, co zostali mu poddani, stał się początkiem drogi ku wolności i autentyczności.

Ewa Zylńska

Dziesięć przedstawień

Rozmowa z Gustawem Holoubkiem

— *Wyobrażam sobie, że Konrad z Dejmkowskiich "Dziadów" musiał przeżyć Marzec 68 w sposób szczególny.*

— Było to dla mnie doświadczenie ważne, ale raczej teoretycznie niż praktycznie. Wbrew wszelkim podejrzeniom sugerującym, że skoro byłem w środku wydarzeń, częściowo mogę się uważać za ich współsprawcę. Kiedy się to działo, nie odczuwałem niczego, co można by nazwać poczuciem uczestnictwa w wypadku politycznym. Uczestniczyłem raczej w hazardzie polegającym na tym, że wychodząc na scenę mogłem spodziewać się wszystkiego. Od wtargnięcia na scenę widzów — do wkroczenia milicji. Przypisywanie sobie w tej chwili jakichś heroicznych motywów czy cech byłoby trochę bezwstydne.

— *Ale miał Pan świadomość siły Mickiewiczowskiego tekstu i jego oddziaływania?*

— Ogromną. Występ w roli Konrada nie był występem typowo aktorskim, był w dużej mierze uczestnictwem w wydarzeniu na równi z widzami. Razem z nimi, wśród nich. Nie sposób było uwolnić się od tej straszliwej akceptacji ze strony widzów.

— *Straszliwa akceptacja widzów — cóż to oznaczało?*

— Groźbę uwierzenia w bezwzględne władztwo nad nią. To szczególne poczucie wyższości, która, gdy nie wynika z siły argumentów, a w wypadku Konrada — z wiary w zasadność buntu — może wtrącić aktora w otchłań niekontrolowanej emocji. A ten stan, bliski ekshibicjonizmowi, przekreśla — jak wiadomo — jego wiarygodność.

Tak, to była widownia fascynująca. Z całego swego aktorskiego życia nie pamiętam czegoś takiego, choć przypominały tamtą atmosferę lata 1980-82, kiedy do teatru znów przychodziła publiczność akceptująca wszystko, co się w nim działo. Ale nawet wtedy nie było tak ogromnej temperatury, jak w sześćdziesiątym ósmym.

Największe jednak wrażenie zrobiła na mnie widownia trzech zamkniętych przedstawień "Dziadów", granych dla aktywu partyjnego w parę miesięcy po zdjęciu spektaklu — w maju czy kwietniu. Prezentowaliśmy je podobno po to, żeby ten aktyw właśnie zdecydował o dalszych losach Dejmka i Teatru. Byliśmy podnieceni już samym faktem zamknięcia teatru ze wszystkich stron, tym że musieliśmy się legitymować przy wejściu. Samo to stworzyło szczególny nastrój. A spektakle? Nawykli do zwykłych, niekończących się reakcji, zostaliśmy uderzeni kompletną ciszą widzów. Była ona tak głęboka, że graniczyłyaby z nieobecnością, gdyby nie coś nieokreślonego, coś wiszącego w powietrzu, co mogą "zobaczyć" tylko aktorzy, a co zawiera się w wibrującym oczekiwaniu. Oczekiwaniu na coś doniosłego, co musi się wydarzyć. Nic bardziej sprzyjającego dla pobudzenia ambicji wykonawczych. Toteż graliśmy w poczuciu własnej doskonałości, i jeszcze — z pasją odreagowania wszystkich krzywd. A potem, w przerwie i po zamknięciu kurtyny, rozległy się ogromne, niekończące się brawa. Gęste — jak my to nazywamy, nabrzmiąte wzruszeniem.

— *A jak reagowali "zwykli", widzowie?*

— Jakby rozpruto worek więzionych dotąd uczuć. Nie trudno sobie wyobrazić, że charakter tych reakcji wymykał się wszelkim próbom obiektywizacji. Było to pasmo łez, śmiechu, krzyku, braw. Idealny teren dla wszelkiego typu manipulacji, łącznie z prowokacjami. Zwracam tu uwagę — i to jest niesłychanie istotne — na kolejność występowania zjawisk. Najpierw spontaniczne przyjęcie dzieła i jego twórców w związku z

Pierwsza, okaleczona przez cenzurę wersja rozmowy Anny Mieszczanek z Gustawem Holoubkiem ukazała się w TYGODNIKU Powszechnym nr 9/1988.

samą teatralną propozycją, jej poznawczą i artystyczną wartość, potem próba wprzęgnięcia tego faktu w grę ściśle polityczną.

— *Dejmek - pod naciskiem władz - próbował łagodzić, zmieniać układ postaci na scenie, zmienić zakończenie. Jak Pan to przyjmował?*

— Nic takiego nie miało miejsca, tak w każdym razie pamiętam. Dejmek z niczego się nie wycofał.

— *Z ostatniej sceny też nie?*

— Do ostatniego przedstawienia — nieprawdopodobnego przez fakt "zalanía" sceny przez widownię, zakończenie było takie, jakie było. To Gomułka zdemonizował je opowiadając, że tam ktoś potrząsał kajdanami przed nosem widzów.

— *Nie ktoś, tylko Konrad.*

— Było tak, że już w pozatekstowej wypowiedzi, w ciszy, z głębi sceny, Konrad powoli szedł w stronę widzów skuty kajdanami. I to wszystko. Zaním doszedł do rampy, kurtyna opadała. Tak się kończyły "Dziady".

— *Dalej twierdzi Pan, że nie czuł się współautorem tego, co stało się potem? W pewnym sensie uruchomił Pan lawinę — i nic?*

— Upieram się, niczego nie uruchamiałem. Na wpiół świadomy owych wydarzeń wykonałem te dziesięć przedstawień "Dziadów" i dopiero potem ukazały mi się prawdziwe konsekwencje... Okazało się, że jakiegokolwiek byłyby intencje, w tym systemie popada się w sytuacje *par excellence* polityczne, jeśli robi się cokolwiek, co jak się zdaje powinno mieć znaczenie.

— *I co?*

— Stałem się "homo politicus".

— *Czy dobrze rozumiem: w pewnym momencie Konrad wyszedł więc poza ramy spektaklu, musiał spotkać się ze środowiskiem uniwersyteckim, z "komandosami"?*

— Z nikim się nie spotykałem, jeśli nie liczyć usług ofiarowanych przez kilku studentów PWST, którzy zgłosili się, aby opiekować się mną po wyjściu ze spektakli. "Obstawę" tę przyjąłem z wdzięcznością, choć i pewną lekkomyślną dozą humoru.

— *"Dziady" zdjęto, odbyło się słynne zebranie Warszawskiego Oddziału ZLP, wkrótce potem doszło do pierwszego wiecu na Uniwersytecie, a Pan mówi "z nikim się nie spotykałem". Włęc czy to wszystko miało dla Pana jakieś znaczenie?*

— Naturalnie, że miało. Dla mnie, dla każdego, kto obserwował marcowy incydent. Śledziłem to z ogromnym napięciem i dość rychto nabrałem świadomości, na czym polega ta gra o władzę i ku czemu zmierza pewna część aktywu, która — jak zawsze w podobnych okolicznościach — powołała do życia grupę winną katastrofy, w tym wypadku Żydów i studentów...

— *Dotknęło Pana przemówienie Gomułki, to z 19 marca, kiedy sugerował — choć bez wymieniania nazwisk — że i Pan jest winien temu, co się stało, bo zdecydowanie niewłaściwie wydobywał Pan znaczenia z Mickiewiczowskiego tekstu? Nie bał się Pan wtedy?*

— Odpowiedź będzie dość prostacka — śmiałem się i nic więcej. To był żalony pokaz nieświadomości. Poza tym — wyglądało to raczej na mowę pożegnálną, niż na mowę polityka szykującego się do ofensywy.

— *W jaki włęc sposób to wszystko dotyczyło Pana osobiście?*

— Znowu będę musiał rozczarować Pana...

— *Nie poszedł Pan do więzienia, wiem przecież. I nie o to mi chodzi.*

— Mnie dotknęło to o tyle tylko, o ile dotknęło wielu moich kolegów, którzy budowali z pewnym trudem, ale i z niełatwymi wynikami, pozycję Teatru Narodowego. Tak więc Kazimierz Dejmek, który był wielkim animatorem tej instytucji i projektodawcą jej szczególnego statusu, nagle stanął w obliczu ruiny, konieczności opuszczenia Teatru. Wraz z nim kilkudziesięciu aktorów — także ja — opuściło Teatr. I to była konsekwencja bezpośrednia. Coś tam jeszcze się zdarzało, jakieś drobne nękania — anonimowe telefony, odliczanie moich dni do śmierci, psucie samochodu... Ale nawet dobrze tego nie pamiętam, bo dość szybko znalazłem się w Teatrze Dramatycznym, gdzie spotkałem się z niezmiernie serdecznym przyjęciem dyrekcji i zespołu kolegów.

Wkrótce nastąpił jednak ów *exodus* Żydów z Polski. Jest to bardzo ważny, jak sądzę, i poważny rozdział historii Polski Ludowej, dramat, którego istota nie została dotąd wyeksponowana. Do dzisiejszego dnia płacimy koszty tego. Już pomijając aspekt czysto polityczny, dokonano wtedy czegoś, czego nie wolno było dokonywać z punktu widzenia... poziomu, jaki osiągnęła ludzkość. Jeżeli bowiem mieliśmy ambicje zaliczania się do krajów cywilizowanych, do światowej elity intelektualnej, jakże można było wyrzucać z kraju całą grupę społeczną. I to jeszcze grupę obciążoną taką tragedią, jaka spotkała ją w czasie ostatniej wojny. Jakże można było dokonać czegoś takiego bez narazenia na skreślenie z ewidencji krajów, z którymi w ogóle jest w dobrym tonie rozmawiać?

— *Świat dość prędko przeszedł chyba nad tym do porządku...*

— Ale my owoce zbieramy do dziś, choć w tak bezpośrednim związku już tego nie widzimy. Ten fakt zaistniał jednak w świadomości narodów Europy i świata, tkwi po dzień dzisiejszy. A my jesteśmy niepopularni, nie lubią nas.

— *Wtedy dostrzegał Pan wagę tego, co się stało, przez sytuację ludzi bliskich, znajomych z teatru?*

— Teatr tego niemal nie odczuł, prócz oczywiście Teatru Żydowskiego: Idy Kamińskiej i zespołu, który wyjechał niemal w całości. Dotknęło to natomiast moich znajomych i przyjaciół, głównie ze środowiska filmowego. Oni właśnie, niedługo potem, w RFN czy Szwecji, gościli mnie u siebie w domach. I dla mnie był to wstrząs, który jeszcze bardziej uświadomił mi oblicze Marca. Nie tylko polityczne, ale czysto ludzkie. Ci, których odwiedzałem, czuli się wygnane. I umierali — psychicznie, a potem także fizycznie — w głębokim poczuciu krzywdy, wygnania z własnego kraju.

— *Takie losy nie budziły w Panu ochoty do zrobienia po powrocie do Polski czegokolwiek? Mówić o tym, krzyczeć.*

— Cóż tu można było krzyczeć? Cóż można było robić? Chodzić z transparentami? Według mnie, można było tylko postępować w sposób uczciwy i zgodny z własnym sumieniem.

— *Praca w teatrze, prezesowanie w SPATIF-ie, postowanie w Sejmie, to były — na Pana prywatną miarę — uczciwe odpowiedzi na to, co się stało?*

— Myślę, że tak, że to było zgodne z moim sumieniem i poczuciem jakiegoś sensu. Choć mój osobisty los potoczył się istotnie gładziej niż kiedykolwiek właśnie po marcowych wypadkach. I jeśli decyduję się mówić o tym szlaku własnego powodzenia, robię to dlatego, żeby jeszcze raz uświadomić sobie, jak bardzo potrzebny jest głęboki namysł nad tym, co się w Marcu stało.

Wracając do mnie — już po Marcu zostałem prezesem SPATIF-u. I przez jedenaście lat — kilka kadencji — udało się zbudować tu pewną samodzielność środowiska.

— Wykorzystując "wyrzuty sumienia" tej samej w gruncie rzeczy władzy, która Marzec animowała i przeprowadziła?

— W świecie taką sytuację nazywają, zdaje się, zmianą polityczną; ale czy ja wiem, czy w warunkach polskich można w ogóle mówić o polityce? Czy ta sfera życia podlega tym samym kryteriom, które rządzi polityką w ogóle? Kiedy obserwuje się i doświadcza naszego czasu tutaj, w Polsce Ludowej, zauważa się przede wszystkim, że polityka jest odbiciem polityki zupełnie innej, nazwijmy to: globalnej. I że — po drugie — działania polityczne determinowane są jakże często przez osobowości polityków, a nie przez racje ideowe. Decyzje wynikają z charakterologii, z czyjegóż urażonego poczucia godności, gniewu, zemsty. Umyka to jakimkolwiek racjonalnym kryteriom.

— Gorzkie więc musiało być dla Pana to przesocowanie — zmuszało do wkraczania w ten irracjonalny świat.

— Może nie tak. Ostatecznie, niewiele żałuję z okresu mojej "ekspansji społecznej" — nie sędzę, żebym wtedy robił coś, co by zasługiwało na nagana. Stanowiako prezesa przyjąłem z całym dobrodziejstwem inwentarza — propozycja postowania była dalszą konsekwencją. Przyjąłem i ten mandat ze względu na dobro mojego środowiska i na mój wobec niego obowiązek. Dopóki to było możliwe, poruszałem w Sejmie sprawy kultury. W chwili, kiedy stało się to niemożliwe, poruszenia zostały rozwiązane bądź zawieszono, a wobec tego ja mogłem tam występować już tylko jako osoba prywatna — złożyłem swój mandat.

— Po Marcu, nie wydawało się Panu mimo wszystko dziwne, że nie "ukarano" Pana za udział w "Dziadach"?

— Nie wiem, co zdecydowało... Wie Pani, nie należę do tych, którzy koniecznie chcieliby być ukarani.

— Może powodem był jednak pewien dystans, jaki zachował Pan wobec tego, co rozpętało się po "Dziadach"? Być może przykładam dzisiejsze kryteria ocen i wzory zachowania do tamtej sytuacji, ale wciąż mam ochotę zapytać o to, czy w Marcu, kiedy już trwały studenckie wiece i strajki, nie miał Pan takiego pomysłu, żeby pójść na Uniwersytet, być tam? Poprzec całą tę sprawę choćby własną obecnością?

— Ani przez chwilę nie przyszło mi to na myśl. Bo niby z jakiego powodu miałbym tam pójść?

— Powód by się znalazł. Studenci żądali w swoich rezolucjach zniesienia cenzury...

— Proszę Pani, kiedy wybuchła "Solidarność" byłem za granicą. Wróciłem w pierwszych dniach września i od razu spotkałem się z pretensjami niektórych kolegów o to, że nie znalazłem się w Gdańsku, w Stoczni. Nie rozumiem tych zarzutów. Bo niby z jakiego tytułu miałem się tam znaleźć? Co manifestować? Stawać na podium i występować tam? Zgłaszać się tylko po to, żeby odrywać kupony od tego nieprawdopodobnego sukcesu robotników? Oni nie zasłużyli na to, żeby ludzie uprzywilejowani — a takimi byliśmy jako środowisko — tak się zachowali. Więc ani przez myśl mi nie przeszło, że mogłem znaleźć się w Gdańsku. Entuzjazmowałem się, cieszyłem, płakałem — u siebie w domu!

— Okazało się jednak, że ludziom ze Stoczni obecność tego właśnie środowiska była potrzebna. Wznaczała, ułatwiała odnalezienie związku z narodową tradycją...

— Robiliśmy to, co uważaliśmy za stosowne robić z racji moralnego obowiązku. powołania. Ale u siebie!

— Założmy, że rozumiem sytuację gdańską. Wracam jednak do Marca: w studenckich rezolucjach szło przecież nie tylko o to, żeby Sziaffer i Michnik powrócili na studia. Szło o wolność słowa, o cenzurę, o kulturę. Dlaczego Pan do nich nie poszedł?

— Robiliśmy to samo na własnym, teatralnym podwórku. Gwałtownie protestowaliśmy przeciwko zdjęciu "Dziadów", w imię właśnie wolności słowa i tych postulatów, które zgłaszała studentka. Ale dlaczego miałem to robić na Uniwersytecie? Być tam i co — ze studentami sztandar nieść? To, o co się Pani niejako dopomina, jest właśnie tym, co przeszkadza nam się skonsolidować. Wbrew temu, co by się wydawało.

— *Moje namawianie do bycia razem wydaje się Panu takie niedorzeczne?*

— O tak, jesteśmy razem. Tylko gdyby najpierw każdy spełnił swój obowiązek w sposób uczciwy, zgodnie z własnym sumieniem — wtedy szybciej byłibyśmy razem naprawdę. Nie, nie noszę wszystkiego, co każe mi podporządkowywać siebie czemuś, co określamy mianem "społeczności". Mam być służalczy wobec zbiorowości ludzkiej i do niej dostosować swoje indywidualne możliwości? Mam w imię zbiorowości rezygnować z czegoś głęboko swojego, własnego? Nie. Jestem fanatycznym wyznawcą człowieka jako indywiduum. I poszanowania drugiego człowieka jako indywiduum. Z tego punktu widzenia: rezygnacja z czegoś, co byłoby moją wygodą, karierą, na rzecz mojego przekonania jest tylko moją prywatną sprawą, nawet jeśli tak się składa, że to przekonanie jest zgodne z potrzebą i poglądem zbiorowości. Mam uczucie, że tak właśnie zrobiłem, rezygnując z wielu rzeczy po Grudniu. Ale zrobiłem to nie tyle dlatego, żeby być w zgodzie ze społecznością, ale dlatego, że uważałem to za swój obowiązek wobec samego siebie. Gdyby i inni postępowali podobnie, może prędzej doczekalibyśmy się społeczeństwa?

Podczas Kongresu Kultury Polskiej — to miało być w niedzielę 13 grudnia o dziesiątej rano — nie zdążyłem wygłosić przygotowanego wystąpienia. Teraz sporo bym w nim zmienił, ale... Przeczytam Pani fragmenty.

"(...) Wszystko czym świat cywilizowany żył w ciągu ostatnich dwustu lat, czym karmił się, aby doskonalić człowieka na jego indywidualny, duchowy użytek, poświęciliśmy Ojczyźnie. Zdruzgotani jako wspólnota, pozbawieni mózgu społecznego, deprecjonowani w ambicjach przynależenia do europejskiej rodziny — porzuciliśmy dbałość o własną, najbardziej egzystencjalną, pielęgnację osobowości, rzucając się w ocalenie narodu. Najbardziej sugestywnym i znamennym odbiciem tej rzeczywistości była polska sztuka, polska twórczość literacka i artystyczna; ten gigantyczny partner, a może ojciec przetrwania. (...) Wszystko co odrębne w polskiej twórczości tego okresu (...) polega niewątpliwie na formule równie fantastycznej, co nieludzkiej — na utożsamieniu bohatera z losem zbiorowości. (...) Polska literatura, sztuka wzięta na siebie polityczny i społeczny obowiązek przewodnictwa tam, gdzie zawiodły bardziej materialne wysiłki. Stała się nie tylko sumieniem, formułą moralną, ale i rządem. Rządem dusz.

Jednakże natura jest nie tylko nieubłagana, ale i złośliwa. Nie daruje żadnego zachwiania równowagi. Jeśli gdzieś z własnej nieostrożności zaszastał hojnością, gdzieś indziej z bezwzględną zaciekłością mścił się wstrzemięźliwością, skąpstwem. Za pośrednictwem nauczyciela skazała nas na wielkość ducha i skutki tego faktu są nieobliczalne. Bowiem nie trudno sobie wyobrazić, jakie to poczucie wyższości — bo czymże innym jest przekonanie o posiadaniu specjalnie atrakcyjnego ducha — uczyniło spustoszenie w materii charakterologicznej. (...)

Potrzebna nam jest lekcja racjonalizmu, w duchu najświatlejszych znaków naszej europejskiej tradycji, z ducha najświatlejszych jej przedstawicieli. (...)

Idzie więc o wychowanie człowieka. Człowieka w takim poczuciu godności, które wynika z przekonania, że najwyższą wartością doczesną jest drugi człowiek. Który by z nauki religii wyniósł wiarę w pożytek czynienia dobra oraz poczucie hierarchii, świadomość nadrzędnej tajemnicy będącej drogowskazem życia. (...) Który by znał wartość wysiłku ludzkiego i najwyższym szacunkiem darzył ludzkie umiejętności — gwarancją szacunku dla własnej pracy. (...)"

— *Bardzo jest mi bliskie myślenie o człowieku wciąż sprawdzającym rzetelnie swoją pozycję wobec zbiorowości, nie żyjącym tylko ze względu na nią, ale najpierw — ze względu na siebie. Gdybyśmy jednak byli w jakimkolwiek innym kraju, nie tutaj... Niełatwo się Panu żyje z takim myśleniem o polskości.*

— Jestem z tym myśleniem od lat, ale nie czuję się odosobniony — wielu moich przyjaciół, sądzę też, że wielu nie znanych mi ludzi, myśli podobnie. Tyle że prawie nie ma

możliwości przemieniania tych poglądów na rzeczywistość. Możemy racjonalizować nasz narodowy charakter, możemy nawoływać do uczciwości wobec samych siebie, a tym samym wobec społeczeństwa. Niewiele to pomoże w systemie, w którym tak wiele opiera się na hasłach bez pokrycia — w tym także o człowieku jako najwyższej wartości, na ciągle modyfikowanych programach nauczania, z których żaden nie spełnia podstawowego obowiązku: kształcenia, przede wszystkim, za wszelką cenę — prawdziwego humanisty.

— Przy takiej diagnozie rzeczywistości teatr, w którym do tej pory Pan pracuje, jest w ogóle potrzebny?

— Teatr w Polsce jest jednym z rzadkich miejsc życia. Jest miejscem, w którym człowiek nie jest narażony na okamywanie, na manipulację.

— I Pan w tym miejscu — choć usuwany z niego dwukrotnie — też czuje się potrzebny?

— Nie czuje się niepotrzebny. Choć bywałem znużony, nie mam już dawnego entuzjasmu do wszystkiego co mi proponują.

— Te dwa odejścia — w 1968 i w 1982 roku — są porównywalne?

— Kiedy Adam Hanuszkiewicz obejmował dyrekcję po usuniętym Dejanku, my, aktorzy, odeszliśmy z Teatru Narodowego sami, z własnej woli, w poczuciu solidarności wobec decyzji władz. To co robiliśmy w teatrze, wydawało nam się dojrzałe, zdrowe, dobre, odczuliśmy więc tę sytuację jako rodzaj gwałtu dokonanego na naturze. Nocne Polaków rozmowy, jakie prowadziliśmy już po odejściu z Teatru, świadczyły o tym, że urwała się nagle sprawa dla nas zasadnicza. Odprawialiśmy coś w rodzaju pogrzebu. A w 1982 roku w sferze doznań emocjonalnych było podobnie. Po odejściu z Teatru Dramatycznego także zdawało mi się, że zawalił się świat, że skończyło się, urwało coś, co miało wszelkie szanse znakomitego rozwoju.

Może od Marca, a może "od zawsze" jestem wyczulony na gwałty przeciwko naturze. Wydaje mi się, że istnieje coś takiego, jak nakazy naturalne — mam taką ambicję, żeby je odczuwać i poruszać się w zgodzie z nimi. To co się stało w roku 1982 było znów wbrew naturze. Choć teraz wydaje mi się to już mniej bolesne, w końcu człowiek godzi się po jakimś czasie ze wszystkim, co go spotka.

— Pan — bez Dramatycznego, Hanuszkiewicz — bez Narodowego. Trawstując Pana: natura okazała się nie tylko nieubiegana, ale i złośliwa. Naprawdę stać Pana na pogodzenia się z tym?

— Ponieważ teatr — jak wiele innych instytucji — jest u nas "darowizną" państwa wobec społeczeństwa, nie ma możliwości wyboru, kiedy mecenas-monopolista powie "nie". Bo trzeba albo sprzeniewierzyć się własnym poglądom, narażać się na niewygodę psychiczną i moralną, albo też przeprosić tego kogoś, od kogo zależy mój los i również pogratyc się w znacznym dyskomforcie moralnym. Nie ma innego wyjścia.

— Na początku stanu wojennego motłwy wydawał się mecenas Kościoła.

— Kościół nie mógł prawdopodobnie podjąć się misji stworzenia instytucjonalnych warunków dla istnienia teatru.

— Kiedy brał Pan udział w Eliotowskim przedstawieniu w warszawskiej Katedrze, też miał Pan tę pewność?

— Sam utwór Eliota jest tak ściśle związany z miejscem sakralnym, że reżyserowi i zespołowi wydawało się zupełnie naturalne, iż można udać się z tym przedstawieniem do kościoła. Ale we mnie nie budziło to nadziei na trwałe pozostanie, choć byłem wdzięczny tej przyjęcie.

— *A Pana obecność w Tygodniach Kultury Chrześcijańskiej?*

— Ta obecność trwa do dzisiaj. Jestem przez Kościół zapraszany i mój udział w tych przedsięwzięciach wynika z mojej dobrej woli i poczucia, że mam moralny obowiązek tam się udawać. To jednak dopełnienie, pierwszy plan musi istnieć gdzie indziej.

— *Zagra Pan w "Dziadach", które zamierza filmować Tadeusz Konwicki. Dla tego przedsięwzięcia znajdzie Pan zapewne w sobie dawny entuzjazm, energię.*

— Sam zamiar jest nieprawdopodobnie ryzykowny, ale i fascynujący. Nie znam jeszcze scenariusza, ale wiem, że miałbym tam pełnić rolę poety... Być czymś w rodzaju obecności poety w miejscach, w których dzieją się "Dziady".

— *Nie Konrad, ale jednak.*

— Konrad będzie oczywiście taki, jaki powinien być — młody.

— *Tak czy inaczej, czuje Pan, że dokona się tu coś w rodzaju aktu "dziejowej sprawiedliwości"?*

— Właśnie, jest nieprawdopodobnie gorzkie, że mówimy o tym w taki sposób. Jaki Francuz będzie grał Molière'a, a Anglik Szekspira, przykładając do samego tylko zamiaru kategorii dziejowej sprawiedliwości! Już sam fakt, że rozważamy to przedsięwzięcie w warunkach niemal półkonspiracji i że widzimy je jako coś straszliwie ryzykownego, nad czym co chwilę przelatują diabły — jest przerażający.

— *A jednak tak jest.*

— Jak u Gombrowicza: czego człowiek się tu dotknie, jest sztuczne. Zabieram się do tego, do czego jestem zobowiązany — i od razu popadam w dwuznaczną sytuację. Myślę, że stąd bierze się owa powszechna nieufność, niewiara w możliwość naprawy Rzeczypospolitej. Ludzie nie wierzą, że praca uczciwa, podyktowana zdrowym rozsądkiem i pożytkiem jakiegoś winna mieć, jest tutaj możliwa.

— *Ale zagra pan w tych "Dziadach"?*

— Tak.

Rozmawiała Anna Mieszczanek

SZOK

Rozmowa z profesorem Stefanem Morawskim

— *W jaki sposób dotarła do Pana wiadomość o wyrzuceniu z Uniwersytetu?*

— Najpierw, 25 marca 1968, była "wigilia". Na zebraniu uniwersyteckiej organizacji usunięto mnie z partii.

Pamiętam, jak oświadczyłem im wtedy patetycznym tonem: "Zostajecie tutaj z partią, która pędzi na łeb na szyję w przepaść, partia, w której jest kompletna degeneracja. Ja z niczego nie wycofuję się, do żadnej Canossy nie pójdę. Wszystko co mówiłem przez ostatnie dziesięć lat jest głęboką prawdą i kiedyś będziecie o tym wiedzieli".

Przyjechałem późno w nocy do domu, żona z córką czekały na mnie. Powiedziałem im, że to już koniec, gilotyna. A następnego dnia rano dowiedziałem się z gazet o wyrzuceniu z Uniwersytetu.

Dworowaliśmy sobie potem z Baczka i Kołakowskim, że najpierw nas "zgwałcono", potem "ściąto". Jak dziewczę średniowieczną, której nie wolno było, wedle kościelnego obyczaju, ściąć, póki była dziewczą.

Gdybym miał ten okres spisywać jako reporter, powiedziałbym, że był to czas niesłychanego popłochu, gorączkowości, nieustannych zebrań na Uniwersytecie...

— *Bardziej interesuje mnie Pan w tym czasie. Więc, jak to było dalej z Panem?*

— Powiedziano mi, żebym oczyścił swoje biurko na Wydziale, potem otrzymałem zakaz pojawiania się na terenie Uniwersytetu. No i przez kilka dobrych lat nie przestąpiłem tamtych progów.

— *To co się stało, zaskoczyło Pana?*

— Byłem na te wypadki przygotowany i jednocześnie nimi zaskoczony. I to nie jest odpowiedź wykretna.

Jesienią 1967, kiedy byłem jeszcze dziekanem Wydziału Filozoficznego, dochodziły do mnie słuchy, że za moimi plecami siły Bezpieczeństwa dokonują jakiejś penetracji: sprawdzają dokumenty personalne, chodzą gdzieś po piwnicach, czegoś szukają.

W tym samym mniej więcej czasie budowałem sobie garaż przy pomocy pewnego inżyniera, który nieustannie nie dotrzymywał obietnic i z którym wobec tego "wojowałem". On czuł się tym zagrożony, nie znosił mnie. I pewnego dnia powiedział: "Panie profesorze, już niedługo pański czas się skończy, ja to wiem z dobrych źródeł". Potraktowałem tę "groźbę" humorystycznie, ale dalsze wypadki potwierdziły, że to nie był z jego strony żaden złośliwy dowcip, tylko surowa, brutalna prawda.

Wkrótce potem wezwał mnie do siebie pan Zygmunt Rybicki, ówczesny prorektor Uniwersytetu — postać żalosa, typowy okaz karierowicza, który na dodatek potem, w Marcu, organizował wszystkie "najeźdy antystudenckie". Powiedział tak: "Panie dziekanie, w piwnicy Wydziału znaleziono skład broni, tam ktoś coś przygotowuje...". Zacząłem się śmiać, no bo jakże inaczej mogłem potraktować taką monstrualną hecę. I mówię: "Pan rozmawia ze mną tak, jak rozmawiano zapewne przy okazji podpalenia Reichstagu; przecież to jest jawna prowokacja". A on na to: "Proszę to potraktować serio, otrzymałem taką informację od Służby Bezpieczeństwa, to nie może być nieprawda".

Uznałem, że w tym królestwie duńskim naprawdę zaczyna cuchnąć. Ale, widzi Pani, nie byłem zdolny wyciągnąć z tego radykalnych wniosków i konsekwencji. Tutaj trafiamy w sedno rzeczy — ja wtedy byłem naprawdę głęboko przywiązany do tej ideologii. Przecież znalazłem się w partii nie z powodów oportunistycznych. I zdaje mi się, że właśnie dlatego

Rozmowa przeprowadzona jesienią 1967.

małe i innych wyrzucono. Baczko, Brus, ja, byliśmy ostatnimi autentycznymi komunistami w ówczesnym kontekście.

— *Komuniści nie rezygnują?*

— Wolę użyć pojęcia socjalizm niż komunizm. Myśmy wtedy wszyscy wierzyli, że ten ustrój da się urzeczywistnić zgodnie z założeniami ideologicznymi. Dzisiaj pan Gorbaczow powinien by udekorować nas czerwoną gwiazdą jako tych, którzy próbowali wówczas wrócić do autentycznego marksizmu. O co nam chodziło? O to, żeby stworzyć system, w którym ludzie będą swobodni, w którym nie będzie przerażającej dyktatury, grupy biurokratycznej, mechanizmów samoniszczących. Słynne przemówienie Leszka Kołakowskiego na zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP, po zdjęciu "Dziadów", kończyło się stwierdzeniem, że walczymy o uautentycznienie i humanizację socjalizmu, a nie przeciw niemu. Leszek nie mówił tego ze względów taktycznych.

Lawina toczyła się już od paru lat. "Marzec" to jest termin rozciągnięty, mimo że potem wszystko odbyło się w ciągu miesiąca. W 1965 roku, po "Liście otwartym", kiedy aresztowali Kuronia i Modzelewskiego, broniłem ich na zebraniu uniwersyteckiego komitetu partyjnego, na które przyszedł też Szałachic — ówczesny minister Spraw Wewnętrznych. Uważałem, że autorzy tego listu zrobili rzecz znakomitą i mówiłem o tym, atakowany przez panów Jarosława Maciszewskiego i Jana Zygmunta Jakubowskiego, którzy wymyślili im od żydomasonów, co to niszcza naród, tak wspaniale idący do przodu.

Potem nieustannie stykałem się z działalnością "komandosów" — większość z nich studiowała na moim wydziale. Wielokrotnie byłem przez władze wzywany w sprawie Dajczgawanda, Boguckiej, Blumsztajna.

U nas też była chyba największa na Uniwersytecie liczba różnych listów protestacyjnych i petycji — angażowali się w to także asystenci. A Wydział Filozoficzny był traktowany przez władze jako swego rodzaju ostoja ideologiczna. Stąd nieustanne presje ze strony uniwersyteckiego komitetu partyjnego, prorektora Rybickiego i Werbiana, który był wtedy sekretarzem Wydziału Nauk KC.

Jako dziekan miałem pozycję niestety trudną. Często dostawałem telefoniczną instrukcję od Werbiana właśnie czy od instancji partyjnej: "Iksa czy Igreka — usunąć z Wydziału". Nie godziłem się na rolę telefonicznego dziekana, odmawiałem. Było mi o tyle łatwiej, że miałem w tej sprawie poparcie wspaniałej społeczności koleżeńskiej. Poza kilkoma nieszczęśnikami, z których — jak mówił Kołakowski — łało się łażno strachu, zespół profesorski był jak rodzina, w której ludzie łatwo porozumiewają się i dobrze się czują.

Broniłem więc tych, których kazano mi usuwać. Choć nie zawsze wydawało mi się, że nasi studenci czy asystenci postępują rozsądnie. Zdawałem sobie sprawę, że oni są także prowokowani i że ich działania mogą służyć przygotowywanej przez Służbę Bezpieczeństwa wielkiej masakrze wewnątrzpartyjnej. Miałem poczucie, że dolewają oliwy do ognia i że to jest budowanie ogromnego stosu, na którym się wkrótce wszyscy spalimy. No, ale oni byli młodzi i zuchwali; uważali, że muszą tak działać. Więc wzywałem ich do siebie na tak zwany dywanik i — wszyscy o tym wiedzieli — po pikwikowsku karciełem. Jak ojciec karcieł córkę, którą bardzo kocha, ale której mówi: "Staraj się zachować umiar".

Władza nieprawdopodobnie bała się jakiegokolwiek samodzielności środowiska intelektualnego i kulturalnego. Im bardziej się bała, tym bardziej była agresywna. Im bardziej była agresywna, tym bardziej my byliśmy — w odpowiedzi na represje — zmuszani do wyzwalać z siebie energii protestacyjnej. I wyzwalałiśmy ją: wciąż zadawaliśmy niewygodne pytania, krytykowaliśmy, wysuwaliśmy wciąż nowe argumenty na zebraniach partyjnych. Oskarżano nas o to, że jesteśmy "na pasku imperialistycznym", potem syjonistycznym. Powstawała spirala...

Miałem tego w pewnym momencie dość.

Pamiętam, jak na przełomie 1966 i 1967 roku wezwano mnie na rozmowę do komitetu dziekanowskiego, do niejakiego pana Salwy. Dzisiaj jest chyba profesorem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Atakował ostro: że na Wydziale zrodziła się jacejka antypartyjna, że jego zdaniem ja się na dziekana nie nadaję. Odpowiedziałem, że najpewniej z ich punktu widzenia to prawda i że możemy się rozstać. Jakiś czas potem, jesienią, postanowiłem zrezygnować.

Werbian wezwał mnie wtedy do KC i rzekł: "Towarzyszu Morawski, jeśli wy teraz demonstracyjnie odejdziecie, Wolna Europa potraktuje to jak wasze wotum nieufności wobec

partii. Będą mówić o schizmie. Lepiej, żebyście zrezygnowali z powodu swojej pracy naukowej...".

Nie wiem, czy Pani mnie zrozumie: wciąż byłem lojalny wobec partii, wciąż miałem poczucie identyfikacji z nią. Zgodziłem się. Dzisiaj żałuję, że nie stać mnie było już wtedy na przymuszenie partii do tego, żeby mnie z owego stanowiska wyrzuciła. Złożyłem pismo z prośbą o wcześniejsze zwolnienie mnie z funkcji dziekana i o udzielenie półrocznego urlopu. Jesienią 1967 "przekazałem berto" Klemensowi Szaniawskiemu, pierwszemu dziekanowi, któremu udało się złamać nomenklaturę. Zresztą architektem tego pomysłu był Baczko. Ja ochocho podjąłem tę myśl i udało się ją zrealizować. A na Wydział wróciłem dopiero po przerwie semestralnej, w lutym 1968.

— *W sam środek dramatu.*

— Tak. Zaraz przyszedł 8 marca, więc studentów ze wszystkimi konsekwencjami.

Klemens Szaniawski, który był człowiekiem o demokratycznych poglądach i z wielką klasą, politycznie jeszcze niewiele wtedy znaczył. Kiedy wybuchły zamieszki, to ostatecznie ja — a nie Szaniawski, już dziekan — przemawiałem do studentów. Pamiętam, że było to 8 marca i parę dni później: hol i schody były szczelnie wypełnione ludźmi, stałem na pierwszym piętrze, przy poręczy. Potem, razem z Jerzym Szackim, układałem rezolucję, która została przyjęta 12 marca przez Radę Wydziału.

— *Tę słynną, którą tak "upodobał" sobie Gomułka jako dowód reakcyjnej i nieodpowiedzialnej działalności nauczycieli akademickich?*

— Tak. Ale zanim on miał okazję w przemówieniu z 19 marca napiętnować tę rezolucję, odbyło się na Wydziale kilka zebrań partyjnych. Baczko, Maria Hluzowicz, ja, postanowiliśmy powiedzieć wszystko do końca na tych zebraniach, na których pojawiali się różni fagasi z komitetu dzielnicowego i warszawskiego.

— *To już była gra va banque. Nie bał się Pani?*

— Nie miałem powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Już rok wcześniej przekazałem władzom moje poglądy bez ogródek. Po znanych wypowiedziach Pomiana i Kotakowskiego na dziesięciolecie Października, które spowodowały usunięcie ich z partii przez odpowiednie instancje, odbyło się ogólnouniwersyteckie zebranie partyjne, na które przyszedł Zenon Kliszko, druga wtedy osoba w hierarchii partyjno-rządowej. Ja i parę innych osób mówiliśmy wtedy o kryzysie w partii i broniliśmy Leszka, obawiając się, żeby usunięcie z partii nie odbiło się również na jego pozycji uniwersyteckiej. Kliszko zapewnił wtedy, że jakiegokolwiek porachunki wewnątrzpartyjne nie będą miały reperkuwalnej natury profesjonalnej, że co innego kwalifikacje naukowe i dydaktyczne, a co innego partyjne spory. Wydawało mi się wówczas, że można temu oświadczeniu zaufać.

Po tym zebraniu, jako dziekan Wydziału Filozoficznego, poprosiłem Kliszkę o rozmowę. To co mu wtedy wyłożyłem, nie było tylko osobistymi przemyśleniami Stefana Morawskiego, ale wspólną platformą tego zespołu koleżeńskiegó, który nazwano grupą dysydencką czy opozycją wewnątrzpartyjną z Wydziału. Dodam od razu, żeby nie było nieporozumień: myśmy nie tworzyli żadnej spiskowej frakcji — to stara i wciąż stosowana metoda policyjna. Ze z ludzi inaczej myślących robi się zaraz wroga, zorganizowaną grupę. Myśmy byli zespołem koleżeńskim, silnie związanym, lubiącym się, pozostającym w nieustannej osmozie myśli, które między nami krazyły i tworzyły pewną wspólną pulę. I tę wspólną pulę przekazałem Kliszce.

Po pierwsze, wystąpiłem z propozycją wy tłumaczenia publicznie magicznej formuły, że partia kieruje i przewodzi, podczas gdy w gruncie rzeczy jest wszechwładząca. Po drugie, mówiłem o konieczności zniesienia nomenklatury, o oddaniu inicjatywy także w ręce bezpartyjnych. Po trzecie — o wolnych wyborach od dołu: do władz lokalnych aż po Sejm. Po czwarte — o zniesieniu systemu represyjnego. Po piąte — o samorządnej, uspołecznionej gospodarce. I wreszcie mówiłem o konieczności otwarcia się na Kościół i przyznaniu rzeczywistej autonomii nauce, sztuce, stowarzyszeniom twórczym.

Rozmowa trwała dwie i pół godziny. Kliszko cały czas patrzył w sufit albo zaglądał do szuflady, jakby sugerując, że gabinet jest na podłuchu. Dawał jakieś wykrętne odpowiedzi.

To co w imieniu kolegów proponowałem, nie bez powodu nazywano programem rewizjonistycznym. To była rzeczywiście daleko idąca restrukturyzacja i reinterpretacja obowiązującego w ZSRR i u nas modelu myślenia marksistowskiego. Był to taki żywy marksizm, którego prezentacja na Zachodzie czy w Stanach powodowała, że Polska stawiała się czymś niebywale atrakcyjnym. Ja wtedy sporo wyjeżdżałem, mój koledzy — poza Leszkiem, który od 1966 roku miał zakaz podróžowania — też. I byliśmy dla kraju niezłym towarem eksportowym, skoro nazywali nas na świecie marksistami z otwartą głową.

Wychodząc więc poza mój indywidualny *casus*, patrząc z perspektywy historycznej, można powiedzieć, że nieuwzględnienie naszych pomysłów, wyrzucenie nas z partii, uniemożliwienie nam pracy, oznaczało przejaw samobójczych tendencji tego systemu. Ponieważ Gomułka w istocie ustąpił argumentom Moczara i jego frakcji, wykazał dowodnie swą słabość. Już wtedy przegrał walkę wewnątrzpartyjną, mimo że jeszcze dwa lata rządził krajem.

W Marcu zniszczono oryginalny, rodzimy marksizm i najlepszych ludzi, którzy budowali tę koncepcję. Poświęcono wartości intelektualne i ideologiczne dla wartości czysto pragmatycznych: dla utrzymania władzy.

— *Może lepiej, że tak się stało?*

— Na Zachodzie, a także w USA, marksizm wciąż jest w wielu kręgach intelektualnych żywy. Kraje tak zwanego realnego socjalizmu pomijam, gdyż w nich marksizm jest od lat niemal martwy. A przecież ta koncepcja filozoficzno-społeczna nie musi być stekiem sloganów.

— *Marksizm żywy — co to dla Pana znaczy?*

— Mam na uwadze zrab zasad, na których opiera się idea socjalizmu w określonym kształcie. Leszek Kołakowski — z którym się w tym punkcie nie zgadzam — przeprowadza takie równanie: Stalin był zły, bo zły był Lenin, Lenin był zły, bo zły był Marks. Mnie się wydaje, że Marks należy do zupełnie innej formacji kulturowej. Degrengolada rozpoczyna się od Lenina. Marksa traktuję jak Europejczyka, przedstawiciela takiej myśli filozoficznej, pod którą ja sam nie podpisuję się dzisiaj — po dwudziestu latach — w całości, ale która, wydaje mi się, była u nas po 1956 roku do uratowania i z której wciąż można czerpać inspiracje.

Istnieją, z grubsza biorąc, dwa poglądy w kwestii aktualnej żywotności marksizmu. Jeden z nich zakłada, że zgraja opryszków i przeniwierców zdomowała się w aparacie partyjno-rządowym, zbiurokratyzowała system, wypaczyła piękną ideę i wynikającą z niej praktykę społeczno-historyczną. Tak myślał na przykład Lukács, do końca życia powtarzając uparcie, że najgorszy socjalizm jest lepszy od najwspanialszego kapitalizmu. Jego odpowiednikiem jest na przykład Noel Field, którego przypadek znakomicie przedstawił w książce "Przyznaję się do winy" Ryszard Bugajski.

Według drugiego poglądu marksizm jest główną siłą sataniczną naszych czasów. Tak pisał inteligentny i głęboki zarazem w sposobie myślenia Aleksander Wat. Oba te skrajne rozwiązania uważam za chyłone. Pierwsze — gdyż marksizm zaszczerpiony na rosyjskim despotyzmie musiał wydać takie owoce, jakie wydał. Nie warto rozważać, jaki obrót przybrałaby historia po Październiku 1917, gdyby władzę przejął Trocki bądź Bucharin. Z pewnymi modyfikacjami, zasłoby pewnie coś podobnego — jeśli nie zamlana państwa w para-obóz koncentracyjny, to na pewno nastąpiłoby ubezwłasnowolnienie jednostki przez państwo — totalitarnego zarządcę wszelkich dóbr materialnych i duchowych. Z drugiej jednakże strony, Październik i jego następstwa przyniosły — co jest paradoksem dziejowym nie do wykreślenia — pewne dobrodziejstwa. Mianowicie likwidację nędzy i krzywdy społecznej, zniesienie barier klasowych, podcięcie skrzydeł kolonializmowi w jego klasycznym, nowożytnym wydaniu. Tak więc Wat chyba zdemonizował marksizm. *Notabene* nekających nas satanizmów można by wskazać — poza tą doktryną i jej zdegenerowaną *praxis* — znacznie więcej. Na przykład ideę Baconowską, że nauka jest fundamentem władzy, post-oświeceniowy kult technologii, albo Heglowski *Zeitgeist* jako wcielenie Ducha Absolutnego z jego wiadomą odyseją. Jeśli przyjąć słusznie dziś akcentowany podział na Północ i Południe, można by rzec, że dla pierwszej — po załamaniu się racji systemu radzieckiego — marksizm stał się jedynie narzędziem intelektualnym pobudzającym do prób

jego renowacji, natomiast dla Południa jest on nadal atrakcyjnym modelem praktyki rewolucyjnej.

Myślę ponadto, że wszystkie te wstrząsy wulkaniczne w krajach realnego socjalizmu, które dzisiaj obserwujemy, stanowią sęgnięcie nie po lekcje Lenina — jak to się formuluje — tylko Marksa właśnie. Nie wierzę, żeby ta próba się udała, ale w każdym razie interpretuję to zjawisko jako uprzytomnienie sobie konieczności ożywienia autentycznych źródeł socjalizmu, który na dobre wszedł do europejskiej tradycji humanistycznej.

Marksizm, który usiłowaliśmy uprawiać w latach sześćdziesiątych — Baczko, Bauman, Hirszowicz, Brus, ja i także Kołakowski — to była próba wydobycia się z kleszczy leninowsko-stalinowskich.

— *Czy stalinizm właśnie, u nas, w Rosji, nie skłaniał Was po prostu do odrzucenia tej koncepcji? Dlaczego brnęliście dalej, wciąż w tych samych koleinach?*

— Przecież mówię właśnie, że myśmamy w to nie brnęli...

— *Brnęliście. Wierzyliście, że źródło jest czyste.*

— Myślę, że nie zrozumie Pani rewolty tamtego okresu i orientacji intelektualnej, która nas ze sobą wiazała, jeśli nie przyjmie Pani jako założenia centralnego, że najistotniejsza była dla nas próba uautentyczenia socjalizmu.

— *W płaszczyźnie intelektualnej chyba to rozumieam...*

— To nie było więc brnięcie w bagno. To była próba rewizji i przeciwstawienie się trendowi, który wydawał się dziełem tyleż złe myślących polityków oraz ideologów, co rezultatem określonych warunków historycznych. Chciano się więc zmienić owo błędne myślenie licząc na to, że ta zmiana wpłynie na transformację układu zewnętrznego.

— *Ale przecież wiedział Pan o latach czterdziestych, pięćdziesiątych. Wiedział Pan, co socjalizm potrafi zrobić z niewinnymi ludźmi. Zestaw postulatów z pańskiego programu mieści się w postulatach październikowych. Widział Pan jak Październik był dławiony. Skąd więc — u Pana — ten upór, żeby, nie zważając na rzeczywistość, dalej próbować tej samej drogi?*

— Najpewniej z głębokiego przekonania, że obowiązkiem i rolą intelektualisty jest dokonać wszystkiego, co można w tych okolicznościach, jakie są dane. A także że ślepej i naiwnej wiary, że to jest możliwe.

Dlatego też Marzec 68 był trzęsieniem ziemi. Myślę, że nie tylko dla mnie. To już nie tylko naiwny Don Kichot Morawski przegrał, ale i wszyscy podobnie jak ja zaangażowani.

Owszem, miałem i ja takie momenty, kiedy się załamywałem, kiedy wydawało mi się, że gra niewarta jest świeczki. Bywało czasem i coś z Somoslerry — takiej wewnętrznej ohoty, żeby wszystko potoczyło się raz wreszcie do końca, to znaczy do potyczki ostatecznej, ponieważ ja w tej partii nie chciałem już być. Czułem się w niej coraz bardziej obco. Ale po takiej myśli przychodziła następna: przecież jestem tak silnie związany z tym światopoglądem, że moja powinnością jest walczyć do ostatka. A nuż się uda? A jak nie, to przynajmniej z honorem i poczuciem godności przegram.

Takie przekonanie dzielił w tedy ze mną chyba również Baczko i Bauman, a także Maria Hirszowicz i Brus. Świadomość Leszka Kołakowskiego była znacznie bardziej oczyszczona z tych złudzeń, które myśmamy jeszcze mieli. U niego proces odchodzenia od marksizmu zachodził szybciej.

— *Skąd u Pana tak silne poczucie tożsamości z partią? Dlaczego Pan, jako młody człowiek zafascynowany Abramowskim, nagle postanowił — cytuję za pana autobiografię — "zostać autentycznym, rewolucyjnym marksiistą"?*

— Mój ojciec był socjalistycznym pilsudczykiem, który przy socjalizmie pozostał, kiedy Pilsudski od niego odszedł. Byłem wychowywany w tej tradycji. Moją pierwszą ideową przystanią była PPS.

— Ale tę partię zniszczono.

— Byłem wtedy młodym człowiekiem, wydawało mi się, że być może to ja nie mam racji, że może ten komunizm jest lepszy, sprawniejszy, że może to ja zostaję w tyle, skoro nie umiem się do niego nagiąć.

Pamiętam zresztą już później, w końcu lat pięćdziesiątych, a może nawet na początku sześćdziesiątych, rozmowę z Julianem Hochfeldem, który był moim mentorem w partii socjalistycznej. To było po obronie pracy doktorskiej Jerzego Wiatra na temat wyborów do Sejmu. Wybory były z góry fałszowane, a Wiatr oparł się na jakichś niby rzetelnych obliczeniach statystycznych, które miały udowodnić, że żadnych fałszerstw nie było. Podczas obrony Klemens Szaniawski zarzucił Wiatrowi nierzetelną robotę intelektualną. Poszedłem potem do patrona tej pracy — Hochfelda z pretensją, wszyscy bowiem wiedzieliśmy, że wybory nie są autentyczne i w sensie tradycyjnym prawomocne. Hochfeld odpowiedział mi, że to nie jest istotne. Pytam więc dlaczego w latach 1947-1948 sądził inaczej? "O, ja się wtedy myliłem — odrzekł z ironicznym uśmiechem — bo kiedy przychodzi rewolucja, takie sprawy jak prawomocność i autentyczność trzeba schować do kieszeni, jeśli nie chce się zostać z tyłu, poza historią."

— Takie autorytety, jak Hochfelda, działały na Pana?

— Taka w każdym razie była aura, w której wówczas kształtowała się moja ideologia.

W 1948, 1949 roku sam miałem poczucie, że zostaję w tyle. Wobec tego zdanie "Postanowiłem zostać autentycznym, rewolucyjnym marksistą", po przełożeniu na język tamtej epoki, znaczy tyle, że próbowałem doszłusować do świadomości, która wtedy mi się wydawała świadomością przodującą. Ja się teraz nie usprawiedliwiam, jedynie wyjaśniam: chciałem wyzbyć się tych wszystkich "burżuazyjnych" wątpliwości i naleciałości, które miałem. Gdybym był z robotniczej rodziny, to byłaby jakaś legitymacja przy wejściu do partii. Ale jestem z trzeciego pokolenia inteligentem — wtedy to był mój kompleks, garb.

— Szalenstwo.

— Raczej ukąszenie heglowskie, jak mówi Miłosz. Był to wcale niebłahy dla mnie wówczas powód, choć z zewnątrz może wydawać się obłądny. Nie kierowały mną ani strach, ani zauroczenie potęgą, ani łaknienie mocnej pozycji i sprzężonych z nią apanazy. Należę do tej grupy społecznej, która nie zdołała wytworzyć własnej tradycji i dlatego czuła się niejako zawieszona w próżni. Dziadek wybił się na technika budowlanego, potem został przedsiębiorcą i dorobił się sporego naówczas majątku. Ojciec skończył Wyższą Szkołę Handlową i wymyślił jakiś własny sposób księgowania i kontroli tych operacji. Ja jestem specjalistą z zakresu wiedzy humanistycznej. Taki rodowód nie daje przekonania, że ma się za sobą mocne zaplecze społeczne i trwałe w nim korzenie. Tym bardziej, że szybko zostałem niejako przymuszony do porzucenia domu rodzinnego i żyłem jak "dziczka". Łatwo więc na mą wyobraźnię oddziaływał mit Wspaniałego, Kolektywnego Proletariusza. To prowadził do motywacji, które wylęły się u podstaw moich aspiracji i przeświadczeń z tego okresu.

— Kręta droga przywiodła Pana na tę przedmarcową "audiencję" do Kliszki. Wracając do 1968 roku: po tej rozmowie już się Pan nie bał mówić podczas zebrań. O czym więc Pan mówił?

— Pamiętam, że 14 marca całe moje wystąpienie dotyczyło już tej szalenczej kampanii antysemickiej, którą rozpoczęła prasa. Marek Fritzhand, który potem został na Uniwersytecie jako oficjalny, "wystawowy" naukowiec żydowskiego pochodzenia, siedział wtedy obok mnie i najpierw prosił: "Nie wychodź, nic nie mów, tu się szykują straszliwe rzeczy". A po moim wystąpieniu zaskoczył mnie wyrzutem: "Jak ty możesz, będąc żydowskiego pochodzenia, zabierać głos na ten temat?"

Wówczas wiedziałem już, że w tej partii nie zagrzaję miejsca. Miałem poczucie wstrętu. Coś takiego, jakbym się znalazł pośród ludzi toczonych czerwiami. Pomyślałem: na litość boską, jeśli ma być tak, że z powodu żydowskich przodków nie wolno publicznie mówić o tym, co się dzieje, to co ja tu właściwie robię?

— Kampania antysemitcka zaczęła się jakiś czas przed samym Marcem, latem 1967. Dla Pana nie było to istotne od samego początku?

— Trudno było oczywiście nie słyszeć o czyhającym na PRL syjonizmie i podobnych bzdurach, tyle że traktowałem to wtedy jako wynik działania pewnej nieciliczej frakcji barbarzyńców, którzy próbują sfaszycować partię, mając w tym swoje interesy. Nie przypisywałem jednak temu zjawisku szczególnej wagi. Rychło przekonałem się, że była to z mej strony głupota i naiwność.

Kiedy zmieniłem zdanie? Jedną z moich studentek zatrzymano podczas manifestacji, która zakończyła się ostatnie przedstawienie "Dziadów". Pokazano jej wtedy nazistowski album antropologiczny i zestawiono jakieś tam zdjęcia z fotografią Baczkii, pytając, czy nie rozpoznaje w nim straszliwego gudałaja. Moją córkę zatrzymano przy tej samej okazji na 24 godziny. Pytano ją, czy wie o swoim zydostwie. Dla niej to był szok...

— Nie wiedziała?

— Nie. Ja jestem żydowskiego pochodzenia, ale z domu całkowicie zasymilowanego. Na temat zydostwa nigdy z córką nie rozmawiałem, ten temat nie istniał. Pytano ją o to prowokacyjnie, gdyż niepodobna, by Urząd Bezpieczeństwa nie wiedział, że jej matka — Anna Morawska — jest wybitną publicystką katolicką.

Ja sam miałem nikłe, powiedziałbym nawet — zerowe poczucie tożsamości judaistycznej. Nigdy też nie myślałem o innych ludziach w kategoriach: Żyd, nie-Żyd. Z ludźmi łączyły mnie wspólne zainteresowania intelektualne, polityczne, artystyczne, ale nie pochodzenie. Kiedy więc zaczęły do mnie docierać sygnały o wspomnianych i analogicznych przypadkach, kiedy na Wydziale pojawiła się ekipa Walichnowskiego grzebiąca w dokumentach, zacząłem antysemitizm traktować poważnie, ale nie odnosiłem go do siebie.

— Dla wielu Polaków żydowskiego pochodzenia kwestia ich tożsamości stawała się wtedy kwestią kluczową.

— Dla mnie nie. Właściwie te sprawy zatutwił za mnie mój ojciec. To on odszedł od zydostwa, nie ja. I prawdopodobnie pan Walichnowski i inni, którzy całą tę hecę przygotowywali, mieli dokładne informacje o moim rodowodzie. Jeśli zajrzy Pan do marcowych gazet, to zwraca uwagę, że moje nazwisko nie pojawiało się w kontekście żydowskim. Prawdopodobnie oni zdawali sobie sprawę z tego, że nawet przy wszystkich goebelsowskich chwytach, które stosują, trudno mi będzie "udowodnić" powiązania syjonistyczne, zmontować coś, co wskazywałoby na proizraelskie sympatie. Nie obeszło się wszakże bez operetkowej plotki puszczanej przez UB, iż miałem tajne spotkania z Szymonem Peresem w Bułgarii nad Morzem Czarnym.

Poza tym, byłem prawdopodobnie znacznie bardziej niż inni koledzy zahartowany. Przeszedłem tutaj okupację. Udało mi się przetrwać nazizm "bezopaskowo" — byłem świadom, że moje pochodzenie skazuje mnie na śmierć, ale przeżyłem. Więc skórę miałem znacznie bardziej wygarbowaną. A jeśli nawet okoliczności zewnętrzne skłaniały mnie do przypominania sobie o moim pochodzeniu, tym bardziej nie miałem ochoty wracać do tej kwestii.

Proszę pamiętać, że antysemitizm, który wtedy puszczono w ruch, nie był antysemityzmem doktrynalnym, zbrodniczo "nawiedzonym" — jak w hitlerowskich Niemczech. To był wprawdzie antysemitizm również sterowany ogólnie, ale instrumentalny, który jednak natrafił na coś, co Werblan nazwał, niestety prawdziwie, antysemityzmem ludowym. Ci, którzy antysemitizm "uruchamiali" na górze i ci, którzy przyjmowali go na dole, spotykali się na platformie wspólnego interesu: frakcja moczarowska dążyła do usunięcia Gomułki i jego świty, czyli starej gwardii komunistycznej, co zarazem tym niżej ułożonym pozwalało wypychać ludzi ze stanowisk, wyrzucać zdolnych, inteligentnych, nie mających nie lub niewiele wspólnego z prominentami zasiadającymi w najwyższych urządach. Zastosowano reguły plemiennie-wyznaniowej odpowiedzialności, klasyczny przejaw rytualno-magicznego wyznaczania kozła ofiarnego, wszelako z podtekstem ordynarnie materialnym. Otworzyły się bowiem wolne miejsca dla marcowych urzędników, docentów, literatów, dla czeredy nieudaczników.

Zaraz po Marcu próbowałem obiektywnie zanalizować tę sytuację, wyjaśnić dlaczego i jak to było możliwe. Napisałem wtedy — do pamiętnika, bo gdzieśbym mógł to wydrukować — tekst, w którym zwracałem uwagę, że popełniono mnóstwo błędów wysuwając tuż po wojnie ludzi pochodzenia żydowskiego na wysokie stanowiska w Służbie Bezpieczeństwa i w wojsku. A większość z nich na nie chyba nie zasługiwała...

— *Czyżby i Pan uległ marcowej frazeologii? Taka analiza pachnie antysemityzmem.*

— Proszę Pani, ja próbuję myśleć trzeźwo, w kategoriach politycznego kontekstu. Takie myślenie nie ma nic wspólnego z antysemityzmem. Zwykłym czy nawet intensywniejszym niż zwykle, o który posadza się ludzie żydowskiego pochodzenia, którzy od zydostwa odeszli. Jestem przekonany, że ta społeczność dała się w niecy sposób wykorzystać jako instrument w długoletniej krucjacie ujarzmania Polski przez Stalina. W świetle tego: nie to zaważyło, że w polskiej partii komunistycznej — tak jak w ogóle w historii ruchu komunistycznego — był ogromny procent ludzi pochodzenia żydowskiego. Zaważyło to, że tymi właśnie ludźmi, ponieważ innych chętnych nie było, obsadzano najwyższe i najlepsze stanowiska. A ludzie ci często nie mieli odpowiednich kwalifikacji. To był za duży kapeluszał na owe głowy.

Oczywiście, można uzupełnić ten osąd stwierdzeniem, że dla innych ten kapeluszał także byłby za duży. Ponieważ jednak w Polsce przedwojennej antysemityzm był niestychanie silny, kiedy przyszły rządy komunistyczne, ulica mówiła, że teraz rządzi zydokomuna. Przy takim układzie rzeczy, jeśli bym był na górze — tak sobie gdybam — po prostu nie obsadzałbym tymi ludźmi większości stanowisk. Zwłaszcza, że pociągało to za sobą stosowanie represyjnej polityki i wyrokowanie o tym, czy Iks lub Ygrek nadaje się do pracy jako tak zwany godny zaufania. Wiedziałbym bowiem, na co ich i siebie narazam. Tylko to miałem na myśli. To jest kwestia pewnego politycznego rachunku.

— *Zgoda, wycofuję zarzut. Wróćmy do tego, co jeszcze działo się podczas marcowych zebrań.*

— Pamiętam, że na jednym z nich — już nie wydziałowym, tylko na ogólnouniwersyteckim — był pan Józef Kępa. Pozwoliłem sobie wtedy powiedzieć mu, że jego przemówienie, które zaraz po 8 marca drukowała cała prasa, to istny groch z kapustą. Poparła mnie naówczas docent, dzisiejszy już profesor, Janina Zakrzewska z Wydziału Prawa, usunięta z partii tej samej nocy, kiedy rozprawiono się ze mną i Baczka. A Kępa, jeśli mnie pamięć nie myli, uczęszczał zresztą kiedyś na wykłady w naszym wydziale...

— *Czuł Pan odpowiedzialność za takich ludzi? W jakiś sposób uformował ich Pan.*

— Nie znałem Kępy z lat studiów. W jaki sposób formowałem molch ówczesnych studentów, nie umiem powiedzieć. Sądzę, że mój wpływ był niewielki. Znacznie większe tuż oddziaływały wówczas w sposób decydujący.

Ponieważ jednak byłem aktywny ideologicznie, pewna część odpowiedzialności za tę formację spada i na mnie, tak.

— *Wystąpienia, o których Pan mówi, podejmował Pan w imię walki do końca czy też raczej czynił Pan zadość tej wewnętrznej ochocie do tego, "zeby się to wreszcie skończyło"? Co było ważniejsze?*

— Nie mam nic do dorzucenia do tego, co już powiedziałem. Brus wcześniej złożył legitymację partyjną, Bauman też. Ja z Baczka uznałem, że tego nie zrobimy. Bronek mówił: "Niechaj nas wyrzucą". I mnie wówczas takie "oczekiwanie" wydawał się najbardziej właściwym sposobem postępowania.

Wreszcie przyszedł 25 marca, kiedy wezwano nas na zebranie uniwersyteckiego komitetu partyjnego. Straszne brednie tam mówiono. Mnie oskarżono o to — zapisano to w dokumencie, który dostałem po usunięciu z partii — że "byłem przedstawicielem grupy wrogiej wobec partii, grupy, która próbowała dokonać przemocą realizacji drugiego etapu Października i doprowadzić do zniesienia socjalizmu przez wolną grę sił politycznych".

Zespołem, który nas wyrzucał kierował Andrzej Jozierski. Byli tam także Jarema Maciszewski i Zygmunt Rybicki oraz nieszczęsny Jan Malanowski, ówczesny sekretarz organizacji na Wydziale Filozoficznym, który cały czas skarżył się na ból głowy. Nie bronił nas, najpewniej świadom tego, czym to groziło. Znacznie później jednak zrehabilitował się.

Kusi mnie, żeby przy okazji przywołania tego przypadku, to znaczy kolejnej "herezji" i przejścia do opozycji, zwrócić uwagę, że to co Jacek Trznadel nazywa hańbą domową należałoby raczej określić jako *mal du siecle*. Te mikroby tworzą antytoksyny. Uodporniają tych, którzy — jak ja — zbyt długo ową chorobę przechodzili. Proszę pomyśleć jakże inaczej zachowuje się ta rzesza inteligencji bezpartyjnej, której owej choroby nie zaszczepiono. Cierpi na serwilizm. Za byle ochłapy z pańskiego stołu gotowa jest ochoczo bronić najgorszych posunięć władzy, kiedy ta potrzebuje podwórki i parawanu...

— *Chyba zbyt łatwo Pan uogólnia.*

— Być może zagalopowałem się... Spora część inteligencji nie dała uwieść się wizji żelaznych praw historii — mówi o tym choćby ksiądzka Michnik o dziejach honoru w Polsce. Niemniej utrzymuję pogląd, że równie spory procent inteligencji bezpartyjnej jest podatny na umizgi władzy autorytarnej właśnie dlatego, że nie przestąpił proceku identyfikacji, buntu i odszczepienstwa. Przykładów nie trzeba daleko szukać — proszę wziąć pod uwagę osobowy skład różnego rodzaju satelitów PZPR...

— *Gdyby więc cała inteligencja "kupita" w swoim czasie marksizm, miałibyśmy dziś silniejszą opozycję? Ryzykowna teza. Wróćmy lepiej do spraw marcowych.*

— 26 marca nastąpiło to karne wyrzucenie z Uniwersytetu, po którym zostałem właściwie na bruku. Gdyby Kotarbiński i Zółkiewski nie interweniowali wtedy u Jabłońskiego, nie dano by nam nawet pieniądze. To oni wywalczyli, że dostaliśmy półroczne zwolnienie i pensje za ten okres.

— *Szok?*

— Mówiłem Pani: spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego, co się stało. Nie takiego policyjnego terroru, nie zniszczenia nas z dnia na dzień.

Wyrzucono mnie z partii, ze stanowisk na Uniwersytecie, tydzień czy dwa później straciłem też możliwość prowadzenia w Instytucie Filozofii PAN konwersatorium estetycznego, które prowadziłem przez pięć poprzednich lat, zrezygnowawszy z jakiegokolwiek honorariów.

Drugiego takiego szoku — poza okupacją hitlerowską — nie doświadczyłem. Zaważyło się wszystko, co dotąd budowało mi zespół wartości, aksjologiczną oś życia.

Jakby nie dość było tych wstrząsów ideowych, przez następną pół roku nie dostawałem poczty, telefon miałem najpierw wyłączony, a potem na podsłuchu, przed domem nieustannie stało auto. W mieszkaniu bałem się zamienić choćby dwa ważne słowa. Rozmawialiśmy więc z żoną tylko w parku, na spacerze. Żyłem jakiś czas w poczuciu totalnego osaczenia.

Wkrótce po Marcu Fritzhand zażądał, żebym przekazał komuś swoich magistrantów. Miałem ochotę zlekceważyć jego żądanie. Przeważała jednak świadomość, że nie należy przysparzać dodatkowych kłopotów młodym studentom. Mój zespół asystencki okazał się z marnego kruszcu. Nie przeżyłem tego boleśnie, gdyż zdawałem sobie sprawę, z kim miałem do czynienia. Zresztą rozróżniałem między nimi osoby głupie, tchórzliwe oraz gotowe do skoku na opuszczony przeze mnie fotel.

W ciągu miesiąca po Marcu środowisko uniwersyteckie zostało spacyfikowane. Poza Stefanem Zółkiewskim, który na posiedzeniu komisji sejmowej odważył się powiedzieć, co o tym wszystkim sądził; poza Tadeuszem Kotarbińskim, który złożył wszystkie funkcje i urzędy i wystąpił w naszej obronie na posiedzeniu Prezydium PAN — wszyscy nabrali wody w usta. Nawet Prezes PAN, Janusz Groszkowski, który przecież mógł protestować, gdyż był wówczas nienaruszalny, nie zrobił nic. Dopiero w długi czas potem sam zaczął ziorzeczyć i stał się "ofiara systemu". Nie przypominam tego, żeby ogłaszać werdykt o nim. Chcę podkreślić jedynie, że takie postawy górowały, a to bardzo boleło.

To był piekielnie trudny okres. O ile jednak wówczas uznawałem, że wyrządzono mi straszną krzywdę, o tyle później, już z perspektywy lat, zacząłem uważać epokę związaną z Marcem za jeden z najpiękniejszych okresów mojego życia. Dzięki niej stałem się innym człowiekiem. Poczuję się wolny. Mogłem mówić "ja", a nie "my", i wszystko robić na własny rachunek. Nie musiałem — ze względu na lojalność wobec partii — brać odpowiedzialności za partyjnych troglodytów. I co więcej: praca, którą prowadziłem w gruncie rzeczy już od początku lat sześćdziesiątych, to znaczy krytyczna analiza mojego światopoglądu, mogła być dokonywana w sposób swobodny i odpowiedzialny, tak jak to robi intelektualista.

Moja ewolucja światopoglądowa podążała w tym kierunku, że nie zrezygnowałem z określonych motywów marksizmu jako metody filozoficznej. To kwestia nazbyt specjalistyczna, abym mógł motywy te teraz wyłożyć, ale najogólniej mój marksizm polega na takich przesłankach, które weszły już w skład nowoczesnej myśli humanistycznej. Dotyczy to na przykład ujęcia badanej problematyki w jej historyczno-społecznym kontekście, ze względu na opozycje ideologiczne danej epoki. Natomiast z komunistycznej mrzonki, która nazywa się realnym socjalizmem wyleczyłem się w sposób radykalny.

Dzisiaj myślę, że ów marcowy dramat był w gruncie rzeczy moim szczęściem. Walczyłem do końca, uczciwie... Być może to poczucie odpowiedzialności za siebie przeszłego, spowodowało, że zostałem w kraju.

— Po kolei wyjeżdżali Kotakowski, Baczko, Brus...

— A ja, dyskryminowany przez tyle lat, pozbawiony możliwości nauczania, kiedy od 1972 roku zacząłem dostawać wreszcie paszport, zawsze wracałem. Proponowano mi katedry w Bostonie, Seattle. Nie przyjąłem tych propozycji i wcale tego nie żałuję. Może tam miałbym lepsze warunki materialne, ale moje miejsce jest tutaj.

— Co to znaczy?

— Myślę, że moja obecność tutaj, odczyty, z którymi jeździłem po całej Polsce, moja niezależność myślenia, mówienie wprost o tym, jak jest — to wszystko oddziaływało na młode pokolenie, głównie na środowiska artystyczne i studenckie, które mnie zapraszały.

Do połowy lat siedemdziesiątych byłem dla wielu młodych ludzi — tak mi ze wszęch stron mówiono — autorytetem moralnym.

Najważniejsze było to co mówiłem, ponieważ to co pisałem drukowano rzadko i z trudnościami. Moje odczyty w tym okresie dotyczyły nie tylko problematyki artystycznej. Poprzez sztukę, poprzez sytuację w kulturze, a często bezpośrednio mówiłem o zagadnieniach społecznych i politycznych. Wypowiadałem się tak, jakbym żył w normalnych warunkach, jakby ten system tu nie istniał. Unicestwiłem cenzurę — nie tylko w sobie, ale i w przestrzeni zewnętrznej, mówiłem to co myślę — bez żadnych aluzji czy kamuflaży.

Stanisław Lorentz zachował się znakomicie — przyjął mnie do pozornej pracy w Muzeum Narodowym, nic bowiem nie miałem wspólnego z muzealnictwem. Potem przez kilka lat byłem "obcym ciałem" w Instytucie Sztuki PAN — w jego prace włączył mnie dopiero Andrzej Ryszkiewicz, obejmując dyrekcję w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Ponieważ jawnie mnie dyskryminowano, byłem paradoksalnie w sytuacji luksusowej — nie miałem nic do stracenia. Nie mogę więc chlubić się żadnym bohaterstwem. Niemniej moje wystąpienia robiły wrażenie. Kiedy bowiem inni milczeli bądź służyli przy stole błędnym, gdyż drżeli o posady i pozycje, ja wskazywałem, że król jest nagi, a dworacy podli.

Potem pojawiły się inne autorytety, przyszła fala korowska. Byłem bliski tych ludzi, ale nie zaangażowałem się jak należało to uczynić. Nie czułem powołania do odgrywania roli *homo politicus*.

A później, od jesieni 1980 do lata 1981 wykładałem we Frankfurcie nad Menem. Wróciwszy, włączyłem się do pracy warszawskiego zespołu doradców "Solidarności", ale to już było za późno, aby móc cokolwiek dać z siebie.

I pozostałem po dzień dzisiejszy dysydem, który myśli tak, jak duża część opozycji, podobnie postępuje, ale krytykę tego systemu uprawia w pojedynkę. Moja postawa jest raczej postawą odyńca, który walczy sam, na własną modłę. Oczywiście mając sojuszników, którzy wiedzą o tym, że jestem z nimi silnie związany.

— *Związany z Europą, ze światem... Co ostatecznie decyduje o tym, że jest Pan jednak tutaj?*

— Maciszewski, kiedy w latach siedemdziesiątych był kierownikiem Wydziału Nauki KC oświadczył mi kiedyś, że nie dostanę paszportu, jeżeli nie zobowiążę się, że wyjadę z kraju na zawsze. Byłem bliski ataku furii, krzyknąłem, że to nie on będzie decydował o moim miejscu na świecie.

Uważałem, że jeśli przedtem byłem wojującym marksistą, to mam obowiązek zostania tutaj i płacenia za to, w czym uczestniczyłem. Gdybym wyjechał, to byłoby tak, jakbym wymazał z pamięci swą wcześniejszą działalność. Za udział w życiu partii, która zadawała cierpienia innym, powinienem — tak myślałem po "dostojewsku" — sam pocierpieć.

— *Poczucie winy było aż tak wielkie?*

— Może nie winy, ale współodpowiedzialności. Czuję, że swoją gołgotę muszę przeżyć tu, na miejscu.

Proszę tego jednak nie rozumieć tak, że mam jakiegokolwiek pretensje do kolegów, którzy zrobili coś innego. Każdy odpowiada za siebie i wybiera własne racje. Te, które przemawiały za ich wyjazdem na stałe z Polski, były równie silne, jak moje przeciwności.

— *Rozumiem — każdy ma prawo do własnej drogi i do zachowania jej odrębności. Jakie racje zdecydowały jednak o tym, że w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy sojuszników zaczynało być coraz więcej, Pan decydował się wciąż opowiadać przeciw systemowi samotnie? W Towarzystwie Kursów Naukowych choćby — tak sądzę — mógł Pan zachować niezależność myślenia, będąc jednocześnie w jakiejś wspólnotie. Dlaczego się Pan nie przyłączył?*

— Kiedy koledzy zaproponowali mi zajęcia w TKN-ie, od razu zaznaczyli, że pociągną one za sobą bolesne koszty. Wykluczyłyby jedyne radości, jakie mi pozostały — wyjazdy na wykłady zagraniczne. I tak z trudem i zawsze dopiero po kilku odwołaniach dostawałem paszport. To była słabość, którą nie wybaczyłem sobie do tej pory. Nie jestem, jak widać, ze spłzu.

— *Włęcz i Pan miał coś do stracenia.*

— Wówczas, u schyłku lat siedemdziesiątych zaiste musiałem już wybierać: podróże za granicę, podczas których regenerowałem siły duchowe, bądź ascetyczny żywot tutaj, po stronie podziemia występującego wprawdzie jawnie, ale stojącego przeciw panującemu prawem bezprawia. To jawny minus w moim życiorysie, że wybrałem pierwsze. Usprawiedliwieniem głębszym niżli radość korzystania z tych strzępów wolności, jakie były mi dostępne, może być jedynie fakt, że nie jestem człowiekiem żadnej frondy. Być może dlatego tak wielką pomyłką życiową była moja przynależność do partii.

Zawsze działałem sam. Taki jestem. Chciałem być niezależny nawet przynależąc do organizacji. Kiedy odzyskałem całkowitą suwerenność, nie ciągnęło mnie już wiązanie się z jakimkolwiek ugrupowaniem. Przeszkadza mi w każdej organizacji etos gromadny. Moja struktura dysydencka ma w sobie coś anarchizującego. Nie lubię żadnych przywódców.

— *W latach sześćdziesiątych był Pan jednak aktywnym homo politicus.*

— To sytuacja zrobiła ze mnie kogoś takiego. Stanowisko dziekana, możliwość i konieczność działania w tym kontakcie, poczucie odpowiedzialności za to co robię, kontakty ze studentami — to wszystko spowodowało, że stałem się człowiekiem zaangażowanym w walkę polityczną. Potem zaś władza, dyskryminując mnie przez tyle lat, zmuszała mnie niejako do aktywnej kontrakcji.

Natomiast od środka jestem kimś innym — nieustannie krytycznym, obserwującym samego siebie i duchowo mi bliskie otoczenie, *homo disidens* czujnym na to, czy aby nie absolutyzuje się wolności pojmując ją jako cel sam w sobie.

Przeszedłem drugą drogę: od marksizmu do światopoglądu podejrzliwego wobec wszelkich bożków i dogmatów, co przetransponowane na dawną formułę Leszka

Kotakowskiego odpowiada orientacji antykapłańskiej. Jednocześnie z upływającymi latami coraz wyraźniej kształtuje się moja koncepcja człowieka jako *homo religiosus*. Człowiek, uwikłany w nierozwiązywalne sprzeczności, wciąż szuka jakiegoś absolutu i nie może go znaleźć. Jedyny osiągalny w ramach naszego dziedzictwa kulturowego absolut krystalizuje się w łożysku chrześcijańskim. W miejsce Boga judaistycznego — patriarchy, pantokreatora, jako alfa i omega rysuje się postać Jezusa Chrystusa, Boga — człowieka cierpiącego na krzyżu swoją i wszystkich nas mękę. Dającego najgłębsze świadectwo tragizmowi naszego bytowania, kiedy pyta: "Panie, Panie, czemuś mnie opuścił?". I — jak u Abramowskiego — wyzwającego ciemleżonych, sytuującego się przeciw zinstytucjonalizowanej religii.

Coraz bardziej krążę więc wokół fenomenu religijności, który jednocześnie mnie przyciąga i odpycha. Przyciąga, gdyż bezeń egzystencja wydaje się pusta — "błazeńska" postawa wyrażona jest z wartości. Odpycha, gdyż religijność implikuje kościelność, a ta kojarzy mi się z partyjnością oraz z kapłańskimi pewnikami. Nie wiem, czy będę w stanie wyjść poza tę sprzeczność. Na razie wciąż dochodzę do granicy: jeżeli Bóg jest, to jest nieosiągalny. Pozostaję więc przy teologii negatywnej — ani kroku dalej, ani kroku wstecz.

— W jaki sposób godzi się koncepcja człowieka religijnego z tym podstawowym zrębem marksistowskim, o którym sam Pan mówił, że jest dla Pana istotny do dziś?

— Łączy się tylko w tym sensie, że z marksizmu zaczerpnąłem i chyba nadal czerpię owa krytyczno-dysydencką postawę. Marksizm ponadto uczulił mnie na sprzeczności nierozwiązywalne — chce się odpowiedzi ostatecznych, a otrzymuje się odpowiedzi tylko cząstkowe. Oczywiście, można by te motywy znaleźć również w innych systemach filozoficznych. Natomiast wyraźnie kłóci się z tradycją marksowską — którą sobie do własnego światopoglądu przykroiłem — fakt, że stawiam znaki zapytania wobec zasady Rozumu, jakoby wszechogarniającego, że egzystencję człowieka uważam za zagadkę, że dopuszczam istnienie Boga. Marksizm miał się sprawdzić w "boski" sposób tu, na ziemi. Nic dobrego z tego nie wyszło. Trzeba by więc z pokorą przyznać, że człowiek jest tylko człowiekiem, a nie aż człowiekiem. Przenieść punkt ciężkości na transcendencję, na metafizykę, na tajemniczą irracjonalność naszego istnienia. Ryzyko jest mniejsze gdy założymy, że Królestwo Boże nie jest z tego świata, że człowiek może i powinien tylko dążyć do niego...

— Ono jest też w nas.

— Ale tylko jako nieodzowna potrzeba, którą powinniśmy wciąż pleęgnować. Można ją nazwać światłem bożym, ale niepodobna jej sprawdzać.

— Zastanawiam się, co nie pozwala Panu ostatecznie uznać Boga za oczywistość bezsporną — wciąż mówi Pan o tym w trybie warunkowym. Co jest tym garbem? Czy nie marksizm właśnie?

— Nie sędzę. Marksizm był dla mnie zastępczą religią. Mimo, iż pożegnałem się z nią, zwracając ku autentycznej, wciąż mam przed sobą znaki zapytania, które wyłaniały się i w tamtym procesie. To nie są te same znaki, ale niepokój — chyba ten sam. I dobrze, że jest.

Rozmawiała Ewa Zyllńska.

WYPISY

"A Konrad niech na scenę wróci
Z ludem, Guślarzem, Księdzem Piotrem...
I niech przeklęty będzie ucisk.
I kto Październik zdradził — łotrem."

(z anonimowego wiersza marcowego)

"Byliśmy na dziedzińcu Uniwersytetu w piątek, 8 marca. Ze ściśniętym sercem słuchaliśmy rozhisteryzowanych wrzasków, zawierających obelgi pod adresem robotników i władz uczelnianych.(...) Widzieliśmy jak garstka prowodyrów zaszokowana zdecydowaną postawą warszawskich robotników, przybytych wprost od warsztatów na uczelnię, aby zapobiec przerodzeniu się wiecu w uliczne awantury, wypchnęła młodą dziewczynę, która uderzyła w twarz robotnika, chowając się następnie za plecami rycerskich dzentełmenów.

W szarej gromadzie studenckiej rej wiedli osobnicy ubrani w ortallony, elastyki, wykwinne golfy, zagraniczne botki, kurteczki we wszystkich odcieniach i fasonach. (...) Ekstrawagancy w ubiorze i postawie, prowokująco agresywni, butni i pewni siebie. To oni przegrywali w ciągu jednej nocy parę tysięcy w pokera w zakamarkach studenckich klubów. To do nich wołały dziewczyny w skórzanych kostiumikach: «Dzery, podaj mi coca-cola, bo to nasze świętstwo nic nie warte...». Nieraz już nazwiska i pozycje służbowe tatusiów ratowały ich z opresji. Na dziedzińcu Uniwersytetu oni narzucali ton, oni zaczęli skandowanie antypolskich haseł, oni darli Konstytucję PRL, której egzemplarze mieli przygotowane w kieszeniach na tym rzekomo spontanicznym wiecu."

(z artykułu Aliny Reutt, Dziesiąta Andruszkiewiczza "Apostołowie", "Walka Młodych" z 24 marca 1968)

8 marca

"24 Sesja Komisji Praw Człowieka obradująca w nowojorskiej siedzibie ONZ uchwalila 7 bm. rezolucję w sprawie kontynuowania działalności mającej na celu powszechne zapewnienie mieszkańcom wszystkich rejonów świata ich praw ekonomicznych i socjalnych. Projekt tego dokumentu (...) przedłożony został uczestnikom obrad przez delegację polską (...) i został uchwalony jednomyślnie. Rezolucja kładzie nacisk na fakt, że cywilne i polityczne prawa człowieka są nieodłącznie związane z należnymi mu prawami socjalnymi, ekonomicznymi, kulturalnymi. Dlatego też rządy poszczególnych krajów powinny gwarantować równoległy rozwój wszystkich praw swoich obywateli."

(z notatki PAP, "Zycie Warszawy")

"My, studenci uczelni warszawskich, zebrani na wiecu w dniu 8 marca 1968 roku, oświadczamy:

Nie pozwolimy nikomu deptać Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Represjonowanie studentów, którzy protestowali przeciwko haniebnym decyzjom zakazującym wystawiania "Dziadów" w Teatrze Narodowym, stanowi jawne pogwałcenie Art. 71 Konstytucji.

Nie pozwolimy odebrać sobie prawa do obrony demokratycznych i niepodległościowych tradycji Narodu Polskiego.

Nie umilkniemy wobec represji.

Zadamy unieważnienia decyzji o usunięciu kolegów: Adama Michnika i Henryka Szlajfera.

* Wypis z prasy umieszczony pod daną datą oznacza publikację z tego dnia.

Pierwodruk — KARTA nr 5.

Ządamy umorzenia postępowania dyscyplinarnego przeciwko Ewie Morawskiej, Marcie Petruszewicz, Józefowi Dajczgewandowi, Marianowi Dąbrowskiemu, Sławomirowi Kretkowskiemu, Janowi Lityńskiemu, Wiktorowi Nagórskiemu i Andrzejowi Połowczykowi, obwinionym o udział w demonstracji studenckiej po ostatnim przedstawieniu «Dziadów».

Ządamy przywrócenia Józefowi Dajczgewandowi należnego mu stypendium.

Domagamy się, aby w terminie dwutygodniowym od dnia dzisiejszego Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, Henryk Jabłoński oraz Rektor Uniwersytetu Warszawskiego udzielili bezpośrednio zbiorowości studenckiej odpowiedzi na powyższe żądania.

My, studenci Warszawy, zebrani na wlecu 8 marca, wyrażamy pełne poparcie dla rezolucji Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Literaci potępiłi zaostrzenie cenzury i zdjęcie z afisza «Dziadów» Adama Mickiewicza.

Solidaryzujemy się z głosem środowisk twórczych w obronie kultury i swobód obywatelskich.

(rezolucja podjęta na wlecu przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego – wg "Marzec 1968. Dokumenty, odezwy i ulotki", Politechnika Warszawska, powiel., 1981)

9 marca

"W piątek z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet, zgodnie z wieloletnim zwyczajem, w całym kraju odbyły się setki spotkań, akademii i wieczornic. Wyrażano na nich uznanie dla zawodowej i społecznej pracy kobiet."

(z notatki PAP na pierwszej kolumnie "Życia Warszawy")

"W godzinach popołudniowych w piątek w rejonie Krakowskiego Przemieścia i Nowego Świata powstały zakłócenia w ruchu ulicznym i komunikacji. Przyczyną ich była sytuacja, jaka wytworzyła się na terenie Uniwersytetu Warszawskiego, w wyniku nieodpowiedzialnych wystąpień grupy studentów, do których dołączyły się elementy chuligańskie(...)

Na Uniwersytecie Warszawskim co pewien czas daje znać o sobie grupka awanturników, wywodząca się z kręgów bananowej młodzieży, której obce są troski materialne, prawdziwe warunki życia i potrzeby naszego społeczeństwa(...)

Oni to byli sprawcami wczorajszych zajść, wykorzystując jako pretekst usunięcie z uczelni dwóch studentów, znanych z anarchistycznych wystąpień na terenie Uniwersytetu(...)

Owej grupce prowodyrów udało się wczoraj wciągnąć część młodzieży studenckiej. Jest to tym bardziej godne ubolewania, że ci studenci nie uważali za wskazane odciąć się od szumowin, które dołączyły do nich, wykorzystując jak zawsze tego typu okazje do «rozróby».

Wystąpienia studentów UW przeniosły się poza mury uczelni na ulicę. Przechodnie przypatrywali się rozhisteryzowanym i rozkrzyczanym młodzieniaszkom początkowo z dezaprobatą, a potem z otwartym oburzeniem. Tym bardziej, że grupy studentów tamowały ruch uliczny w godzinach powrotu ludzi z pracy do domu.

Aktyw społeczno-polityczny niektórych warszawskich zakładów pracy starał się wspólnie z władzami uczelni rozładować sytuację, nawołując do spokojnego rozejścia się. Ponieważ perswazja nie odniosła skutku, do akcji musiała wkroczyć ORMO, a następnie Milicja Obywatelska(...) Wszyscy odpowiedzialni i myślący mieszkańcy Warszawy odcinają się od tych prób zakłócenia ładu, czemu wielu z nich dało wyraz na miejscu, będąc naoczniymi świadkami tych zajść."

(z nie podpisanej notatki "Komu to służy?" w dziale miejskim "Życia Warszawy")

PRASA KLAMIE

(hasło na budynkach Uniwersytetu i Politechniki)

11 marca

"Jak już podawaliśmy, w piątek doszło na Uniwersytecie Warszawskim do godnych pożałowania zajść zakłócających tok pracy uczelni oraz porządek publiczny. Pretekstem dla organizatorów było relegowanie z uczelni dwóch studentów — Adama Mlechnika z Wydziału Historii oraz Henryka Szlajfera z Wydziału Ekonomii Politycznej, którzy zostali usunięci po wielokrotnych upomnieniach za notoryczne organizowanie awantur politycznych i za przekazywanie fałszywych wiadomości do antypolskich ośrodków propagandowych oraz za łamanie zarządzeń władz uczelni.

W dniu wczorajszym określone grupy studentów usiłowały znowu wywołać ekscesy na ulicach, co spowodowało interwencję władz porządkowych."

(z nie podpisanej notatki "Ku rozwadze" w dziale miejskim "Życia Warszawy")

"Żądamy przywrócenia pełnych praw akademickich studentom usuniętym z Uniwersytetu (...), uwolnienia wszystkich studentów i pracowników naukowych zatrzymanych i aresztowanych w związku z ostatnimi zajściami (...), ukarania winnych wkroczenia milicji i cywilnych bojówek (...), rekompensaty za szkody fizyczne i moralne wyrządzone ofiarom zajść (...), sprostowania przez prasę kłamliwego obrazu wydarzeń i opublikowania nazwisk osób odpowiedzialnych za wszczęcie represji skierowanych przeciwko studentom. (...) Domagamy się zapewnienia instytucjonalnych gwarancji przestrzegania zasad wolności nauki i swobód obywatelskich i akademickich oraz prawnej gwarancji przestrzegania autonomii wyższych uczelni."

(z rezolucji studenckiej uchwalonej na wiecu w Audytorium Maximum — rozplakatowanej za zgodą władz uniwersyteckich na wszystkich wydziałach UW)*

"1. Co zamierza uczynić Rząd, aby powściągnąć brutalną akcję milicji i ORMO wobec młodzieży akademickiej i ustalić odpowiedzialność za brutalne traktowanie tej młodzieży?

2. Co zamierza Rząd uczynić, aby merytorycznie odpowiedzieć młodzieży na stawiane przez nią pytania, które nurtują także szeroką opinię publiczną, a dotyczące demokratycznych swobód obywatelskich i polityki kulturalnej rządu?"

(z interpelacji koła poselskiego Znak, złożonej na ręce Prezesa Rady Ministrów, Józefa Cyrankiewicza)

"Jest rzeczą naturalną i zarazem optymistyczną, że wbrew modnym współcześnie tendencjom do wszelkiego typu indyferentyzmu i oportunistycznego wygodnictwa, polska młodzież uniwersytecka posiada żywe zainteresowania ideowo-polityczne (...). Nie można również z uznaniem nie podkreślić, że obce jej są nastroje antysemitki. (...) Komentarz do wypadków, o których z bólem piszemy, nie może się obyć bez zarysowania tła i wskazania bezpośrednich inspiratorów i organizatorów.

Nie jest dla nikogo politycznie zorientowanego tajemnicą sojusz zawarty między państwem Izrael i NRF (...). Z sojuszu tego wynikają, oczywiście, nie tylko usługi NRF dla Izraela, ale i odwrotnie. Te usługi Izraela i syjonizmu dla NRF ujawniły się w podjętej szeroko kampanii, która z jednej strony ma wystawić świadectwo moralności władzom NRF i oczyścić je z hitlerowskiej, zbrodniczej przeszłości, a z drugiej strony zohydzić prowadzoną przez naród polski walkę podziemną z hitlerowskim okupantem i przerzucić na naród polski odpowiedzialność za wymordowanie sześciu milionów Żydów w obozach koncentracyjnych. Ta kampania próbuje równocześnie podważyć autorytet kierownictwa politycznego Polski Ludowej, a przede wszystkim Władysława Gomułki, który jest uosobieniem jedynie słusznej polityki międzynarodowej (...).

Syjonisci w Polsce podjęli to zamówienie polityczne NRF (...), chcieliby przeciwstawić w pierwszym rzędzie intelektualistów i młodzież naczelnym nakazom patriotycznej

* Rezolucje studenckie oraz inne dokumenty cytowane tutaj bez podania źródła pochodzą z książki Marka Tarniewskiego "Krótkie splecie".

odpowiedzialności za Polskę Ludową. (...) Kto to są ci ludzie? (...) Wśród inspiratorów znajdziemy tych samych, którzy ponoszą faktyczną odpowiedzialność za błędy i niepraworządności okresu stalinowskiego. Oni usiłowali w latach 1956-1958 wykołować dynamikę patriotyczno-socjalistyczną polskiego społeczeństwa w tym okresie. Ponieważ te usiłowania (...), na przykład Stefana Staszewskiego, spełżyły na niczym, ludzie ci już otwarcie przeszli z pozycji socjalistycznych na pozycje nacjonalizmu syjonistycznego. (...) Weszli w łatwy kontakt z tymi wyizolowanymi środowiskami, których polityczne zaślepienie rzuciło — jak: na przykład Stefana Kisielewskiego — w występowanie się antypolskiej polityce NRP. (...) Rozgoryczenie zbankrutowanych politycznie i służących źle sprawie ojców, w sposób zgubny wychowało ich rodzinne i duchowe potomstwo.

W grupie organizatorów znajdujemy więc Antoniego Zambrowskiego, syna Romana Zambrowskiego; Katarzynę Werfel, córkę Romana Werfla; córkę profesora PAN-u, Martę Petruszewicz; Henryka Szajfera, syna cenzora z Urzędu Kontroli Prasy; Adama Michnika, syna starszego redaktora w "Książce i Wiedzy"; dalej studentów: Blumsztajna, Rubinsteina, J. Dajczgewanda, Mariana Alstera, Irenę Grudzińską, córkę wiceministra leśnictwa Jana Grudzińskiego, i innych. Część tych organizatorów spotykała się w klubie «Babel», przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym Żydów.

Właśnie ci ludzie (...) chcieli zakłócić odpowiedzialną patriotycznie więź między społeczeństwem i władzą ludową."

(z nie podpisanego artykułu "Do studentów Uniwersytetu Warszawskiego", "Słowo Powszechne")

12 marca

KOLEJNE EKSCESY W WARSZAWIE NIEODPOWIEDZIALNYCH ELEMENTÓW

WARSZAWA CHCE SPOKOJU

NARADA AKTYWU SPOŁECZNO-POLITYCZNEGO STOLICY

WIECE I MASOWE ZEBRANIA W ZAKŁADACH PRACY

(tytuły z pierwszej kolumny "Życia Warszawy")

WIĘCEJ DZIECI ROBOTNIKÓW I CHŁOPÓW NA WYKSZE UCZELNIE!

LITERACI DO PIÓRA - STUDENCI DO NAUKI!

(hasła z transparentów podczas zebrania załogi PSO, cytowane w nie podpisanym materiale PAP, "Życie Warszawy")

"Solidaryzujemy się z postawą i podstawowymi hasłami ogłoszonymi przez młodzież studencką uczelni warszawskich (...). Żadamy od prasy rzetelnych informacji o zaistniałych wypadkach. (...) Nieodpowiedzialne i kłamliwe sformułowania grożą obudzeniem w narodzie ponurych idei antysemitkich i wywołaniem konfliktów między klasą robotniczą a młodzieżą akademicką."

(z rezolucji uchwalonej na wiecu studentów w auli Politechniki Wrocławskiej)

"Potępiamy policyjne metody zastosowane przy rozładowywaniu sytuacji na wiecach w Warszawie (...). Domagamy się wolności prasy, publikacji i widowisk oraz weryfikacji metod funkcjonowania organów kontroli."

(z rezolucji studentów Politechniki Gdańskiej, uchwalonej w holu głównym Politechniki po przemówieniu I sekretarza KW, Stanisława Kociołka)

"Ruch młodzieży uniwersyteckiej rozwijający się poza ramami oficjalnych organizacji jest od czterech dni autentycznym ruchem masowym, jednoczącym przytłaczającą większość studentów UW. Wyrazem tego ruchu było zebranie studenckie w Audytorium Maximum w dniu 11 marca 1968. (...) Udzielenie młodzieży wyjaśnień i satysfakcji powinno polegać na:

- publicznym sprostowaniu fałszywych informacji i interpretacji, jakie na temat ostatnich zajęć opublikowała prasa warszawska;
- potępieniu aktów brutalnej przemocy, jakich w stosunku do studentów dopuścili się w ostatnich dniach formacje MO i nie umundurowane formacje pomocnicze; ustaleniu kto za to ponosi odpowiedzialność i jak zostanie ukarany;
- wystąpieniu Rektora do odpowiedzialnych władz o wstrzymanie postępowania sądowego i karno-administracyjnego oraz o odszkodowanie materialne dla ofiar zajęć."

(z rezolucji Rady Wydziału Filozoficznego UW, popartej przez wydziałową egzekutywę PZPR i ogólne zebranie pracowników Wydziału zwołane przez ZNP)

CO SIĘ KRYJE ZA ULICZNYMI AWANTURAMI? PRZYJRZEĆ SIĘ PROROKOM!

(tytuły z "Kuriera Polskiego")

"Jak to się stało, że część młodzieży akademickiej stolicy, znanej z patriotycznej postawy i zarliwego zaangażowania na rzecz socjalizmu, wzięła udział w wiecu, na którym padały wrogie Polsce Ludowej okrzyki, prowokacyjne hasła? (...) Jakże silny stoją za całą tą historią? (...) Oto fakty. W dniu 29 lutego odbył się nadzwyczajny zjazd Oddziału Warszawskiego ZLP. Inicjatorem zwołania zjazdu była grupa członków ZLP (...): Paweł Jasienica, Andrzej Kijowski, Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski, Januś Grzędziński, Jerzy Andrzejewski, Leszek Kołakowski. Na zjeździe (...) wygłaszano wrogie Polsce Ludowej i socjalizmowi przemówienia. (...) Chodziło o sprowokowanie młodzieży do manifestacji. Na użytek młodych, naiwnych a gorących, szermowano pięknymi hasłami wolności, demokracji, rzekomo zagrożonych w naszym kraju. (...) Materiały ze zjazdu zostały następnie przekazane przez Pawła Jasenicę studentom Adamowi Michnikowi i Irenie Grudzińskiej, prowodyrom zajęć na Uniwersytecie. W ten sposób prowokacyjne wystąpienia niektórych zaciekłych wrogów Polski Ludowej odpowiednio spreparowane (...) stały się bezpośrednią przyczyną późniejszych ekscesów. (...)

Wielu spośród politycznych przyjaciół Jasienicy idąc po linii życzeń izraelsko-NRF-owskiej propagandy szkaluje nasz rząd i naród, przypisując nam antysemityzm. (...) W rządzie przyjaciół Izraela stanął także drugi z inspiratorów ostatnich ekscesów, Antoni Słonimski (...), który śledząc w kawiarence PIW przy ulicy Foksal w towarzystwie osławionego «encyklopedysty» Stefana Staszewskiego i jemu podobnych, odbywa z nimi polityczne narady, a potem poucza synków i córeczki różnych ex i jeszcze czasem aktualnych potentatów, jak wywoływać prowokacyjne awantury. To od Jasienicy, Słonimskiego, Stefana Kisielewskiego, zwolennika porozumienia z NRF na gruncie haniebnego «przebaczamy i prosimy o przebaczenie», (...) uczył się politykierskiej gry Adam Michnik. To oni wychowywali Ideowo Katarzynę Werfel, córkę byłego ideologa okresu stalinowskiego; Wiktora Góreckiego, syna generalnego dyrektora Ministerstwa Finansów; Irenę Grudzińską, córkę wiceministra leśnictwa, i wielu innych.

Powiedzmy sobie szczerze. Nie zaczęło się to ani wczoraj, ani miesiąc czy rok temu. W 1962 roku powstał w Staromiejskim Domu Kultury Młodzieżowy Klub Poszukiwaczy Sprzeczności czyli Raczkujących Rewizjonistów. Organizatorami klubu byli m.in. Adam Michnik, Władysław Kofman, Aleksander Perski i Jan Gross. Wśród członków klubu znaleźli się: Józef Blass, Włodzimierz Rabinowicz, Wiktor Górecki, Katarzyna Werfel, Seweryn Blumsztein, Józef Dajczgewand, Ewa Zarzycka, Maciej Czerniakowski, Helena Brus i inni bananowcy. Większość z tych nazwisk spotkamy później wśród organizatorów zajęć na Uniwersytecie Warszawskim. (...) Wśród ludzi, którzy roztoczyli swą opiekę nad klubem, znajdujemy także nazwiska, jak Zygmunt Bauman, Leszek Kołakowski, Włodzimierz Brus, a także (...) Adam Schaff. Więc szukali chłopcy i dziewczątka z tatusiowych limuzyn owych sprzeczności i uczyli się rewizjonistycznego rączkowania pod kierunkiem wytrawnych speców. (...) Działalność klubu ze względu na jej wrogi charakter została zakazana. Trwała jednak i rozwijała się działalność Klubu Babel przy Społeczno-Kulturalnym Towarzystwie Żydów przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. (...) W tym klubie czczono uroczyste podboje Izraela. (...) Członkowie klubu na obozach letnich nosili demonstracyjnie gwiazdy Dawida i śpiewali na nutę Mazurka Dąbrowskiego:

-Przejdziem Synaj, przejdziem Gazę
będziemy Żydami,
dał nam przykład Mosze Dajan
jak zwyciężać mamy.»

(...) To co napisałem jest tylko częścią prawdy. Ukazuje tylko niewielką garść faktów. Jest ich wiele. Studenci! Chłopczy i dziewczęta! Cenię i kocham waszą zarliwość i zapał. Cenię i kocham waszą odwagę przekonać. Uczcie się jednak trzeźwo patrzeć na otaczające was zjawiska i ludzi (...). Nie dajcie się prowadzić na pasku prowokatorów.»

(z artykułu Ryszarda Gontarza "Inspiratorzy",
"Kurier Polski")

"My stanowczo przeciwstawiamy się antysemityzmowi, ale nie pozwolimy na uprawianie u nas syjonistycznej propagandy i działalności. (...) Nie możemy i nie będziemy tolerować jakichkolwiek nieodpowiedzialnych wybryków młodzieży uczącej się, czy też nie uczącej się. Chcę poinformować towarzyszy, że podjęte zostały decyzje o wyciągnięciu wniosków służbowych w stosunku do rodziców zajmujących kierownicze stanowiska, których dzieci czynnie uczestniczyły w organizowaniu ostatnich awantur."

(z przemówienia i sekretarza KW PZPR Józefa
Kępy, na spotkaniu z aktywnym społeczno-politycznym
stolicy, "Kurier Polski")

"Dla ułatwienia organom Milicji Obywatelskiej likwidacji ewentualnych dalszych prób wszczynania chuligańskich wybryków, przechodnie nie powinni — w interesie własnego bezpieczeństwa — zatrzymywać się w pobliżu miejsc objętych akcją porządkową."

(z nie podpisanej notatki "Poniedziałkowe
ekscesy na ulicach Warszawy", "Kurier Pol-
ski")

13 marca

W ŚRODĘ W WARSZAWIE PANOWAŁ SPOKOJ
PONAD 4,5 TYS. STUDENTÓW WYJEDZIE W BR. NA PRAKTYKI

(tytuły z pierwszej kolumny "Życia War-
szawy")

"(...) Na uwagę zasługuje ofiarność szerokich rzesz aktywu społeczno-politycznego działającego na rzecz wyjaśniania społeczeństwu problemów politycznych związanych z awanturami wywoływanymi przez wichrzycieli (...)."

(z notatki PAP, "Życie Warszawy")

"Prezes Rady Ministrów zwolnił z zajmowanych stanowisk Jana Grudzińskiego — podsekretarza stanu w Ministerstwie Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, Jana Góreckiego — dyrektora generalnego w Ministerstwie Finansów i Fryderyka Topolskiego — pełnomocnika rządu do spraw aglomeracji przemysłu w m.st. Warszawie."

(notatka PAP z pierwszej kolumny "Życia
Warszawy")

"My, studenci Politechniki Warszawskiej, zebrani na legalnym wiecu w dniu 13 marca 1968 w obecności JM Rektora i Senatu, składamy na ich ręce Rezolucję z niżej następującymi postulatami, prosząc o przekazanie jej tekstu do Sejmu PRL, KC PZPR i innych wyższych władz. W związku z tragicznymi zajściami w środowisku studenckim Warszawy w ostatnich dniach, solidaryzując się ze studentami pozostałych uczelni warszawskich, Żądamy:

1. Przestrzegania Konstytucji PRL, a w szczególności paragrafu 71, który brzmi: «PRL zapewnia obywatelom wolność słowa, druku, zgromadzeń i wieców, pochodów i manifestacji».
2. Uwolnienia i zaprzestania represji w stosunku do wszystkich studentów uczelni warszawskich i opublikowania pełnej listy aresztowanych.
3. Ukarań winnych brutalnych akcji przeciwko studentom i ich publicznego napiętnowania.

4. Zaprzestania prób skłócenia klasy robotniczej z postępową inteligencją i młodzieżą studencką.
5. Wyjaśnienia w prasie, radio i telewizji fałszywych informacji o zajęciach oraz ich sprostowania.
6. Zapewnienia nietykalności i bezpieczeństwa studentów na terenach akademickich.
7. Niewyciągania konsekwencji w stosunku do pracowników naukowych za poparcie udzielone studentom.
8. Usunięcia z terenów uczelni i D.S. cywilnych pracowników MSO i MSW.
9. Zdecydowanie odchnamy się od antysemityzmu i syjonizmu.
10. Apelujemy także do wszystkich studentów polskich i całej młodzieży uczącej się o zwiększenie samokontroli i zapobieganie prowokacyjnym wystąpieniom ludzi spoza naszego grona, ludzi obciążających imię studenta polskiego.
11. Żądamy kontynuowania w przyszłości spotkań władz uczelni z ogółem studentów na tematy nurtujące środowisko studenckie."

(rezolucja studentów Politechniki Warszawskiej — przedstawiona później wraz z komentarzem w "Życie Warszawy")

PRECZ Z NOWĄ V KOLUMBIĄ! STUDENCI DO NAUKI

(transponowany na zdjęciu w masówce w hucie "Warszawa", CaP-Łódź, "Życie Warszawy")

"Na dziesiątkach wieców i masówkach z serdeczną treścią mówi się o przyszłości polskiej młodzieży. (...) We wszystkich rezolucjach i wystąpieniach zawarto jest zadanie przykładowego ukarania prowodyrów i inspiratorów takich działań odrzucenia. Że zdają sobie sprawę, że za antypaństwowymi i antypartyjnymi ekscesami kryje się zamędlenie w swych ambicjach bankruci polityczni oraz wrogie elementy syjonistyczne. Poważecznym jest zadanie usunięcia ich z partii i odpowiedzialnych stanowisk. Władzom o zwolnieniu z zajmowanych stanowisk tych, których synowie i córki aktywnie uczestniczyli w zajęciach na UW przyjęta została z pełną aprobatą".

(z materiału PAP, "Życie Warszawy")

"Jako obywatele województwa, na terenie którego do dzisiaj żywa jest pamięć zbrodniczej działalności krwawego «Lupaski», protestujemy przeciwko przynależności do ZLP takich ludzi jak Paweł Jasienica — dezertor z armii polskiej, przez ręką wodza bandy, wsławiony w latach 1944-48. Uczynił mordami spokojnych obywateli Białostoczaniny."

(z notatki PAP, "Życie Warszawy")

"Jak podała zachodniemiecka agencja DPA, studenckie młodzieżowe organizacje w NRF opublikowały list otwarty, w którym wyrażają pod adresem polskiej władzy słowa uznania i zachęty do dalszych ekscesów. Jak echo odezwali się zaraz studenci Izraelcy. (...) Czy gratulacje z obu wrogich Polsce państw wymagają komentarzy? Czy nie jest jasne, że to, co naszemu krajowi szkodzi — ich właśnie raduje?"

(z notatki bez podpisu, "Życie Warszawy")

15 marca

"Wielu czytelników zwracało się listownie lub telefonicznie do naszej redakcji z pytaniem, co to jest syjonizm. Zamieszczamy informację o istocie tego ruchu. Syjonizm to ideologia żydowskiej burżuazji nacjonalistycznej (...). Głównym celem działalności ruchu syjonistycznego (...) było utworzenie państwa żydowskiego i skupienie tam wszystkich Żydów. Co oznaczała realizacja tych hasł? 1. Usunięcie Arabów z Palestyny i skłócenie ich z Żydami. (...) 2. Pogłębienie odrębności ludzi pochodzenia żydowskiego w społeczeństwach mieszanym z mniejszością żydowską (...)

Ruch komunistyczny od początku krytykował syjonizm jako ideologię reakcyjną. Komuniści wskazywali, że syjonści rozbijają klasę robotniczą, że stoją wśród niej właśnie narodowościowe i rasowe, że ich działalność służy eksploatatorom mas pracujących. (...) Przy pomocy Izraela imperialem chce obalić postępowe rządy arabskie, umocnić swą

kontratac nad naftą arabską i przekształcić Bliski Wschód w odskocznnię dla agresji przeciwko Związkiowi Radzieckiemu i innym państwom socjalistycznym."

(z notatki podpisanej J.U., "Trybuna Ludu")

**NA WYSZYCH UCZELNIACH NORMALNE ZAJĘCIA
PONAD 190 TYSIĘCY STUDENTÓW OTRZYMUJE STYPENDIA
STANOWCZY GŁOS POTĘPIENIA POLITYCZNYCH AWANTURNIKÓW I WICHRZYCIELI
W CAŁYM KRAJU ODBYWAJĄ SIĘ SETKI MASÓWEK I WIECÓW
VII ZJAZD SDP OBRADUJE W WARSZAWIE. PARTIA ZAWSZE MOZE LICZYĆ NA
DZIENNIKARZY!**

(tytuły z "Trybuna Ludu")

"Wszystkie zespoły redakcyjne potępiły te niedopuszczalne ataki na partię i jej kierownictwo, które nastąpiły podczas zebrania ZLP (...). Wystąpienia organizowane przez nieodpowiedzialnych wicchrzycieli (...) stały się pożywką dla sił reakcyjnych wewnątrz kraju oraz wzmożonej nagonki na Polskę wrogiej propagandy zagranicznej. Poklask «Preles Europa» i innych szczekaczek, judaszowe słowa uznania na łamach gazet w NRF i innych krajach (...) najlepiej charakteryzuje błąd tych, których dobrą wiarę nadużyto dla wyreżyserowanej na zimno politycznej intrygi. (...) Polska jest obiektem szczególnego nateżenia działań wojny psychologicznej i dywersji ideologicznej, a zwłaszcza propagandy radiowej, przede wszystkim ze strony «Preles Europa». Centralną bazą wojny psychologicznej stała się NRF. (...)

Tej wrogiej propagandzie musimy nie tylko stawić zdecydowany odpór, ale i rozwijać skoncentrowany, bardziej skuteczny i bardziej celny kontratak. (...) Niedostatecznie jeszcze demaskujemy rzeczywiste oblicze burżuazyjnej wolności (...), niedostatecznie piszemy o położeniu mas pracujących w kapitalizmie, zalew informacji o powierzchownych przejawach tamtego życia, o błichtrze i reklamie, wyplera albo stępia materiał mówiący o strefach nędzy, regresu i pauperyzacji społeczeństw. Na tym froncie nasze zadania będą się zwiększały w miarę rozwoju techniki."

(z materiału bez podpisu, "Trybuna Ludu")

"Wrogowie Polski Ludowej, którzy pokazali ostatnio swoje oblicze organizując hańsliwe ekscesy w Warszawie, zostaną zmiżdzeni, gdziekolwiek by się znajdowali. Jesteśmy zdecydowani odciąć każdą rękę, która podniesie się na naszą ukochaną Ojczyznę i chciałyby godzić w owoce naszego trudu. Wróg Polski Ludowej, wróg socjalizmu, bez względu na to, czy patronuje mu imperializm, rewizjonizm czy międzynarodowy syjonizm, czy ktokolwiek inny, nie może liczyć w naszym kraju na pobłażanie."

(z rezolucji na wiecu aktywu PZPR w Katowicach, "Trybuna Ludu")

**270 TYSIĘCY KOMUNISTÓW ZE ŚLĄSKA I ZAGŁĘBIA GOTOWYCH NA ZEW TOW. WIESŁAWA!
LITERACI DO PIORA! STUDENCI DO NAUKI!
OCZYŚCIC PARTIĘ Z SYJONISTÓW!**

(transparenty na wiecu w Katowicach, "Trybuna Ludu")

"Faktem jest, że Michnikowie, Szlajferzy, Grudzińscy, Werflowie, Grossowie i im podobni, w wyniku logiki wydarzeń znaleźli się automatycznie poza nawiasem mas studenckich. (...) Bylibyśmy jednak krótkowzroczni, gdybyśmy owe awantury przypisywali tylko grupie studenckich wicchrzycieli. (...) Należałoby zadać sobie proste pytanie. Kto miał interes w tym, by odciągnąć młodzież od nauki i pchnąć ją na drogę awantur? (...) Komu zależało i zależy na tym, żeby przynajmniej osłabić tętno pracy dla Polski Ludowej, zniechęcić do realizacji czynu zjazdowego, śląc w społeczeństwie niewiarę w twórcze siły naszego narodu? (...) Owi Zambrowscy, Staszewscy, Słonimscy i Spółka, ludzie w rodzaju Kisielińskiego, Jasienicy i innych, których nazwiska zna się z komunikatów prasowych, dowiedli niezbicie, że obcy służą interesom. (...) «Dziady» Mickiewiczowskie były dla nich tylko pretekstem do uderzenia politycznego. (...)

Dzisiaj MO naszego województwa zatrzymała samochód, który wiozł na Śląsk grupę studentów z jednej uczelni, warszawskich studentów, którzy jechali zamącić spokojną

ślaska wodą. Nie trudno domyślić się, za czyje pieniądze podróżują ci młodzieźowi emisariusze. Są to ci sami zawiedzeni wrogowie Polski Ludowej, których życie nie nauczyło rozumu (...), różni pogrobowcy starego ustroju, rewizjoniści, syjonści, stugwał imperializmu. Chcę z tego miejsca stwierdzić, że ślaska woda nie była i nigdy nie będzie wodą na ich młyn. I jeśli co niektórzy będą nadal próbowali zawracać nurt naszego życia z obranej przez naród drogi, to ślaska woda pogruchocze im kości."

(z przemówienia i sekretarza KW PZPR
Edwarda Gierka na wiecu w Katowicach,
"Trybuna Ludu")

"Przeszli. Poeto tyknij wódki,
Pozostań w glorii majestacie.
Choć syjonistą był twój Gudkind
Płatą kolumną Żyd — przyjaciel.
Idą chochoły, wiodą natarcie,
Zmiotli już «Dziady», zmiotą i resztę.
Mistrz na cokole stoi uparcie,
Trudno być wieszczem."

(z wiersza "Chochoły" Natana Tenenbauma)

16 marca

"W dniu 15 bm. grupa studentów, uzurpującą sobie na nielegalnym zebraniu prawo do reprezentowania uczelni, wezwała słuchaczy Uniwersytetu Warszawskiego do przerwania zajęć. Nawołujący do przerwania zajęć podejmują działania sprzeczne ze ślubowaniem studenckim i obyczajami Uniwersytetu. Zwracam się w chwili obecnej do wszystkich słuchaczek i słuchaczy Uniwersytetu Warszawskiego z wezwaniem do natychmiastowego powrotu do normalnej pracy."

(oświadczenie rektora, Stanisława Turkiewicza,
rozpowszechniane na UW)

PELNE POPARCIE DLA STANOWISKA KIEROWNICTWA PARTII
TRZEBA ULEPSZYĆ INFORMACJĘ I PUBLICYSTYKĘ
ZJAZD DZIENNIKARZY ZAKOŃCZYŁ OBRADY
NORMALNE ZAJĘCIA NA UCZELNIACH STOLICY
ZA POLSKĄ I SOCJALIZMEM, PRZECIW WICHRZYCIELOM
WIECE I MASÓWKI W CAŁYM KRAJU

(tytuły z "Życia Warszawy")

"Grupa zgromadzona w Audytorium Maximum chce narzucić swoją wolę kilkunastu tysiącom studentów, nam wszystkim! (...) Na to zgodzić się nie możemy! (...) Każdy uczciwy student i pracownik naukowy podejmuje swoje obowiązki! Każdy student z odwagą protestuje przeciwko wykorzystywaniu go dla cudzych, wrogich Polsce i socjalizmowi celów!"

(z materiału bez podpisu w jednostronicowym
numerze specjalnym Biuletynu Okręgowego
Zarządu Studenckiego ZMS w Warszawie
"Nasza Walka")

PAWŁA JASIEŃCĘ — LECHA BEYNARA WYKLUCZYĆ ZE ZWIĄZKU LITERATÓW I IZOLOWAĆ
W SPOŁECZEŃSTWIE — ŻĄDAJĄ RODZINY POMORDOWANYCH I MIESZKAŃCY WSI NAREWKA
(tytuł z "Trybuny Ludu")

"Wiele nowych obiektów dydaktycznych i socjalnych otrzymają w tym roku studenci wyższych uczelni. Tegoroczne inwestycje pochłonęły ponad 750 mln zł (o 100 mln zł więcej niż ub. r.)."

(z notatki PAP, "Życie Warszawy")

17 marca

"Oczekujecie poszanowania elementarnych praw człowieka, chcecie być świadkami swobodnej, rzeczowej i wszechstronnej dyskusji o wszystkich zjawiskach w życiu naszego państwa, kulturalnych i gospodarczych. Chcecie do tej dyskusji wnieść swój udział. (...) Oczekujecie wolności słowa, bo wiecie, że brak tej wolności prowadzi do braku odpowiedzialności, to zaś z kolei powoduje katastrofalne skutki gospodarcze."

(z komunikatu skierowanego do studentów przez wykładowcę matematyki w Politechnice Wrocławskiej, prof. Ryszarda Krasnodębskiego, który podjął głódówkę protestacyjną)

SYJONIŚCI DO DAJANA!

UKARAĆ PROWODYRÓW!

ANTYSEMITYZM — NIE! ANTYSYJONIZM — TAK!

(transparenty na zdjęciu z masówki w zakładach "Ursus", CAF-Rosiak, "Życie Warszawy")

"Spekulantom politycznym różnej maści obca jest sprawa socjalizmu i narodu polskiego. Nie pozwolimy im podnosić ręki na władzę ludową, za którą oddało życie tysiące patriotów i rewolucjonistów. Przysięgamy na pamięć tych, którzy zginęli za władzę ludową, że naszą robociarską pięścią zetrzemy z ziemi polskiej wszystkich inspiratorów i prowodyrów zamachu na robotniczo-chłopską władzę. Nie pozwolimy, aby rewizjonistyczne i syjonistyczne warchoty pomawiali nas o antysemityzm."

(z listu załogi Zakładów Materiałów Magnetycznych "Polfer" do Władysława Gomułki, materiał PAP, "Życie Warszawy")

"Zbrodnicza agresja amerykańska w Wietnamie, agresja Izraela na Bliskim Wschodzie czy też «nowa polityka wschodnia Bonn» wskazuje, że imperializm idzie drogą brutalnej polityki siły, nie waha się przed agresją, przed zbrodniami wojennymi — w imię osiagania swoich brudnych celów, w imię polityki rządzenia światem. Taka polityka oznacza, że wróg w sprzyjających okolicznościach mógłby podjąć próbę nacisku — także zbrojnego, byle tylko złamać nasze granice — powrócić na stary szlak ekspansji niemieckiego militarizmu. (...)

Za grupkami młodych wichrzycieli politycznych kryją się inspiracje płynące od starych graczy politycznych: Zambrowskiego, Staszewskiego i im podobnych (...), ludzi pokroju Słonimskiego, Kisielewskiego i Jasienicy — wytrawnych politykierów od lat (...) idących nogą w nogę z wrogimi Polsce imperialistycznymi ośrodkami dywersji ideologicznej. (...) Za tymi grupami młodzieży kryją się też ich nauczyciele, tacy jak Kołakowski, Brus, Bauman, Baczko, Zakrzewska — 211 nauczyciele i 211 wychowawcy."

(z przemówienia I sekretarza KW PZPR, Stanisława Kociołka, na wiecu w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, "Życie Warszawy")

"Wiemy, że syjoniści nie mogą się pogodzić ze stanowiskiem naszej partii w sprawie agresji Izraela na kraje arabskie. Postanowili więc w odwecie za wystąpienie tow. Wiesława na czerwcowym kongresie Związków Zawodowych, w którym obnażył działalność syjonizmu w Polsce — zaatakować wprost I sekretarza KC i kierownictwo partii. Syjonistyczny legion nie zrezygnował także z judzenia przeciw naszemu wypróbowanemu przyjacielowi, Związkowi Radzieckiemu."

(z przemówienia I sekretarza KW PZPR Henryka Szafrąńskiego na wiecu w Ursusie, "Życie Warszawy")

"Znamy ich teraz dobrze — rutynowanych spekulantów politycznych, dla których zawsze cel uświęca środki. (...) Zambrowscy, Staszewscy, Werflowie (...) nie wahali się w imię swych brudnych interesów pchnąć grupę młodzieży Warszawy przeciwko własnemu krajowi. (...) To syjoniści najenergiczniej w ostatnich latach propagowali oszukańczą «nową

politykę wschodnią» rządu NRP. Oni też chcieliby na biesiadny stół Kiesingerów, Eszkołców i Dajanów wnieść Polskę."

(z przemówienia I sekretarza KW PZPR, Jana Szydłaka, na wiecu w Poznaniu, "Życie Warszawy")

"Teatr Narodowy wystąpił w sobotę z premierą satyry scenicznej M. Bałuckiego «Ciężkie czasy» w opracowaniu i reżyserii K. Dejmka. Przedstawienie, które było koncertem gry aktorskiej, spotkało się z bardzo serdecznym przyjęciem publiczności."

(notatka PAP, "Życie Warszawy")

18 marca

"W związku z pismem Towarzysza Przewodniczącego w sprawie tzw. komitetów studenckich, samowładnie pretendujących do reprezentowania interesów i opinii studentów poszczególnych uczelni warszawskich bądź ich wydziałów (...), informuję, że jedynie legalnie wybrane władze działających na uczelni organizacji młodzieżowych lub akceptowani przez te organizacje delegaci są upoważnieni do reprezentowania studentów wobec władz uczelni."

(Henryk Jabłoński, minister Oświaty, i Szkolnictwa Wzszszego, w odpowiedzi na pismo przewodniczącego Zarządu Stołecznego ZMS, Władysława Polesińskiego, "Nasza Walka")

"W związku z zapytaniami dotyczącymi udziału Ewy Zarzyckiej w ostatnich ekscesach, otrzymaliśmy informację, że istotnie przebywa ona od lipca 1967 w Paryżu. Zanim jednak wybrała się za granicę, u niej to zbierali się członkowie grupy, której przewodził Adam Michnik. (...) Była gospodynią i czynną uczestniczką narad, na których dyskutowano i uzgadniano wicherzycielskie metody działania w środowisku studenckim. (...). Nic więc dziwnego, że nazwisko Ewy Zarzyckiej pojawiło się w prasie na liście prowodyrów."

(materiał bez podpisu, "Nasza Walka")

"Oficjalnie jest to klub jak każdy inny. Tyle tylko, że dysponujący pokaźnymi funduszami, ekskluzywny. Niezwykłość tego klubu polega przede wszystkim na klimacie, atmosferze, rodzaju i kierunku działalności polityczno-wychowawczej. Klub «Babel» organizuje np. liczne spotkania z ciekawymi ludźmi, dziennikarzami, pisarzami. W czasie tych spotkań członkowie klubu nie tylko zadają pytania i wystuchują odpowiedzi, lecz także wyrażają swoje poglądy. Są to (...) poglądy bardzo kontrowersyjne i raczej niechętne socjalizmowi. Niepokojące poglądy polityczne członków klubu «Babel» ujawniły się szczególnie ostro w dniach agresji Izraela na państwa arabskie (...).

W dniu 7 czerwca ub.r. odbył się w klubie «Babel» odczyt redaktora naczelnego «Polityki» M.P. Rakowskiego na temat aktualnej sytuacji w międzynarodowym ruchu robotniczym. Normalnie (...) na spotkania przybywało 30-40 osób. Na prelekcji w dniu 7 czerwca zgromadziło się około 200 osób. Na spotkaniu przeważali ludzie w wieku 20-30 lat. Nastroj zebranych był wyjątkowo radosny z uwagi na militarne zwycięstwa wojsk Izraela. Już w czasie prelekcji audytorium przerywało prelekcję szeregiem aluzyjnych i złośliwych uwag, a po jej zakończeniu dyskuja i wypowiedzi nie związane były z tematem. Osoby zabierające głos w dyskusji wygłaszały «deklaracje» z góry przygotowane, a niektóre z nich odczytywano z kartek. (...) Dyskutanci krytykowali ZSRR za udzieloną pomoc dla «imperialistów arabskich», a znany warchoł J. Dajczgewand stwierdził, że opowiadanie się Związku Radzieckiego za krajami arabskimi jest «szowinizmem w wydaniu międzynarodowym»."

(z artykułu Ryszarda Gontarza "Prawda o klubie «Babel»", "Sztandar Młodych")

"Rzucamy hasło: ŚWIATŁY STUDENT NIE WIERZY OBCYM SZCZEKACZKOM I PROWOKACYJNYM ULOTKOMI!"

("Nasza Walka")

"Widmo krąży po Europie, widmo syjonizmu. Do walki z nim stajemy My — polska młodzież narodowa i socjalistyczna.

Nasz Program.

Nasz program należy rozpatrywać na dwu płaszczyznach: NARODU i SOCJALIZMU. W miejscu przecięcia się tych płaszczyzn otrzymujemy linię. I to jest nasza linia: NARODOWO-SOCJALISTYCZNA.

Nasze cele.

Dać odpór. Ocalić duchowy byt narodu. Rozniecić instynkt państwowy.

Kto z nami?

W naszej walce nie jesteśmy sami. Jest z nami ORMO i Zjednoczone Zespoły Gospodarcze «PAX». Z nami dr Kąkol. Nasz oręż — donos. Nasz puklerz — mkk, a jeśli to nie wystarczy mamy

pałki

gaz

sikawki strażackie,

ewentualnie starą, wypróbowaną GAZRURKĘ.

Przeciw komu?

Naszym wrogiem jest mafia. Mafia to studenci i pisarze. Żydzi i katolicy, Czesi i Słowacy, liberałowie i encyklopedyści(...).

Nasze hasła.

Pisarze do pióra. Piasecki do Biura. Studenci do koszar.

Żydzi na Madagaskar."

(z ulotki marcowej Natana Tenenbauma zatytułowanej Moja Walka" (Mein Kampf) — organ Związku Młodzieży Narodowo-Socjalistycznej)

19 marca

DZIŚ SPOTKANIE W. GOMUŁKI Z AKTYWEM PARTYJNYM WARSZAWY
SOLIDARNOŚĆ I PEŁNE POPARCIE DLA KIEROWNICTWA PARTII I TOW. WIESŁAWA
BEZKOMPROMISOWA WALKA Z DYWERSJĄ POLITYCZNĄ, MASÓWKI I ZEBRANIA
WIELKIE WIECE W SZCZECINIE, WROCŁAWIU, KIELCACH I OLSZTYNIE
(tytuły z "Życia Warszawy")

PRECZ Z ZAMBROWSKIM!

(transparent na zdjęciu z wiecu w Stoczni
Szczecińskiej im. Adolfa Warskiego, CAP,
"Życie Warszawy")

"Rada Państwa odwołała Romana Zambrowskiego ze stanowiska wiceprezesa Najwyższej Izby Kontroli."

(notatka PAP, "Życie Warszawy")

"Na zebraniu podstawowej organizacji partyjnej w Najwyższej Izbie Kontroli (...) wydalony został z PZPR Roman Zambrowski. Za wnioskiem o wydalenie z partii — zgłoszonym w trakcie dyskusji — głosowało 236 członków partii, 2 było przeciw."

(z notatki PAP, "Życie Warszawy")

"Nie będziemy tolerować wśród nas takich ludzi, którzy Polskę traktują jako odeskoczną, jako chwilową przystań, a duszą są tam, nad Jordanem, którzy czczą Dajana, śpiewają mu hymny pochwalne. Uważamy za bzdurne wszelkie zarzuty o rzekomej nagonce przeciwko Żydom. Ale jesteśmy przeciwko syjonistom, przeciwko burżuazyjnym wyznawcom teorii dwóch ojczyzn — jednej tu, na miejscu, chwilowej i drugiej tam, nad Jordanem."

(z przemówienia I sekretarza KW PZPR,
Franciszka Wachowiaka, na wiecu w Kielcach,
"Sztandar Młodych")

KAZDY MA TYLKO JEDNĄ OJCZYZNĘ!

(transparent w Sali Kongresowej PKiN,
podczas spotkania Władysława Gomułki z
aktywem Warszawy)

"Nie tylko na wleczach i w rezolucjach społeczeństwo Warszawy daje wyraz swemu stanowisku wobec antypolskich i antyludowych zamieszek. Kwiaty, owoce, słodycze, które przynoszą do szpitali poturbowanym w zaciściach ORMO-wcom, aktywistom i milicjantom delegacje warszawskich zakładów pracy i zwykli obywatele — są dowodem solidarności i zwykłej ludzkiej sympatii. W sobotę np. grupa pracowników MZH odwiedziła w szpitalu przy Gagarina swych rannych kolegów. Kupiono drobne upominki, napisano kilka słów na maszynie od reszty kolegów. Wizyta była tym miłsza, że spontaniczna i nie zapowiadana. Nie pierwsza zresztą i nie ostatnia."

(notatka podpisana "Pa", "Trybuna Ludu")

"Jak informuje dyrekcja szpitala MSW, gdzie przebywają przedstawiciele porządku publicznego poszkodowani w czasie zajęć (...) na terenie Warszawy (...), odwiedzeni pragną wyrazić podziękowania (...) wszystkim odwiedzającym, a szczególnie grupie przedstawicieli pracowników MZH, Zarządowi Uczelnianemu ZMS i Radzie Słuchaczy Państwowego Studium Stenotypii i Języków Obcych oraz Zarządowi Stołecznemu ZMS i X L.O. przy ul. Woronicza, za wyjątkową serdeczność i życzliwość, jaką okazali chorym w trakcie pobytu ich w szpitalu."

(nie podpisana notatka, "Słowo Powszechne")

30 marca

MICKIEWICZ NIE BYŁ I NIE BĘDZIE SZTANDAREM REAKCJI
WSTECZNE CELE I OSZUKAŃCZE HASŁA
BRUDNE METODY PROWOKACJI
WYJAŚNIC CAŁEMU NARODOWI O CO TOCZY SIĘ WALKA
POLITYCZNA MĄDROŚĆ NARODU POLSKIEGO
SOJUSZ Z ZSER NAKAZEM PATRIOTYZMU I INTERNACJONALIZMU
ODPOWIEDZIALNOŚĆ WYCHOWAWCÓW MŁODZIEŻY
JEDYNYM MIERNIKIEM OCENY KAŻDEGO OBYWATELA — JEGO POSTAWA WOBEC NARODU
I SOCJALIZMU
PRZEKUĆ W CZYN POPARCIE DLA POLITYKI PARTII

(tytuły kolejnych części przemówienia Władysława Gomułki na spotkaniu z aktywem Warszawy, "Trybuna Ludu")

"Ostatnie wystąpienia kierownictwa partii z uporem próbują odciąć nasz ruch od społecznych korzeni, koncentrując się na atakowaniu jakoby «nieleżnych grup inspiratorów», pomijając społeczne tło wydarzeń (...). Jesteśmy tylko barometrem nastrojów społecznych i nie damy sprowadzić naszych dążeń do problemów syjonizmu, frakcyjnej walki o władzę czy chuligaństwa. (...) Skłócenie społeczeństwa ma na celu odwrócenie uwagi opinii społecznej od nabrzmiałych problemów ekonomicznych, których nie potrafi rozwiązać dzisiejsze kierownictwo. (...) Przykład Czechosłowacji dobitnie świadczy, że reformy przeprowadzane w duchu demokratyzacji życia wewnątrz kraju są zgodne z zasadami socjalizmu."

(z odezwy studentów Wrocławia)

PONAD 40 MLN ROCZNIE NA OPIEKĘ LEKARSKĄ NAD STUDENTAMI
WSTĘPUJEMY DO PARTII, ABY DAĆ WYRAZ NASZEGO ZAUFANIA DO KIEROWNICTWA
PARTII Z TOW. GOMUŁKĄ

(tytuły z "Trybuna Ludu")

21 marca

"Poważne zastrzeżenia budzić musi zastosowanie gwałtownych środków represji

policyjnych, jakie można było oglądać zwłaszcza na ulicach Warszawy, Poznania, Katowic, Gliwic, Krakowa, Gdańska i in. (...) Zagadnienie wolności opinii, o którą upomina się społeczeństwo, pisarze i Episkopat, wystąpiło na tle manifestacji akademickich z nową jaskrawością. Gwarantowane przez Konstytucję PRL i Deklarację ONZ prawa do rzetelnej informacji domagają się wolności prasy, ograniczenia interwencji cenzury i obiektywizmu w informowaniu (...). To co młodzież akademicką najbardziej oburzało, to oczywista nieprawda w informacjach prasowych, w zestawieniu z jej intencjami, przeżyciami i dążeniami."

(z pisma 107 Konferencji Episkopatu Polski skierowanego na ręce premiera Józefa Cyrankiewicza)

"Jako obywatele działamy na podstawie Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Domagamy się respektowania niezwykłych praw obywatelskich: wolności słowa, druku, zgromadzeń, manifestacji, prawa do twórczości kulturalnej, wolności nauki. (...) Obca jest nam wszelka dyskryminacja rasowa, narodowa czy religijna. Obcy jest nam nacjonalizm. Przypisywanie ruchowi studenckiemu hasła antyradzieckich jest bezpodstawne (...). Traktowanie niektórych profesorów lub literatów albo grupy kilkudziesięciu studentów jako odpowiedzialnych za ostatnie wydarzenia jest pozbawione uzasadnień i nie może odwrócić uwagi od winnych poważnych błędów i nadużyć władzy, które popełniono w związku z brakiem samorządności, odgórnym administrowaniem i tłumieniem krytyki. (...) Zaistniała sytuacja musi znaleźć rozwiązanie w duchu praworządności i demokracji, w publicznym i nie kierowanym odgórnym dialogu władzy ze społeczeństwem."

(z deklaracji studentów UW uchwalonej przez wiec w Audytorium Maximum)

"Drogi Towarzyszu Wiesławie! My, studenci Krakowa, popierając partię i rząd, solidaryzujemy się z klasą robotniczą, gdyż większość z nas to synowie i córki robotników i chłopów. Podejmujemy zajęcia na uczelniach. Studenci Krakowa."

(z depechy do Władysława Gomułki, materiał PAP, "Trybuna Ludu")

REFERAT W. GOMUŁKI WYTYCZNĄ DZIAŁANIA ORGANIZACJI PARTYJNYCH I MŁODZIEŻOWYCH W WOJSKU. SPOTKANIE AKTYWU SIŁ ZBROJNYCH Z MARSZAŁKIEM M. SPYCHAŁSKIM
(tytuł z "Życia Warszawy")

"Na zakończenie mojego bądź co bądź krótkiego wystąpienia chciałbym ze swej strony dodać, że nie po to szczerbiliśmy sobie zęby na zębach żelaznej kurtyny, aby je teraz plombować."

(z ulotki marcowej parodiującej przemówienie I sekretarza KC PZPR)

"Kto był obecny w Sali Kongresowej (...) lub obserwował przebieg tego zebrania w telewizji, dostrzegł niewątpliwie wyraz wzburzenia na twarzy Władysława Gomułki. I trudno się dziwić. Człowiek, który całe swe życie poświęcił urzeczywistnieniu jedynej realnej koncepcji Polski niepodległej (...) musi znów wyjaśniać sprawy zasadnicze, musi walczyć z awanturnictwem politycznym."

(z artykułu Jerzego Kasprzyckiego "Słowa prawdy", "Życie Warszawy")

CZYTAJCIE ŚWIERSZCZYK — ON JESZCZE NIE KLAMIE
(transparent na bramie UW)

22 marca

"Najwyższy autorytet polityczny naszego kraju, Władysław Gomułka zabrał głos, zapowiedział skrupulatne rozważenie wszelkich aspektów tych wydarzeń, łącznie z rozpatrzeniem rezolucji. W moim przekonaniu jest to stanowisko dające młodzieży akademickiej maksimum możliwej — i chyba przez nich w najśmielszych marzeniach nie oczekiwanej — satysfakcji. (...) Powiedzieć w tej sytuacji, że to nic nowego — a także głosy

słyszalem — to już nie brak zrozumienia mechanizmu życia politycznego, a zarozumiałstwo i pieniactwo, którego wprost pojąć nie można."

(Kazimierz Kąkol w audycji telewizyjnej
"Wieczorne rozmowy")

"Może ktoś postawić pytanie: czy wobec tego nie ma u nas miejsca, gdzie można publicznie wystąpić ze swoimi poglądami, które mogą różnić się od tzw. obowiązujących — nie narażając się na sankcje karne? Jest. Tą platformą dyskusji, dzielenia się wątpliwościami mogą być np. spotkania z posłami i radnymi, wyrażanie swych opinii w listach do gazet i czasopism, zebrania różnych organizacji."

(z artykułu "Wolność słowa", podpisanego
"Rak", "Sztandar Młodych")

**POLSKA LUDOWA MOŻE NA NAS LICZYĆ. SETKI DEPEZ DO I SEKRETARZA KC PZPR
WIELKIE WIECE SPOŁECZEŃSTWA ZIEMI LUBUSKIEJ, LUBELSZCZYZNY, OPOLSZCZYZNY
I RZESZOWSZCZYZNY
AKTYW WOJSKA POLSKIEGO DEKLARUJE POPARCIE DLA POLITYKI PARTII
(tytuły z "Trybuny Ludu")**

23 marca

**POTĘPIAMY AGRESORÓW Z TEL AWIWU. IZRAEL FORPOCZTĄ IMPERIALIZMU
(tytuł ze "Sztandaru Młodych")**

"Naszą walkę z reakcyjną ideologią syjonizmu przedstawia się jako antysemityzm skierowany przeciwko obywatelom polskim pochodzenia żydowskiego. (...) Przewodzi temu państwo Izrael. W audycjach radia Izrael w dniu 18 marca wielokrotnie powtarzano informacje o rzekomo masowych aresztowaniach Żydów w Polsce. Jest to oczywiście obliczone na wprowadzenie w błąd opinii światowej. Jeżeli wśród zatrzymanych prowodyrów ostatnich zajęć znaleźli się także obywatele polscy pochodzenia żydowskiego, było to tylko i wyłącznie następstwem wejścia ich w konflikt z obowiązującymi w naszej ojczyźnie przepisami. (A przecież nie do podważenia jest fakt, że w dniu 3 marca w mieszkaniu Jacka Kuronia zebrała się kilkunastuosobowa grupa ludzi, głównie studentów pochodzenia żydowskiego, znanych z rewizjonistycznych wystąpień i poglądów — na którym omawiano przygotowania do wypadków 8 marca). (...) Informacja radia Izrael (...) to jeszcze jeden przykład przewrotności syjonistycznej propagandy antypolskiej."

(z artykułu Jerzego Amela "Kampania kłamstw
i oszczerstw", "Trybuna Ludu")

"Wiadomo nam było od dawna, że uznając za wygodny dla siebie pewien stan dezintegracji międzynarodowego ruchu robotniczego opracowano plany realizacji «politycznego trzęsienia ziemi w roku 1968», że w odniesieniu do niektórych osób z kierownictwa naszej partii zaplanowano akcje «personalnego wykruszenia». Nie tylko zaplanowano, ale także podjęto intensyfikujące dywersyjne wysiłki w szkalowaniu poszczególnych członków kierownictwa naszej partii (...). Mieliśmy do czynienia (...) z próbą zamachu stanu. (...) Nadchodził czas na skrupulatną i bezkompromisową analizę."

(z artykułu Kazimierza Kąkolia "Sprawy i ludzie", "Prawo i Życie")

"Stawne to były dzieła, stawne były czasy.
A jak było — opowiem, bo wszystko znam z prasy.
Więc Wyszyński z Kuroniem za pieniądze Mao
Chcieli Żydom zaprzedać naszą Polskę całą.
Miał nasz naród iść w jarzmo żydowskiego króla,
Którym byłby Zawieyski, bratanek Karguła.
Chcieli, żeby Izrael sięgał do Szczecina,
A chłopów z Lubelszczyzny przestędić na Synaj.
Každy Żyd miał otrzymać zaraz tytuł lorda,
Zaś Niemen mógłby śpiewać tylko jako Jordan.

Poza tym, każdy student, zwłaszcza nieochrzczony,
 Miał dostać mercedesa oraz cztery żony.
 A jeszcze łotry zdradę wymyśliły taką:
 Oddać moją w Sopocie Czechom i Słowakom.
 Do tego łódź podwodną, Panną z Jasnej Góry,
 Szcherbiec, żubra Pulpita i Pałac Kultury.(...)
 Bauman z Brusem i Bączką, ta podstępna szajka
 Pastwiła się nad Polską jak czereszczyszka.
 Kazali nam zapomnieć, żeśmy są przedmurze,
 Kazali nam zapomnieć o Janku Klepurze.(...)
 A znowu Kołakowski, jak jeszcze był młody
 To Stalina całował w rumiane jagody.
 Stalin zaś mu na lody dawał i na kino
 I razem gryźli pestki i grali w domino.
 Kisielewski natomiast, jak z prasy wynika,
 Jest synem naturalnym studenta Michnika,
 Który po rewolucji wiernie służył carom
 I miał pięcioro dzieci z carycą Dagmarą.(...)
 Dyspozycje w tej sprawie wyszły od Dajana,
 Via Tokio, Pernambuco, Wałbrzych i Tirana.
 I takiej to okrutnej chwycili się zdrady,
 Ze ichnie zawołanie było «Dziady», «Dziady»."

(z marcowego wiersza Natana Tenenbauma)

"Część studentów Politechniki, i to część niewielka w stosunku do wielotysięcznej rzeszy słuchaczy tej uczelni, zorganizowała strajk okupacyjny i doprowadziła w ten sposób do przerwania normalnych zajęć."

(z notatki bez podpisu, "Życie Warszawy")

"Jeżeli od 23 marca 1968 roku nie zostanie przywrócony porządek i studenci nie przystąpią do normalnych zajęć, działalność uczelni za zgodą ministra oświaty i szkolnictwa wyższego zostanie zawieszona i w odpowiednim terminie zostaną ogłoszone nowe wpisy na wszystkich latach i wydziałach."

(z wezwania rektora Politechniki Warszawskiej do studentów, "Życie Warszawy")

26 marca

**PONAD 100-TYSIĘCZNY WIEC NA KRAKOWSKIM RYNKU
 ZIEMIA KOŚCIUSZKI I DEMBOWSKIEGO, MIASTO "SEMPERITU"
 I HUTY IM. LENINA — ŚLĄ GORĄCE POZDROWIENIA
 TOWARZYSZOWI WIESŁAWOWI!**

(tytuł z "Gazety Krakowskiej")

"Wiele trudności gospodarczych, jakie przezwyciężaliśmy w ostatnich latach, to w pewnej mierze dzieło różnej maści rewizjonistów, reakcjonistów i sługusów międzynarodowych antypolskich sił. Śnią im się kapitały i monopole, wyzysk polskiego robotnika i chłopca, marzy im się to, co Polska Ludowa bezpowrotnie zlikwidowała. Jest to źródłem ich nienawiści wobec wszystkiego co postępowe, co socjalistyczne. Na tej wspólnej płaszczyźnie spotkali się wszyscy, choć spod różnych znaków: syjonści i rewizjonistyczne mędrki, wczorajsi obszarnicy i właściciele fabryk, posiadacze kamienic i sklepów, byłe bandziory reakcyjnego podziemia, karierowicz zagoniony w ślepy zaułek, zaśleplony głupotą osobistej ambicji oraz wszelkie ludzkie męty, które w takich jak dziś chwilach wyłażą jak ślepe szczyry z miejskich kanałów. To oni zza firanek wielopokojowych mieszkań spoglądają dziś z radością na demonstrującą po ulicach młodzież. To w ich mieszkaniach mieszczą się sztaby gołowąsych konspiratorów. Stamtąd przynosi się dziesiątki prywatnych maszyn do pisania, by w Domach Studenckich drukować antypartyjne ulotki i proklamacje. To tam, w ich salonach, opracowuje się plany obezwładnienia naszej ojczyzny, naszego ustroju. (...) Oto ich cel.

oczywiście że nie mogą liczyć na wielu zwolenników w tej wrogiej, antysocjalistycznej grze, przywykli do cynizmu i przewrotności, wierni kamraci Zambrowskiego, doświadczeni w rozgrywkach politykierzy, bez skrupułów wyszli do młodzieży z hasłami, które kamuflowały prawdziwy sens ich działalności. (...) Zambrowscy, Staszewscy, Kistelewscy, Jasienice i im podobni — całokształtem swej politykierskiej działalności, sianiem plotki, niewiary w socjalizm, starali się pogłębiać nasze trudności i przeszkadzali partii w ich usunięciu."

(z przemówienia i sekretarza KW PZPR,
Czesława Domagały, na wiecu w Krakowie,
"Gazeta Krakowska")

"Organizacje polityczne i społeczne na UW przez szereg lat praktycznie rzecz biorąc były sparaliżowane i bezsilne.(...) Warszawską organizacją partyjną poświęciła dużo sił dla przełamania impasu, w jakim znalazła się organizacja uniwersytecka i ZMS. Jeszcze na przełomie lat 1966-67 kilkudziesięciosobowa grupa aktywistów partyjnych Warszawy, w skład której wchodziło osiem zastępców członków KC, przeprowadziła indywidualne rozmowy ze wszystkimi członkami oddziałowych organizacji partyjnych z tych wydziałów, gdzie sytuacja polityczna była najtrudniejsza.(...)"

Były te wysiłki tylko częściowo skuteczne. Zdolno wyeliminować z organizacji opozycjonistów występujących z otwartą przybitką, inni poszli na mimikrę.(...) Dopóki organizacje polityczne i społeczne były wewnętrznie rozdarte i hamowane przez pozostające w nich środowisko opozycyjne, nie miały siły podjąć skutecznej pracy wśród ogółu młodzieży. W tej sytuacji, bez większych trudności, młodzież tę mogli penetrować «komandosi» — nie mieli poważniejszych przeszkód w prowadzeniu zorganizowanych, choć pozostających poza prawem uniwersyteckim, kampanii politycznych."

(z artykułu Wiesława Mysłisa "Keryfeusz
nauki czy protektorzy wichrychłól", "Trybuna
Ludu")

"Rosnące niezależnienie polityki kierownictwa partii od krytyki społecznej, czego dowodem są ostatnie wypadki, prowadzi do uzurpowania sobie przez kierownictwo praw rozstrzygania, co jest dla społeczeństwa dobre, a co złe."

(z odezwy studentów Wrocławia)

26 marca

"Dziś ujawnimy fakty finansowania przez syjonistyczną organizację JOINT (w pełnym brzmieniu American Joint Distribution Committee) działalności tych, którzy skupiali się w klubie «Babel», tych w ortalionach z ulicy Chmielnej i tych, którzy określonego dnia odpowiedzieli burdami alicznymi za to, że stworzono im warunki wyjątkowego uprzywilejowania, wyjątkowej opieki.

JOINT działa od 1914 roku. Jest to w rzeczywistości jedna z agend Światowej Organizacji Syjonistycznej (...), która zatrudnia bez zenady etatowych pracowników wywiadu amerykańskiego i izraelskiego. (...) Po wojnie organizacja ta wznowiła swoją działalność u nas, kontynuując ją do roku 1949, kiedy została zakazana ze względu na szkodliwość polityczną. W roku 1957 JOINT ponownie przejął pomoc dla Żydów w Polsce. Dysponowała tą pomocą Żydowska Komisja Pomocy, będąca organem Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów. W latach 1958-66 było zarejestrowanych 25 tys. członków TSKZ, którzy otrzymali od JOINT pomoc w łącznej kwocie sięgającej 5.600.000 dolarów USA. (...)

W 1966 roku środowisko żydowskie w Polsce dysponowało łączną sumą na swoje potrzeby wyrażającą się w dość okrągłej liczbie 72 milionów 100 tys. zł. (...) Na jednego członka TSKZ przypadało z tytułu pomocy finansowej 9500 zł w skali rocznej. (...) W 1966 roku (i w latach poprzednich też) środowisko żydowskie w Polsce otrzymało w postaci różnych atrakcyjnych towarów znaczną pomoc przez JOINT. (...) Nadeszło np. (...) tapet karakulowych 2113 kg, polietylenu i polistyrenu — 104 tys. kg, folii — 45 tys. kg, ortalionu — 5682 kg, sztucznej skóry — 9776 kg. (...) To wszystko było wsparciem dla organizacji, dla różnych spółdzielni żydowskich. Pomoc ta nie zawsze trafiała do tych, którzy powinni ją

otrzymać. (...) Dofinansowywano właśnie tych, którzy rozwijali określoną działalność polityczną, którzy później wodzili rej w burdach ulicznych."

(z nie podpisanego artykułu "Komandosi",
"Nasza Walka")

"Po wyjściu strajkujących administracja uczelni (Politechniki Warszawskiej — przyp. red.) przystąpiła natychmiast do sprzątanía gmachu. (...) Jak się okazało, zgromadzeni byli przygotowani do «obrony». W pewnym momencie wiedzeni zbiorową paniką zabarykadowali meblami wszystkie wejścia, porozkręcali węże hydrantów, pozdejmowali gaśnice ze ścian, połamali wiele stołów i krzeseł, traktując ich elementy jako środek walki. Podobno na dachu zgromadzili też uprzednio duże ilości kamieni i cegieł dla ewentualnego obrzucania nimi strażaków lub pracowników miejskiej gospodarki komunalnej, gdyby ci chcieli zdejmować porozwieszane na murach dekoracje."

(z nie podpisanego artykułu "Komandosi",
"Nasza Walka")

KONIEC WASZ BLISKI — PAKUJCIE WALIZKI!

(hasło z "Naszej Walki")

"25 bm. zostali zwolnieni ze swych stanowisk na Uniwersytecie Warszawskim profesorowie Wydziału Filozoficznego: prof. dr Bronisław Baczko, prof. dr Leszek Kołakowski, prof. dr Stefan Morawski, docenci tego wydziału: Zygmunt Bauman, Maria Hirszowicz, oraz profesor Wydziału Ekonomii Politycznej — Włodzimierz Brus. (...) Wszyscy wymienieni pracownicy naukowo-dydaktyczni ponoszą dużą moralną i polityczną odpowiedzialność za ostatnie wydarzenia na UW. Udzielali oni przez długi czas ideowego wsparcia oraz ostony grupie Kuronia i Modzelewskiego, a następnie Michnika, Szlajfera, Dajczgewanda i innych. (...) Najwyższe interesy państwa i narodu (...) wymagają, aby ci pracownicy nauki (...) zostali odsunięci od wpływu na wychowanie młodzieży."

(z notatki PAP, "Trybuna Ludu")

"Prezes Rady Ministrów odwołał prof. dr. Stefana Żółkiewskiego ze stanowiska sekretarza Wydziału I Nauk Społecznych Polskiej Akademii Nauk."

(notatka PAP, "Trybuna Ludu")

W KRAJU CORAZ WIĘCEJ MIASTECZEK AKADEMICKICH
ZA SOCJALIZMEM, ZA PARTIĄ, Z NARODEM. TYSIĄCE DEPEZ DO KC I TOW. WŁ. GOMUŁKI
Z WYRAZAMI SOLIDARNOŚCI I POPARCIA

(tytuły z "Trybuny Ludu")

"«Z matki obcej...» — Ktoś obcy tu, pod polskim dachem?
Dwie ojczyzny?! — To zdrada!!
Jak kiedyś w «Ikacu»,
Jak w «Gazecie Warszawskiej» i jak w «Czerwoniaku».
«Chata rozśpiewana» — dla nas!
Polska dla Polaków!
I wiedeńskim pociągłem wyjeżdża dziś Rachel
Z dworca Warszawa Gdańska
Obok Umgielagplatzu."

(z wiersza "Chochoty" Natana Tenenbauma)

27 marca

NA WIECACH I ZEBRANIACH PROTESTACYJNYCH — POTĘPIENIE AGRESJI IZRAELA,
ŻĄDANIE OPUSZCZENIA OKUPOWANYCH ZIEM
MANIFESTUJĄ ZAUFANIE DO PARTII I JEJ PROGRAMU BUDOWY SOCJALIZMU. NOWI
KANDYDACI WSTĘPUJĄ W SZEREGI PZPR. ZOBOWIĄZANIA NA CZĘŚĆ V ZJAZDU

(tytuły z "Trybuny Ludu")

"Formierz Emil Jonca z huty Małapanew w Orluku powiedział na zebraniu, że ostatnie wypadki skłoniły go do podjęcia ostatecznej decyzji w sprawie wstąpienia do partii, z którą łączy go wszystko: praca, przekonania, troska o liczną rodzinę i przyszłość swoich dzieci."

(z "Korespondencji z woj. opolskiego" E. Pochroń, "Trybuna Ludu")

28 marca

"Wydarzenia, jakie blisko dwa tygodnie zakłócały normalny tok zajęć na warszawskich uczelniach, mamy już poza sobą. Bogatsi o trudne i bolesne nieraz doświadczenia studenci powrócili do zajęć (...). Ale od atmosfery podniecenia nie wszyscy studenci jeszcze się uwolnili. Ciągłe się jeszcze dowiadujemy o próbach organizowania jakichś zgromadzeń, wieców. (...) Dość wieców i zgromadzeń. Tylko w atmosferze spokoju mogą pracować wyższe uczelnie."

(z nie podpisanego komentarza "W atmosferze spokoju", "Sztandar Młodych")

"Pierwszy zastępca przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR, K. Mazurow, przyjął w środę ambasadora Polski w ZSRR J. Ptasieńskiego. Rozmowa upłynęła w serdecznej, przyjacielskiej atmosferze."

(notatka PAP, "Życie Warszawy")

"Nie wierzę w to, że człowiek urodzony jako syn wiceministra skazany jest od kolebki na los bananowego warchoła; musiałabym po to uwierzyć w rewizjonistyczną teorię o nieuniknionej alienacji władzy. Nie wierzę, że samo posiadanie żydowskiej ciotki w Australii prowadzi wprost do zdrady narodowej, bo wiem, że zdarzają się również zdrajcy pozbawieni jakiegokolwiek ciotki na jakichkolwiek antypodach. (...) A więc dlaczego? Dlatego, że nie my, nie dobre warszawskie szkoły, nie ZMS, nie prawdziwi partyjni naukowcy odpowiadaliśmy na kłopotliwe pytania. (...)"

Zaczęło «Po prostu» i «Krzywe Koło» — przegrali. Potem przyszedł Klub Michnika i cała seria Listów — przegrali. Przyszedł marzec 1968 roku — przegrali. Czemu więc o tym piszę? Bo nie wiem, czy dziś jakiś misjonarz prawdziwych wolności nie otwiera znów oczu na świat jakimś swemu wychowankowi."

(z artykułu Anny Pawłowskiej "Drogi i bezdroża, próba analizy", "Sztandar Młodych")

"Niezbędne jest prawne zagwarantowanie możliwości zrzeszania się obywateli, wyrażania przez nich swych potrzeb i wypowiedzenia opinii (...), zagwarantowanie społeczeństwu możliwości uzyskania informacji o działalności organów państwowych i swobody publicznej oceny tej działalności (...), zniesienie cenzury i wyciąganie wobec autorów prawnie przewidywanych konsekwencji jedynie po opublikowaniu tekstów naruszających interesy obywateli lub społeczeństwa. (...)"

Należy rozważyć, jaką rolę w kształtowaniu i podejmowaniu decyzji ekonomicznych powinny odgrywać samorzady robotnicze i terytorialne, dyrekcje przedsiębiorstw i nadrzędne instancje gospodarcze oraz organizacje polityczne i społeczne (...). Przeprowadzona reforma gospodarcza powinna być całościowa oraz uwzględniać współzależność rozwiązań ekonomicznych z politycznymi i organizacyjnymi (...). Opinia publiczna powinna być informowana o argumentach, które z punktu widzenia różnych grup społecznych przemawiają za i przeciw poszczególnym reformom. (...) Należy respektować w polityce gospodarczej rachunek ekonomiczny (...). Niezbędne jest zagwarantowanie pracownikom prawa do obrony ich interesów w szczególności przez samorząd i niezależne związki zawodowe (...).

Domagamy się zgodności przepisów szczegółowych z Konstytucją i zagwarantowania przez nie podstawowych praw obywatelskich (...), powołania trybunału konstytucyjnego kontrolującego zgodność rozporządzeń i szczegółowych aktów władzy z Konstytucją i obowiązującymi ustawami (...), przestrzegania zasady niezawisłości sądów oraz niestosowania tajności rozpraw i trybu doraźnego lub przyspieszonego w procesach politycznych (...). Niejasność przepisów prawnych, nacisk na sądy, represje wobec adwokatów — pozbawiają prawo i postępowanie sądowe majestatu sprawiedliwości, czyniąc z

nich środek zemsty i politycznych represji. Prawo wyraźnie musi określać, co jest przestępstwem, a co nim nie jest, zgodnie z Konstytucją i poczuciem moralnym społeczeństwa."

(z Deklaracji Ruchu Studenckiego uchwalonej na wiecu w Audytorium Maximum)

29 marca

Z ZMS I ZMW W SZEREGI PARTII

(tytuł ze "Sztandaru Młodych")

"W czwartek, w późnych godzinach popołudniowych, mimo zakazu Rektora, kilkusetosobowa grupa studentów z niektórych wydziałów Uniwersytetu Warszawskiego włamała się do jednej z sal wykładowych w celu przeprowadzenia nielegalnego zgromadzenia. Rektor Uniwersytetu, zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, postanowił wyciągnąć surowe konsekwencje wobec organizatorów i uczestników nielegalnej akcji."

(z nie podpisanej notatki "Nie usłuchali ostrzeżeń", "Sztandar Młodych")

30 marca

"Naród został poruszony do odparcia antysocjalistycznych knoń i wytworzyło się w nim jakieś pogotowie psychiczno-polityczne. (...) Oglądałem w telewizji zebrania i wiece załóg, aktywów itp. Oglądałem także owe poruszenia na żywo. Z transparentowych napisów zorientowałem się, że tysiące ludzi domagają się oczyszczenia drogi wstecz i naprzód, bez zryżaków."

(z komentarza Władysława Machejka, "Życie Literackie")

"Nie ma sprzeczności interesów między pisarzami a naszą władzą ludową, jest tylko sprzeczność między warcholstwem a ładem, między celami politycznych bankrutów a dobrem naszej ojczyzny. (...) Ludzie uczciwi nie potrzebują adwokatów."

(z artykułu Henryka Gaworskiego, "Quousque tandem?", "Życie Warszawy")

"W związku z nielegalnym zgromadzeniem na UW, o którym donosiła wczorajsza prasa, rektor UW w dniu 29 marca powziął decyzję o skreśleniu z listy studentów 34 osób oraz o zawieszeniu 11 osób spośród organizatorów i uczestników zgromadzenia. W toku rozpatrywania dyscyplinarnego znajdują się jeszcze sprawy pewnej liczby osób winnych zakłócenia porządku na uczelni."

W związku z naruszeniem dyscypliny studenckiej i zarządzeń władz akademickich przez liczne grupy studentów niektórych wydziałów UW, rektor za zgodą ministra oświaty i szkolnictwa wyższego postanowił z dniem 30 marca br. rozwiązać następujące kierunki studiów dziennych na UW: teorii ekonomii, ekonomii, ekonometrii na Wydziale Ekonomicznym, filozofii i socjologii na Wydziale Filozofii, psychologii na Wydziale Pedagogiki oraz III rok studiów na kierunkach matematyki i fizyki Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Na te kierunki rektor zarządził ponowne wpisy. Studenci tych kierunków mogą składać podania o ponowne przyjęcie do dnia 6 kwietnia br. osobiście lub listownie do właściwych dziekanatów. Termin wznowienia zajęć zostanie ogłoszony przez władze uniwersyteckie odrębnie."

(komunikat PAP, "Sztandar Młodych")

"Ten krok nie jest wszakże represją. Jest koniecznością. (...) Sprawiedliwość, troska o oddzielenie ziarna od plew przyświecać będzie rozpatrywaniu studenckich podań o ponowne przyjęcie."

(z komentarza podpisanego "N.J." do komunikatu PAP, "Sztandar Młodych")

"Do żadnej organizacji politycznej nie należę. (...) Gdy rozpoczęły się demonstracje studentów na ulicach Warszawy, (...) znalazłem się w grupie robotników, którzy z własnej, nieprzymuszonej woli jechali, aby pomóc w zaprowadzeniu ładu i porządku na ulicach naszego miasta. (...) Piszę dlatego, że i wśród naszych pracowników, niekiedy kolegów, byli tacy, którzy uważali, że niepotrzebnie tam jechaliśmy. Od tego — mówili — jest milicja i władze bezpieczeństwa. Z tymi co tak myślą nigdy się nie zgodzę. (...)

Bogate są tradycje robotniczej Woli, znanej z rewolucyjnej postawy w okresie sanacji oraz podczas okupacji hitlerowskiej. (...) Często zdarzały się wypadki, że ten i ów ginął z rąk reakcyjnego podziemia. (...) Oni utorowali władzę ludową, aby ich dzieci mogły żyć w spokoju, mogły się uczyć. Dlatego też tego co osiągnęliśmy zniszczyć nie damy. I kiedy zajdzie potrzeba stanąć w obronie władzy ludowej, nie zabraknie tam każdego uczciwego robotnika z naszego zakładu, a takich jest dużo wśród naszej załogi."

(z listu Jerzego Palarczuka z Zakładu
Mechanicznego im. M. Nowotki do redakcji
"Trybuny Ludu")

31 marca

"W dniu 28 marca br. w Studenckim Ośrodku Dyskusyjnym «Mospan» w D.S. przy ul. Kopińskiej odbyło się spotkanie 300 studentów z lektorami KC Partii (...). Lektorzy wyczerpująco i szczerze odpowiadali na wszystkie pytania, dyskutowali. M.in. wyjaśnili, że w 1956 roku Zambrowski był jednym z głównych pretendentów do stanowiska I sekretarza KC. Stał on na czele frakcji towarzyszy pochodzenia żydowskiego, która chciała objąć władzę w Polsce. Wybór tow. Wiesława był ciosem dla ambicji Zambrowskiego, który przeszedł do opozycji. Lektorzy przypomnieli, że Tow. Wiesław powodowany szlachetnością nie wyciągnął żadnych konsekwencji w stosunku do ludzi, którzy przyczynili się do jego aresztowania i zwalczał go osobiście."

(nie podpisany materiał "Lektorzy KC Partii
odpowiadają na pytania studentów", "Nasza
Walka")

"Wiemy obecnie, że wróg nie jest rozbity do końca, że przyczaił się tylko dla przeliczenia strat i opracowania nowej taktyki. Musimy być na to przygotowani. Musimy liczyć się z tym, że znajdują się jeszcze prowokatorzy, że będą nawoływać — zamaskowani pod różnymi hasłami — do przeciwstawienia się linii politycznej Partii. Musimy wyjść naprzeciw nim silniejsi, bardziej doświadczeni, lepiej przygotowani politycznie. (...) W chwilach takich jak minęły, jednoczą się wszystkie wrogie nam siły: reakcja, syjoniści, dogmatycy i błogosławieni przez wsteczne koła episkopatu. Tych wszystkich będziemy wyciągać na światło dzienne i demaskować ich prawdziwe oblicze. W obecnej chwili nie wolno udać się na spoczynek."

(z nie podpisanego materiału "Nowy etap
walki", "Nasza Walka")

Opracowała Ewa Zylirska

My z Marca

Jeszcze kilka lat temu na pytanie o istnienie fenomenu pokolenia 68 odpowiedziałbym zdecydowanie twierdząco. Teraz się waham — po okresie "Solidarności", po stanie wojennym kryteria wyodrębnienia tego pokolenia zatarty się, zaczynają być istotne inne podziały, choć trzeba stwierdzić, że w okresie "Solidarności" ludzie Marca byli bardzo widoczni...

Tak, świadomość tego pokolenia wyznaczyło odkrycie: prasa kłamie.

Cały system powojennego wychowania nastawiony był na to, aby udowodnić, że kategorie prawdy i fałszu w życiu publicznym w ogóle nie istnieją. Kiedy więc po 1956 roku "zrehabilitowano" życie prywatne, w którym te kategorie zawsze obowiązywały, ludzie odeszli w prywatność. Uznali, że zajmowanie się sprawami ogółu związane jest z czymś nieprzyjemnym; a może właśnie — niemoralnym. Było to z pewnością z jednej strony odreagowanie wcześniejszego przymusu ucześnieństwa w życiu publicznym (ZMP, masówki, wiece, zebrania, kampanie...), z drugiej zaś reakcja na pogrzebanie nadziei roku 1956 w gomułkowskim marazmie. I w takiej atmosferze rosło pierwsze apatyczne pokolenie, które postrzegało swoją rzeczywistość jako po prostu szarą, co oddaje najlepiej określenie Różewicza: nasza mała stabilizacja.

Jest jednak różnica między całym pokoleniem popaździernikowym a tymi ludźmi, którzy się do Marca "przygotowywali"...

Pochodziliśmy przeważnie z rodzin o przedwojennych komunistycznych tradycjach i mieliśmy od dzieciństwa wpojone, że żyjemy w ustroju najlepszym z możliwych. Nasze dziecięce, komunistyczne lektury — "Waśka Turbaczow i jego koledzy", "Dzieci musztardowego raju", "Timur i jego drużyna" — uczyły nas, że trzeba się przeciwstawiać złu. Wychowanie komunistyczne ma w sobie pewną dwuznaczność: z jednej strony służy do łamania charakterów, z drugiej — przekazuje poczucie odpowiedzialności za siebie, swoje otoczenie, świat.

Miałem w szkole podstawowej przyjaciela z lumpenproletariatu, Witka. On mi pierwszy opowiadał o Winnetou — miał jakieś przedwojenne wydanie. Kiedyś nam się coś nie spodobało i założyliśmy — w trzeciej klasie, razem z innymi — organizację... antykomunistyczną. To była taka zabawa, ale kiedy się wydało — pewno ktoś powiedział rodzicom, Witek wylądował na rok w poprawczaku. My — bo byliśmy z lepszych rodzin. On mieszkał z matką w przechodnim pokoju, a w sąsiednim jakieś prostytutki. Łatwo można było uznać go za prowodyra. I wtedy nic nie zrobiliśmy. Dla nas było normalne, że to on poszedł do domu poprawczego. Objawiło się tu okrucieństwo komunizmu. Nasze książki — naprawdę wspaniałe książki, mówię to bez ironii — miały w sobie to obrzydlistwo, ukrytego gdzieś — w tle — Pawlika Morozowa, chłopca, który wydał własnego ojca.

Mnie wychowywała tylko matka — ojciec umarł na gruźlicę, gdy miałem rok. Moja matka była sekretarzem redakcji dziecięcej Polskiego Radia, dziennikarzem — nie mogłem więc mieć poczucia, że moi rodzice są kimś wyjątkowym, że decydują o kształcie tego, co się w Polsce dzieje. Ale komunistów przed wojną było tak niewiele, że po wojnie stali się oni w pewnym sensie prominentami. Warunki miałem więc lepsze niż przeciętne. Lecz na pewno nie były to warunki wyjątkowo dobre, nigdy nie znałem zbytku czy luksusu.

Mając jedenaście lat pierwszy raz w życiu upiłem się na imieninach u kolegi z klasy, Kazika, który z rodzicami i eworgiem rodzeństwa mieszkał w małym dwupokojowym mieszkaniu. Zaprzyjaźniona z moją mamą rodzina lekarska miała mieszkanie sześć razy większe od tamtego, a każde dziecko oddzielny pokój. Jeśli nawet wtedy nie wyciągałem z tego co widzę żadnych wniosków, to jednak zapadały te obrazy gdzieś w podświadomość...

Tak jak październik 1956. Miałem wtedy co prawda dziesięć lat, ale nawet jak się ma tyle lat, to widzi się sprzeczności między nastrojem niepokoju przed sowiecką agresją, wyczuwanym w domu, szkole, na ulicy — a sloganami z gazet o tym, jak to my ze Związkiem

Tekst przygotowany przez Annę Karską na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Warszawa, 1987). Pierwodruk — KARTA nr 5.

Radzieckim zawsze ramię w ramię. Jak się ma za sobą lektury, w których młodzi ludzie ciągle z kimś walczą w imię sprawiedliwości społecznej i dobra, to się człowiek buntuje, że Węgrzy mają rację — a że mają, to było o c z y w i s t e dla wszystkich — a tam się do nich strzela.

Od początku szkoły średniej, kiedy już myślałem świadomie, wszystko co się tutaj działo nie podobało mi się. Nie dlatego, że jest komunistyczne, ale dlatego, że właśnie nie jest, nie spełnia założeń, o których uczyliśmy się w domu i w szkole, jest dalekie od tego ideału, który otrzymałem; że cała rzeczywistość jest inna niż rzeczywistość deklarowana. U Józka Blassa — syna wicedyrektora banku — z którym byłem zaprzyjaźniony, można było poczytać "Biuletyn Specjalny" i już tam obraz świata komplikował się. Prawda "Biuletynu" była inna niż prawda w gazetach i podręcznikach.

"List otwarty" Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, w którym — w 1984 roku — dokonali marksistowskiej analizy ustroju panującego w krajach bloku wschodniego i odrzucili system PRL z punktu widzenia marksistowskiego, wywołał zamęt intelektualny, polityczny, ale w sumie wiedzieli o nim na Uniwersytecie może trzy-pięć procent ludzi. Dla mnie, dla nas — był wielkim odkryciem, przeżyciem.

"My" to była dość wąska grupa, która rozszerzała się powoli właśnie od roku 1964. Większość, ze śródmiejskich szkół warszawskich, przeszła przez tzw. Klub Poszukiwaczy Sprzeczności przy Uniwersytecie, założony przez Adama Michnika, wówczas też jeszcze ucznia, spora część to dawni aktywiści związani z działalnością Karola Modzelewskiego — w Zarządzie Uczelnianym ZMS-u i w prowadzonym wspólnie z Jackiem Kuroniem i Alikiem Smolarem Klubie Politycznym — pierwszej od lat inicjatywie politycznej na Uniwersytecie Warszawskim. W sumie kilkadziesiąt osób.

Ja w spotkaniach Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności uczestniczyłem bardzo rzadko — choć ktoś mnie wpisał na listę członków. Tam przychodzili tacy inteligentni, bystry chłopcy, czytani i wygadani. Ich "mądrkowanie" denerwowało mnie, bo czułem się — pewno niesłusznie — słabszy. Miałem kompleksy. No i wybierałem się na matematykę, a tu filozofia, ekonomia, sprawy społeczne. Ale do elity się ciągnie, nawet jeśli coś od niej odpycha. To byli zresztą moi przyjaciele: Adam Michnik, Józek Blass, Jaś Gross, Andrzej Titkow, Irena Grudzińska. Pamiętam dobrze wykład Baczki "Jednostka a historia", który był dla mnie wstrząsem — pokazał mi, że istnieje sprzeczność w myśleniu marksistowskim — między tym procesem, który jest nieuchronny a tym, na co człowiek może jako jednostka wpływać. To po raz pierwszy podważyło przekonanie o słuszności marksizmu — globalnego systemu, który odpowiada na wszystkie pytania.

Rozwiązanie tego Klubu, który przecież nie obalał ustroju, potwierdziło, że właśnie jest to ustrój wielkiego oszustwa, w którym ludzie nie mają nic do gadania. Mnie to u s t a w i a ł o.

Uważaliśmy, że rzeczywistość należy zmieniać, i co więcej — czuliśmy się uprawnieni do podjęcia próby jej zmiany. Był to jeszcze efekt tego naszego komunistycznego wychowania do aktywności w imię sprawiedliwości społecznej. We wnioskach zliśmy jednak dalej niż ludzie nazywani wówczas rewizjonistami. Powoli, pod wpływem lektur i dyskusji dochodziliśmy do wniosku, że nie został popełniony błąd w realizacji systemu, w którym żyjemy, że błędem jest sam system.

Większości naszych rówieśników natomiast ani się to podobało, ani nie podobało — im to było obojętne. Nie interesowało ich, czy ten — dany im — system jest dobry czy zły. Było to szczególnie wyraźne w latach sześćdziesiątych — oni interesowali się tym, jak żyć normalnym prywatnym życiem. Oczywiście były jakieś środowiska młodzieży katolickiej czy takiej choćby z rodzin o AK-owskiej przeszłości, ale — wbrew temu, co się może dzisiaj wydawać oczywiste — nie wchodziliśmy ani w żadne starcia czy spory, ani w żadne układy.

Kiedy byłem na drugim roku, znowu dzięki pomysłowi Adama Michnika, powstał krag dyskusyjny. Spotykaliśmy się w prywatnych mieszkaniach po pięć-dziesiąt osób — w sumie było nas około stu pięćdziesięciu. Zadawaliśmy sobie lekturę do przeczytania, a potem dyskutowaliśmy. Naszą grupę prowadził asystent z historii, Robert Mroziewicz.

Zaczynaliśmy od lektur oficjalnych — Lange, Hochfeld, Kożakowski. Potem przeszliśmy na nielegalne, głównie z "Kultury" paryskiej — Działas, Miłosz, Róża Luksemburg i inni; przywozili je jacyś znajomi znajomych albo zachodni trockiści, z którymi mieliśmy kontakty. Kiedyś na jakimś bankiecie ukradłem "Inny świat" Herlinga-Grudzińskiego — odkryliśmy prawdę o łagrach sowieckich. Były dla nas efektem nie wypaczeń stalinizmu, ale zdradzenia rewolucji. Później, już po Marcu, doszliśmy w analizach aż gdzieś do Marksa, by rozbić dla

siebie jego mit. Chodziliśmy także na polityczne zebrania. Ale wtedy polityczne zebrania to był ZMS. Dlatego większość z nas przeszła przez tę organizację, nie zatrzymując się tam zbyt długo. Ja wstępowałem świadomie, będąc przeciwnikiem ZMS, na drugim roku, a na trzecim mnie wyrzucili.

Po aresztowaniu Kuronia i Modzelewskiego nasz krąg towarzysko-zabawowo-dyskusyjny zmienił się w krąg jakoś zagrożony. Pierwsze moje publiczne wystąpienia to właśnie dyskusje z ZMS-owcami, którzy uważali aresztowania za słuszne. Jak się potem okazało, część z nich już wtedy, na studiach, miała legitymacje SB.

Kiedy Jacek i Karol szli do więzienia, zostawiali za sobą kilkunastu ludzi związanych z Karolem, trochę "walterowców" Jacka; kiedy wyszli — zastali na Uniwersytecie dość znaczne, prężne, chcące działać środowisko, którego zostali z miejsca niekwestionowanymi liderami. Miałem takie wrażenie już wtedy, a teraz prawie pewność, że oni przez istnienie tego środowiska zostali zmuszeni do aktywności.

Na studiach tworzyliśmy w pewnym sensie zamkniętą elitę. Reszta studentów, mimo starań rozszerzenia środowiska, do pewnego momentu nas mało postrzegała. Bo nikogo specjalnie nie interesowało, że zabieraliśmy głos na zebraniach, że kłóciliśmy się z ZMS-owcami. Lecz nie byliśmy wyobcowani. Trzeba pamiętać, że wtedy był to trochę inny Uniwersytet.

W 1966 roku Leszek Kołakowski za prelekcję o odejściu od ideałów Października 56 został usunięty z partii, kilkunastu studentów za dyskusję, jaka się wywijała po jego wykładzie, zawieszono, a przeciwko Adamowi Michnikowi rozpoczęto drugą już dyscyplinarkę — pierwsza odbyła się pod koniec 1965. Wystąpiliśmy z listem protestacyjnym, pod którym zebraliśmy podpisy ponad tysiąca studentów, a także kilkudziesięciu profesorów. Wszyscy, którzy ten list podpisali, zostali wyrzuceni z ZMS-u i zaczęła się dla nas zupełnie nowa faza — oderwanie od instytucji oficjalnych. Czasem chodziliśmy jeszcze, co prawda, na zebrania, ale już jako ludzie z zewnątrz — zdeklarowani przeciwnicy.

Byliśmy grupą przyjaciół, spotykaliśmy się przy brydzu, na urodzinach, wyjeżdżaliśmy razem na wakacje. Różniło nas od reszty studentów, że nie chodziliśmy na duże imprezy — do Hybryd czy do Stodoły. No może na festiwal piosenki studenckiej, niekiedy do Hybryd na dyskusje. Nie interesowała nas taka masowa kultura studencka, szczególnie że wtedy był okres jej upadku.

STS jeszcze wystawiał — sporo było głośnych przedstawień, ale stał się teatrem profesjonalnym; to nie były już te stynne składanki z końca lat pięćdziesiątych. W Hybrydach wtedy istniał co prawda kabaret, na którym czasami bywaliśmy; występował Młynarski, potem Pietrzak i Kofta i to było dosyć interesujące. Natomiast Stodoła to było bębnienie tego, niezłego nawet, zespołu "Tajfuny" i picie piwa. A myśmy woleli pić we własnym gronie.

Wtedy w ruchu studenckim było stosunkowo mało dobrych utworów — poza właśnie piosenkami Kofty, Młynarskiego i Pietrzaka. Śpiewaliśmy trochę piosenek z STS-u czy też "Pamiętajcie o ogrodach" Kofty i Pietrzaka, później podziemne piosenki rosyjskie — Galicz, trochę Wysocki, "Kapitanowie, myśmy wydeptali niejeden szlak w oceanicznej dali" Matwiejewej. Wcześniej, bo już na początku moich studiów, była fascynacja Okudźawą i młoda poezją rosyjską, niszczonej po słynnym przemówieniu Chruszczowa. Była jakaś piosenka Brassensa, tłumaczona na polski przez kogoś ze znajomych, i okropnie sentymentalna piosenka francuska "O, maki w całej Francji zwa po prostu *coquelicot*". Andrzej Seweryn przyniósł ją ze Szkoły Teatralnej. To były nietypowe piosenki — czuliśmy to. Sewek Blumsztajn, Andrzej Seweryn i Krzysiek Michalski zrobili z nich w 1966 roku program dla klubów "Ruchu" i jeździli z tym po wsiach. Ludzie przyjmowali to z entuzjazmem, nam dano w ten sposób trochę zarobić. Zresztą organizator miał za to pewne nieprzyjemności.

Dobrze nam było ze sobą, mieliśmy poczucie wspólnoty. Jest coś takiego, że się człowiek rozumie z innymi ludźmi w pół słowa. To może być wynik wspólnego wychowania, wspólnoty losów czy pochodzenia. Ale na ogół nakłada się na to mnóstwo rzeczy. Przychodzili do nas ludzie z innymi niż my biografiami i się przyjmowali. W akademiku na Kieckiego, na przykład, była taka grupa pozawarszawska — organizowana głównie przez Józka Dajczgewandę — nieco bardziej siermiężna niż nasza, chociaż u nas też nigdy nikt nie miał dużo pieniędzy, zawsze były z tym problemy. A jak się z nimi spotykaliśmy, to dobrze nam było ze sobą, rozumieliśmy się.

Dla obserwatora z zewnątrz mogło to stwarzać wrażenie kilkowości. Bo choć staraliśmy się nie być zamknięci, to jednak zamknięcie jak gdyby w sposób naturalny wynikało. W przeciwieństwie do otoczenia stawialiśmy sobie jakieś zadania, chcieliśmy coś zmienić — już to wyróżniało. Chociaż może nie wszyscy. Byli tam ludzie — jak na przykład zaprzyjaźniony z wieloma osobami Jędrzej Topiński — którzy nigdy niemal nie występowali publicznie, lecz byli po prostu jednymi z nas. A byli też ludzie aktywni, którzy się w tym kręgu słabo mieścili, na przykład Heniek Szlajfer. Heniek, związany z grupą, którą nazywaliśmy "Chłirczykami", bo fascynowali się chińską rewolucją kulturalną — odszedł od nich, bo byli mało aktywni i tacy ogólnie przestraszeni. Jego temperament działacza kazał mu zbliżyć się do nas. Heniek miał podobną do nas biografję, zrobił się bardzo aktywny politycznie, natomiast towarzysko nigdy się nie przyjął. To jest kwestia pewnego typu sygnałów, które sobie ludzie dają — w dużej mierze pozawerbalnych.

Moja mama bała się, że przez to działanie nie skończę studiów. Andrzej Titkow opowiadał, że już w okresie Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności ojciec odnosił się do jego działalności bardzo dwuznacznie. Z jednej strony był rzeczywiście zaniepokojony, że to może jemu samemu — pierwszemu sekretarzowi Komitetu Wojewódzkiego w Warszawie w 1963 roku zaszkodzić — zresztą zaszkodziło. Próbował Andrzeja hamować, ale nie robił tego stanowczo. Wydaje mi się zresztą, że taki był stosunek większości rodziców. Trochę przestrachu, trochę pobłażania, a trochę zadowolenia z tego, że jednak dzieci są aktywne. Ale to były inne czasy. Jeżeli nawet mieli dzieci w coś zaangażowane, to ciągle pracowali w nomenklaturze. Mogli mieć nieprzyjemności, ale to wciąż była nomenklatura, groziło co najwyżej przeniesienie z jednego stanowiska na drugie. Dopiero w Marcu okazało się, że się wylatuje z hukłem.

Pierwszym wyjściem poza krąg zebrań i spotkań towarzyskich było rozlepienie przez nas niezbyt mądrych ulotek, których sens był mniej więcej taki, że wojna w Wietnamie jest taka sama jak walka, jaka toczyła się na Węgrzech przeciwko Związkowi Radzieckiemu.

Władza w drugiej połowie lat sześćdziesiątych szermowała tak nachalnie ideologią komunistyczno-nacjonalistyczną z elementami antyniemieckimi i antysemitycznymi, że pozwoliło nam to po raz pierwszy w ogóle dostrzec problem narodowy. I powoli dochodziliśmy do wniosku, że jest on równie istotny jak problemy klasowe.

Antysemityzm wielu z nas niewątpliwie dotykał bezpośrednio. Wtedy był często gwałtowną ingerencją w człowieka, sposobem konstruowania go z zewnątrz. I to, oczywiście, budziło i protest, i przestrach, i oburzenie. Wzmacniało niezgodę.

Jesteśmy sobą i to my wybieramy sobie miejsce, decydujemy, kim jesteśmy...

Marzec z jego rządową, oficjalną propagandą rodził poczucie wspólnoty z ludźmi, którzy byli w Brzezince czy Majdanku, poczucie łączności — także z tymi, którym narzucano żydostwo. Ale dla mnie było to... nigdy nie była to konstrukcja pozytywna.

Problem narodowy pojawił się w naszych rozmowach wraz z problemem religii, wiary. List biskupów polskich skierowany w grudniu 1965 do biskupów niemieckich — "Przebaczymy i prosimy o przebaczenie" — pozwolił co prawda nam, w większości wywodzącym się z rodzin ateistycznych, poczuć, że Kościół nie jest "reakcyjny", że odgrywa ważną rolę w budzeniu świadomości czy choćby inspirowaniu myślenia... Ale nie potrafiliśmy na ten list jakoś zareagować, bo nie potrafiliśmy — tak jak większość społeczeństwa — zrozumieć go naprawdę. Tylko nieliczni związani z nami ludzie, jak Waldek Kuczyński czy Antek Zambrowski, otwarcie na zebraniu partyjnym opowiedzieli się za tym listem — w wyniku czego wylecieli z PZPR-u i Uniwersytetu.

Jeżeli chodzi o kontakty z Kościołem, to zapoczątkował je Adam Michnik już na początku lat sześćdziesiątych spotkaniami z księdzem Dembowskiem, co stało się jednym z głównych pretekstów rozwiązania Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. I to on pierwszy zaczął czytać "Tygodnik Powszechny", "Więź" i inne pisma katolickie. Ja też zacząłem czytać i to było odkrycie — ten język, którym w ogóle nie umieliśmy operować, ten sposób widzenia świata, który był dla nas obcy i pasjonujący.

Odkrycie religii stało się dla wielu z nas początkiem nowej drogi duchowej, ale to okazało się dużo później. I co ważne — nie wszystkich ludzi z mojego kręgu to dotyczy, ale wielu z nas. Mieliśmy poczucie absurdalności ateizmu; zrozumieliśmy, że religię katolicką należy poznać, pojąć... Nie było to jednak głębokie.

Mój proces poszukiwania religii zaczął się znacznie później, po Marcu. Wcześniej to zaledwie początki. Coś takiego w atmosferze społecznej było już stale — to poszukiwanie

religii przez ludzi, którzy wywodzili się ze środowisk ateistycznych. Kilku moich przyjaciół wyraźnie w tym kierunku dążyło. Nie wszyscy. Ja na pewno tak. Uważam się za człowieka religijnego.

Książka Adama "Kościół, lewica, dialog", wydana przez "Nową" w 1977 roku, w sposób bardzo uczciwy pokazuje tę sytuację. Adam opisał ten zwrot w myśleniu, który już był w powietrzu. Ta książka jednak została przez niektórych opacznie zrozumiana. Ukazując wspólnotę ideałów środowisk katolickich i lewicowych, pokazując rolę Kościoła w obronie podstawowych praw, Adam chciał jak gdyby zlikwidować pojęcie lewicy laickiej, aczkolwiek cały czas mówił jeszcze o swoim przywiązaniu do idei socjalistycznej; było to po prostu uczciwe powiedzenie, z czego on się wywodzi. A potem "lewica laicka" stała się rodzajem etykiety, używanej przeciw KOR-owi i to wtedy, gdy już prawie nikt nie czuł się ani lewicą, ani laicką.

Człowiek się odstawia, a to może zostać wykorzystane do zaatakowania go. W jakimś sensie wszyscy jesteśmy działaczami, czyli ludźmi publicznymi. Dlatego też mam oczywiste kłopoty z mówieniem o tym, bo przyznanie się przez człowieka wywodzącego się z mojego środowiska do religijności jest narażaniem się na śmieszność. Być może jest to nieuchronne. Być może przez to też trzeba przejść. Ale przez to się przechodzi bardzo niechętnie.

Sam Marzec zaczął się właściwie w styczniu 1968, kiedy to dowiedzieliśmy się o zdjęciu "Dziadów" i zorganizowaliśmy trzyosobową demonstrację. Karol Modzelewski wymyślił wtedy hasło, które dobrze oddawało sens naszych przemysłów: "Niepodległość bez cenzury". Zatrzymania, kolegia i grzywny od 1,5 do 3 tysięcy dla około dziesięciu osób — to są znane sprawy.

Potem wydarzenia toczyły się szybko, a my staraliśmy się nadawać im kierunek. Wyrzucenie z Uniwersytetu Adama Michnika i Heńka Szlajfera za kontakty z korespondentem "Le Monde", dyscyplinarki zatrzymanych w czasie demonstracji, zbieranie podpisów pod listami protestacyjnymi, zbiórka pieniędzy na grzywny w kolegiach — wszystko w atmosferze podniecenia, gorących dyskusji po akademikach i uczelniach. Jednocześnie toczyła się akcja ulotkowa. Zaczęliśmy od ulotki wyjaśniającej sens zdjęcia "Dziadów". W odwecie pojawiła się ulotka antysemitka. Na to my — ulotkę Kuby Karpińskiego wyjaśniającą sens antysemityzmu, z charakterystycznym zakończeniem: "Antysemici, wydaje się wam, że jesteście głośni, a wy jesteście naprawdę cisi". Cisi — to było określenie z opery "Cisi i gęgacze" Janusza Szpotańskiego, skazanego za napisanie jej na trzy lata więzienia. Był to synonim Służby Bezpieczeństwa i jej agentów.

Przerwaliśmy "kordon sanitarny", jak to określał Karol Modzelewski, wyszliśmy poza Uniwersytet — przestaliśmy więc już być bezpieczni. Na przykład zbieranie podpisów przebiegało mniej sprawnie niż za pierwszym razem. Było o wiele więcej list, znacznie więcej podpisów, lecz ponlewał policja, aktywiści partyjni i ZMS-owcy dosłownie wrywali listy z ręki i niszczyli, trudno ustalić ostateczną liczbę tych, którzy podpisali. Było ich mniej więcej trzy i pół tysiąca.

Okazało się, że ten kraj sledzi na wulkanie, że ta władza nie jest akceptowana.

Przed wieczem 8 marca część z nas, między innymi ja, została zatrzymana. Wypuścili mnie dziesiątego, nocowałem w akademiku. Na Uniwersytecie było wtedy święto. Niekończące się zebrania, dyskusje. Można było właściwie przeżyć cały dzień przechodząc do różnych pomieszczeń uniwersyteckich, z Pałacu Kultury na Krakowskie Przedmieście, i ciągle coś się działo, ciągle gdzieś były wiece. Była też oczywiście atmosfera strachu i napięcia, pojawiać się zaczęły informacje o ofiarach śmiertelnych. Mieliśmy świadomość, że ludzie patrzą na studentów z sympatią. Te dwa dni zlewają mi się w jeden. Był jakiś wiec na Wydziale Filozofii, na którym przemawiałem, potem na Matematyce, gdzie uchwalono, aby zdjąć prorektora Rybickiego, wybrano siedmioosobowy komitet studencki, w którego skład wszedłem.

Uważałem, że najważniejsze jest, by zachować te komitety studenckie, że ludzie sledzą i będą sledzili, a te komitety zostaną i zastąpią skompromitowany ZSP i ZMS. Najbardziej utrwalił mi się wielki wiec w Audytorium Maximum, gdzie wybrano trzyosobowy komitet: Ołka Perskiego, który w 1970 wyjechał z Polski, Aramowskiego — potem został gdzieś dyrektorem i Piętkę — ubeka, jak się później okazało. Na tym wieczu było ze trzy tysiące ludzi, wszyscy byli za uchwaloną rezolucją i tylko jeden przeciw. Był to taki ZMS-owiec, nazywał się Łukaszewicz — później był naczelnym "Expressu Wieczornego" czy innego "Sztandaru Młodych". Zaimponował mi tym, że był w stanie przyjść i być przeciw. Jego koledzy z organizacji byli w bojówkach, ale na wiece nie przychodzili, a ten uznał to za swój obowiązek.

Bojówkarzy spotykało się potem w różnych sytuacjach. Kiedy w 1978 roku zatrzymali mnie razem z żoną, w "suca" naprzeciwko siedział officer SB — mój kolega z sąsiedniej klasy, który przyjaźnił się z Krzyskiem Pszenickim, obecnym szefem polskiej sekcji BBC. Powiedziałem: "Jurek, masz parszywą robotę", a on na to, że nieźle zarabia, a ile miałby jako biolog. Papierosów nie przyniósł, choć obiecał, a za to namawiał Krysię, byśmy "zaprzestali działalności".

12 marca głupio wróciłem po coś do domu, a tam już na mnie czekali. Zostałem aresztowany i siedziałem do lipca 1969.

Tak, wielu ludzi nie sprawdzilo się podczas śledztwa. Załamanie jest rzeczą nieprzypadkową i przypadkową zarazem. Można się załamać po świńsku i mówić o ludziach obrzydliwości albo bzdury, jak Andrzej M., który zeznawał, że Adam Michnik odgrywał rolę Wierchowleńskiego, a można i tak, że po prostu w ogóle zaczyna się mówić, to było częstsze. W pierwszych miesiącach po wyjściu ludzie mieli potrzebę usprawiedliwiania się, tłumaczenia, wytykania, kto pierwszy zaczął mówić... Nie było jednak ostracyzmu, raczej próba zrozumienia i współczucia. Po prostu ci, którzy się nie załamałi, wyszli z więzienia jakby zbudowani na resztę życia. Zresztą zdarzało się tak, że ci, którzy przegrali za pierwszym razem, odbudowywali się za drugim.

Wyjście z więzienia oczywiście euforyczne, choć z niepokojem, że wychodzę do rozbitego środowiska, no i nie wiedziałem, co będą robił. Wielu w wyniku nagonki antysemickiej wyjechało.

Kiedy chodziłem po Krakowskim Przedmieściu, miałem wrażenie, że ulica jest pusta. Witek Holsztyński, syn przedpaździcznikowego ubeka — przyjaźnił się od siódmej klasy — po wyjściu z więzienia czekał na matkę, mimo że jego rodzina wyjechała wcześniej, ale się nie doczekał. Gierek Smolar, Józek Błasiak, Irena Lasota, Witek Nowotny, Natek Tenenbaum... Natek chciał tu być, ale jak się ktoś nazywa Tenenbaum to bycie w tym kraju po sześćdziesiątym ósmym było bardzo trudne. Chyba że człowiek nazywa się Blumsztajn i przez to, że zostaje, coś sobie pokazuje. Sobie i innym...

Allk Smolar wyjechał, bo, mam wrażenie, nie mógł wytrzymać poczucia, że nie jest tym, kim jest — żeby być sobą, musiał wyjechać. Ja z Adamem — odwrotnie — czuliśmy, że aby być sobą musimy zostać, podobnie Basia Toruńczyk i Sewek Blumsztajn. Oni zostali za granicą dopiero w czasie stanu wojennego. Z wieloma z moich przyjaciół, którzy wyjechali, nie mam żadnych kontaktów. Zaczęli życie od nowa, weszli w inny świat.

Ja wiedziałem, że wyjazd stoł poza wszelkimi moimi pomysłami na życie, nawet jeśli mi się śnił, a śnił się, bo ciągle ktoś wyjeżdżał — wyjazd był uwolnieniem od więzienia, strachu, tego wszystkiego... Ale zostanie tutaj było dla mnie pod pewnym względem wyborem lepszym, ciekawszym. Sprawdzeniem sensu tego, co się robiło, przeciwstawieniem się określeniu z zewnątrz.

Pracowałem początkowo jako barman, potem robotnik, potem w biurze projektów.

Zaprzyjaźniłem się ze środowiskiem trochę starszych ode mnie socjologów, którzy przez Marzec i to co było potem bardzo się zintegrowali. Stamtąd wyrósł "Salon Niezależnych" — Jacek Kleyff, Michał Tarkowski, Janusz Weiss. To środowisko "wyprodukowało" taśmę piosenek marcowych.

Rok, półtora roku po Marcu, kiedy te piosenki były bardzo popularne i zawsze ktoś je śpiewał, zaczęło mnie to strasznie nudzić. Jak się zaczynały te śpiewy, na ogół wychodziłem. Kombatantwo mnie denerwowało. Zresztą wszyscy mieliśmy taki kombatantcki odrzut — jedni więcej, inni mniej.

Na przykład Adam o Marcu w ogóle nie chce mówić i go rozumiem. Dlatego że my nie mamy po siedemdziesiąt lat, lecz po czterdzieści i po Marcu zdarzyło się jeszcze wiele innych ważnych rzeczy.

Potem zbliżyłem się do takich grup posthipisowskich, zajmowałem się trochę — po amatorsku — psychoterapią, co bardzo pomogło mi w innym niż polityczne rozumieniu świata społecznego. Próbowałem głębiej poznać mechanizmy własnego myślenia, działania. W rozumieniu motywów postępowania ludzi ten okres bardzo mi pomógł. Dość dużo czytałem klasyków psychoanalizy, psychologów humanistycznych. To było wtedy dla mnie ważne doświadczenie.

Nadal oczywiście utrzymywałem kontakty ze starymi przyjaciółmi. Zaczęliśmy się spotykać z ludźmi z KIK-u, często z młodszymi od nas, jak Krzysztof Jedliński, Wojtek Arkuszewski, Wojtek Ostrowski. Głównie dzięki Krzysztofowi Śliwińskiemu, po wyjściu Kuronia i Modzelewskiego, którzy jako recydywiści siedzieli do końca 1971, organizowaliśmy

regularne dyskusje z ludźmi KIK-u i "Więzi". Brali w nich udział Stefan Bakinowski, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski czy Bogdan Cywiński, autor "Rodowodów niepokornych" — jednej z najważniejszych książek w moim życiu, która pokazywała wspólne korzenie ludzi z różnych środowisk.

Te spotkania były ważne, bo okazało się, że między nami nie ma — przynajmniej na poziomie rozmowy — większych różnic. Dla większości z nas był to okres zbliżenia się do swojego rozumienia katolicyzmu. Samo wystąpienie posłów grupy "Znak" w sejmie w okresie wydarzeń marcowych niewątpliwie przyczyniło się do tego zbliżenia.

Politycznie był to okres w pewnym sensie martwy. Zwłaszcza po Grudniu 70, kiedy nie umieliśmy nic zrobić i nie mieliśmy żadnego pomysłu na potem. Być może zagrał tu również strach — byliśmy po kilka razy wzywani na policję. A jednak kilka rzeczy się udało — sprowadzaliśmy książki z Zachodu, wystaliśmy tam taśmę z rozmową Gierka w strajkującej stoczni szczecińskiej.

Później podejmowaliśmy różne akcje protestacyjne. Zbieraliśmy podpisy w sprawie sytuacji połoni w ZSRR, w obronie skazanych w procesie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela Czumów, Niesiołowskiego, przeciwko wyrokowi śmierci na Kowalczyka, w 1975 roku — przeciwko poprawkom do konstytucji, a wreszcie w 1976 zaczęliśmy pomagać robotnikom Radomia i Ursusa.

Początkowo być może chodziło po prostu o "dawanie świadectwa", jak twierdziliśmy z Konradem Bielińskim. Później jednak to, co robiliśmy, wynikało już z wiary, że nasze działanie krok po kroku zbliża do czegoś nowego — jak twierdził Adam — i co okazało się prawdą.

Głównym motorem działania w KOR-ze było pokolenie nasze i trochę młodszych, dla których Marzec, jako dla ludzi szkół średnich, też był wstrząsem. Plus ludzie z tych środowisk, którym Marzec zmieniał sytuację, na przykład środowisko literatów warszawskich, którzy byli opozycyjni wobec systemu, ale ich opozycyjność jawna została zbudowana w 1968 roku. Zresztą mieliśmy oparcie w bardzo szerokim środowisku inteligencji z całej Polski.

Jeszcze w Sierpniu ludzie z marcowym rodowodem byli rzeczywiście dobrze widoczni. Z jednej strony przez tę swoją pewność, że w sprawach publicznych trzeba zabierać głos, nawet jeśli się można na tym przejechać, z drugiej — okres posierpniowy wyrażał w dużej mierze ideały Marca: otwartość, odrzucenie schematów ideologicznych. Nie jest chyba przypadkiem, że duże grupy — młodzi robotnicy z wykształceniem na ogół średnim i starsi od nich o około dziesięć lat inteligenci czuli się ze sobą dobrze i byli po Sierpniu najbardziej widoczni. Obie grupy chciały widzieć świat takim, jaki jest, w całym jego skomplikowaniu i nieoczywistości. I tu gdzieś widać dziedzictwo Marca.

Mysły się niekiedy kłóciły i nie lubili siebie nawzajem, ale jak się zaczął siedemdziesiąty szósty, to wiadomo było, że wszyscy w mniejszym lub większym stopniu się w to zaangażują i rzeczywiście tak się stało. To wynikało z podobnego widzenia świata, wspólnoty przeżyć, wzajemnego zaufania i tego właśnie wzajemnego rozumienia się w pół słowa. I jak się okazało, nie oznaczało to zamknięcia we własnym gronie, bo ruch korowski był znacznym rozszerzeniem naszego kręgu. Po Sierpniu, w okresie "Solidarności" okazało się, że ten krąg może się znowu znacznie rozszerzyć i w każdym mieście można było spotkać ludzi podobnie myślących, grających jak gdyby w tej samej tonacji, reagujących podobnie na podobne rzeczy.

Pod pewnym względem jesteśmy fenomenem, dlatego że nikt tak długo w Peerelu w ruchu o takim charakterze nie działał. Dotychczas każdy ruch jakoś się kończył i wszystko zaczynało się od nowa. A tu jest pewna ciągłość, choć zmieniały nam się poglądy na wiele konkretnych spraw.

To co nam wszystkim zostało po Marcu, to jest odkrycie poczucia prawdy w życiu publicznym. To jest — moim zdaniem — najważniejsze. Ze należy dochodzić prawdy i dochodzić do prawdy. I jeżeli coś się dzieje w tym kierunku, to wielu ludzi z mojego pokolenia chce w tym uczestniczyć. Co więcej, ta wspólnota przeżycia, odkrycia konieczności prawdy, walki z fałszem, stała się wyznacznikiem sztuki, kultury w latach siedemdziesiątych, kiedy to cały ruch nowej poezji — Barańczak, Krynicki, Zagajewski, Kornhauser, Bierleżin; nowy teatr — Teatr Ósmego Dnia czy Teatr 77 — wyrastał bezpośrednio z doświadczenia Marca.

Marzec ustawił mnie w życiu. W sensie zarówno pozytywnym, jak i negatywnym. Gdyby nie Marzec, to pewnie bym ukończył matematykę, byłbym średnio udanym albo może

nieudanym asystentem na jakiejś uczelni, zajmowałbym się matematyką, pewnie zrobiłbym doktorat i odczuwał to, co większość znajomych matematyków: niedosyt z powodu zajmowania się taką rzeczywistością, która właściwie rzeczywistością nie jest. Wprawdzie są wybitnymi docentami, profesorami, ale czują, że matematyka to jednak nie jest życie.

Wybór w Marcu był dla mnie wyborem na całe życie. Wszystko co potem robiłem było konsekwencją Marca — aby być sobą nie mogłem zaprzeczyć tamtemu wyborowi i tamtym decyzjom. Myśmy w pewnym sensie mieli bardzo utatwioną sytuację — rozwój wydarzeń nas ciągnął. Wchodziliśmy do więzienia jako niepoważni zapaleńcy, a wychodziliśmy z rozpoczętą polityczną biografią.

Marzec nas uwiarygodnił. Czy umieliśmy z tego skorzystać, to inna sprawa. Ale niewątpliwie było tak, że nagle okazało się, że staliśmy się partnerami dla ludzi, dla których żyliśmy szacunek: dla pisarzy, twórców. I znowu: można z tego skorzystać i można nie skorzystać. Można to potraktować na zasadzie ciekawostki, a można się z tego czegoś nauczyć. Adam jest tu najlepszym przykładem — większość jego książek to dyskusja z ludźmi pokolenia od nas starszego. A to, że mogliśmy jako dwudziestokilkulatkiwie poznać Woroszyńskiego, Herberta, Konwickiego, Markuszewskiego i wielu innych, to w dużej mierze zawdzięczamy Marcowi i temu, co z tym Marcem zrobiliśmy. Jednak dla większości z nas Marzec był tylko początkiem biografii politycznej i intelektualnej.

Mieliśmy wiele szczęścia, bo kiedy zaczynaliśmy działać wchodziliśmy na zupełnie puste pole. Ludzie młodzi mogli czuć się przytłoczeni w latach siedemdziesiątych legendą Marca, dzisiaj — legendą "Solidarności".

Ten kraj się zmienił. Ludzie inaczej myślą. Jest to oczywiście wynik zbiegu okoliczności: tradycji polskiej, pewnych cech narodu i społeczeństwa polskiego, wizyty Papieża. Ale trudno pozbyć się wrażenia, że nasze działania też coś znaczą.

Rozmawiała i przygotowała do druku Anna Karśka

Moja odpowiedź

(...) Chce Pan wiedzieć, jak doszło do tego rzućcia się głową w dół, w "Solidarność"? To może zacznę w ogóle od mojego własnego rodowodu, od tego, jak skończyłam z polityką. (...)

Miałam osiem lat i moja rodzina, zebrana z jakiejś okazji, dostała kolejnego ataku upatriotyczniania młodego pokolenia. Myśmy stawiali zawsze przeciwko temu opór, ale wynikał on nie z poważnego protestu czy niechęci, a raczej z niepewności i buntu przeciwko temu, co mówią starci. Dziadek opowiadał, jak wyglądała wojna polsko-radziecka, w czasie której był rotmistrzem ułanów, jak jechali oddziałkami konno przez lasy nadgraniczne, jak kochał swoje konie, które kolejno dokładnie opisywał, jak śpiewali przy ognisku pieśni legionowe, a Moskale — bo dziadek innego określenia nigdy nie używał — ich tropili i gnębili. Kiedy doszedł do momentu, w którym jego przyjacielowi Moskale wydarli na nogach lampasy z żywej skóry, dostałam ataku hysterii i trzeba było mnie położyć do łóżka, a potem starałam się o tym nigdy nie myśleć i w ogóle byłam przeciwna całemu patriotyzmowi i walce o niepodległość. Nie chciałam więcej o tym słyszeć. A czytać nie było co.

Trudno mi jednak było uciec od polityki. W mojej szkole było sporo dzieci dawniejszych — z lat pięćdziesiątych — prominentów i wszyscy byliśmy jakby z natury za socjalizmem. Mielśmy kluby, w których zwalczyliśmy szkolną, nauczycielską konserwę: własne piosenki i hymny, kabaret. Było więc dużo młodzieńczego buntu i protestu. A jednocześnie pamiętam przypadek, kiedy poszliśmy całą grupą na węgry i wydało nam się to tak dramatycznym wykroczeniem, że zbiorowo przyznaliśmy się dyrekcji. Nie mogliśmy wytrzymać obciążenia tak złym postępkami. A przecież mieliśmy już po 15-16 lat!

Moje pokolenie było niezwykle liczne. Byliśmy tak zwanym wyzmem demograficznym i wszystkiego zawsze dla nas brakowało. Uczono nas na każdym kroku oszczędności i ja do dzisiaj nie jestem w stanie wyrzucić do połowy zapisanej kartki papieru — oddzieram czystą połówkę i zostawiam na zapas.

Do mojego pokolenia zaliczyłabym ludzi urodzonych między 1944 a 1953 rokiem. Dlaczego akurat tak? Ci trochę starsi wyraźnie się od nas różnili, oni już w pełni świadomie przeżyli Październik, poddawali się płynącym wówczas świeżo z Zachodu prądom mody. To była ta "dzisiejsza młodzież", o której nieustannie pisano w gazetach i mówiono w radiu; hłaskowcy, egzystencjaliści — czarne swetry, trumniaki na nogach, tańczyli *rock and rolla* i podobno nie ustępowali w tramwajach miejsc starszym.

Myśmy patrzyli na nich z dołu, nie marząc specjalnie, żeby się do nich upodobnić. Tańczyliśmy *twista*, ekscytowaliśmy się wczesnym Konwickim i Hemingwayem, chcieliśmy świat raczej zmienić niż odwracać się od niego, a w tramwajach w ogóle nigdy nie zajmowaliśmy miejsc siedzących.

Młodszy już z kolejnego pokolenia, to ci, którzy w czasie Marca 68 nie byli nawet w liceum.

Jednym z zaklęć naszego pokolenia była "nowoczesność". Wiele nas kosztowała. Przede wszystkim w sferze moralności. Byliśmy pokoleniem prywatkowym, ale chyba bez niepohamowanego przesypania się na prawo i lewo, i może bez takiej determinacji, jaką spotykało się u trochę starszych, tych z "dzisiejszej młodzieży". Tam podobno to rozpasanie było znacznie większe, oni ponoć nie wierzyli w miłość, my natomiast wierzyliśmy w nią i marzyliśmy o niej, ale uważaliśmy, że jedno nie ma nic do drugiego. Nowoczesność miała jednak swoje wymagania. Znam dziewczyny, które oddawały się jakimś okropnym facetom przeważnie z "dzisiejszej młodzieży", tylko dlatego, żeby się nie okazać nienowoczesnymi.

Obzerne fragmenty tekstu powstałego w 1987 roku, drukowanego w KARCIE nr 5. Maria Szerszeń to pseudonim osoby mieszkającej w Warszawie.

W dużym stopniu wychowywała nas literatura. Hemingway uczył, na przykład, zaciskania zębów w każdych okolicznościach i przyjmowania wszystkiego bez zarużenia powiek. Dużo później zrozumiałam, że czytywałam jak Biblię książki i oglądaliśmy z nabożeństwem filmy, które w istocie krytykowały nasze snobizmy czy fałszywe pojęcia o życiu. Myśmy przyjmowali je jako podręczniki życia właściwego. Pamiętam dwa filmy, które dobrze to oddają: "Nóż w wodzie" Polańskiego i "Polowanie na muchy" Wajdy. Pokolenie o oczko wyżej oglądało "Eroicę" — dla nas to już były tylko starocie.

Myśmy zresztą mieli serdecznie dosyć nieustannego słuchania i czytania o wojnie, o Żydach, o zagładzie, o obozach koncentracyjnych. Bynajmniej nie z powodu wrodzonej zatwardziałości czy cynizmu, albo — braku zainteresowania. Nie wiem, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, jak bardzo nasze lektury szkolne były zdominowane przez tego rodzaju literaturę, a filmy chyba w trzech czwartych były o wojnie. Kiedy dzisiaj czytam, że dotychczas nie powiedziano tego co trzeba o zagładzie Żydów albo całej prawdy o bestialstwach niemieckich, otwieram szeroko oczy ze zdumienia. Mam bowiem wrażenie, że od jedenastego roku życia słyszę o tym bezustannie, czytam i patrzę na to tak, że trudno już lepiej sobie to wszystko wyobrazić, chyba żeby tam być... Może ci co teraz tak piszą, ludzie około pięćdziesiątki, nie zauważyli, że młodsze pokolenia ssały to — że tak powiem — z mlekiem matek. Inna rzecz, to zafałszowania historii i literatury. Ale przecież myśmy czytywali do poduszki "Medalliony" Nałkowskiej, uczyliśmy się miłosnych zaklęć z opowiadań Borowskiego! Pamiętam, jak ważnym celem było skompletowanie książek o obozach koncentracyjnych!

Naprawdę wojny mieliśmy już zupełnie dosyć i interesowały nas sprawy życia bieżącego, nasze perspektywy, nasze miejsce — przede wszystkim w planie osobistym, bo plan społeczny był czymś tak naturalnym, naturalnie splecionym z życiem osobistym, że nie przychodziło nam do głowy, by traktować te dwie dziedziny osobno. Te dwa plany rozdzieliły się zupełnie dopiero właśnie po zniszczeniu "Solidarności", kiedy trzeba było zawiesić sobie na ścianie dewizę "rób swoje" i robić swoje niezależnie od doraźnych związków z rzeczywistością.

Więc te dwa filmy, o których wspominałam. "Nóż w wodzie" — pokaz właściwego, naszego zdaniem, stylu bycia i "oszczędnego" stosunku uczuciowego do wydarzeń osobistych. I drugi, nieco późniejszy — "Polowanie na muchy". Wydawał nam się szkoda dobrego smaku. Każda dziewczyna marzyła, żeby wyglądać jak jego bohaterka: mieć wspaniałe, muchowate okulary, sukienkę na suwak od góry do dołu, rozpinaną jednym ruchem przez zgarniętego z Hybryd kochanka-bruneta, do tego wysokie boty, symbol seksu lat sześćdziesiątych. Bał pod Warszawą był przeglądem marzeń zarówno ówczesnych środowisk młodzieżowych, jak i nowego drobnomieszczaństwa.

Oglądając "Polowanie na muchy" po dziesięciu latach zauważyłam, że wszystkie te marzenia reżyser w gruncie rzeczy beziluznie wykpił. Marzenia nie tylko konsumpcyjne ("Cześć, jak się masz, jaki masz samochód, czy już z nią spałeś, kiedy byłeś ostatni raz na Zachodzie"), ale i dotyczące właściwego — naszym zdaniem — stylu bycia, noszenia się, rozmawiania, przeżywania namłotności, dokonywania wyborów. Dopiero po dziesięciu latach zrozumiałam, że zostaliśmy wykpieni!

Myślę więc, że realnemu socjalizmowi udało się z nami w paru sprawach. Oprócz tego, o czym już powiedziałam, zywiliśmy przekonanie, że cokolwiek zdarzało się w niedawnej jeszcze historii, to przecież teraz Polska, ta socjalistyczna Polska, naprawdę już dąży do pokoju i prawdy, jest w miarę, ale jednak suwerenna. Nie wiem, czy starsze pokolenie zdawało sobie w ogóle sprawę, że przekazując nam wiedzę o czasach stalinowskich, dawało mandat zaufania władzy gomułkowskiej. Zawsze przecież w podtekście — w wypowiedziach oficjalnych, w prasie, ale i w tym, co mówili rodzice i dziadkowie — było: teraz już przecież tego nie ma, teraz nie jest aż tak źle. No i nie było, fakt.

Wiedzieliśmy, że teraz jest inaczej, że teraz jest nowocześnie, że pewne rzeczy mogą się zdarzyć tylko gdzieś daleko, na świecie w porównaniu z nami zacofanym, że przecież nie u nas. U nas nigdy.

No i, wie Pan, Marzec był takim momentem, kiedy to się zdarzyło. Wszystko, co nie miało prawa. Dla mnie najistotniejsze było w Marcu właśnie to przebudzenie — że u nas też, że świat nie idzie naprzód, tylko ciągle trwa w tym samym miejscu, a jeżeli ma się wrażenie, że coś idzie naprzód, to wynika tylko z kręcenia się w kółko w bardzo dużym kole, które za życia jednostki zdąży obrócić się najwyżej dwa-trzy razy.

Właściwie wówczas, 8 marca, miałam bardzo blade pojęcie o tym, co się szykuje. Odczuwałam tylko duszną atmosferę, miałam to poczucie co wszyscy, że jest nieznośnie i że coś musi się zdarzyć, bo dalej tak nie może być.

Z faktów — pamiętam zapowiedziane przez prasę ostatnie przedstawienie "Dziadów" w reżyserii Dejmka. Rzecz niesłychana nie dlatego, że sztukę zdejmowano, ale dlatego, że zapowiadano to w prasie, co zresztą odniosło oczekiwany zapewne skutek: wielką demonstrację młodzieży studenckiej na widowni teatru i słynny marsz pod pomnik Mickiewicza. Z hasła, a raczej zakłęk — imiona tych, co już siedzieli, bohaterów, dziś znane w świecie. Rozgorączkowany Jasienica, opowiadający o zajściach na zebraniu ZLP. Wszędzie atmosfera ostatecznych rozstrzygnięć, bo nikt dłużej tolerować tego nie będzie. Tyle się trzyma mojej pamięci. Czyjeś urodziny... "Wszystko rozstrzygnie się w piątek, ósmego". Czego się po tym wiecu w samo południe spodziewaliśmy? Myślę, że upadku Gomułki, wyjścia od nas Rosjan, wolności słowa, sprawiedliwości. Słowem — nowego, wspaniałego świata.

W piątek rano dawaliśmy sobie porozumiewawcze sygnały: "tak, dzisiaj, w samo południe, na głównym dziedzińcu". Nie wiedzieliśmy nic dokładnie. Ważne było, że Coś Się Dokonuje. Asystenci puścili nas o parę minut wcześniej z zajęć. Wyglądaliśmy przez okna i cieszyliśmy się jak dzieci wyłuskując z tłumy domniemanych tajniaków. Dziś mieliśmy im dołożyć.

Zawsze, gdy do tego wracam, mam ochotę mówić w nieskończoność, widzę kolejne obrazy, może teraz po dziewiętnastu latach niektóre momenty już się zacieraają, ale wciąż pamiętam to wszystko tak dokładnie, jak mało co w zyciu. I powiem Panu od razu, żeby nie było nieporozumień — nie, nie czułam się ani przez chwilę oszukana, mimo że nie ma już chyba wątpliwości, że to była prowokacja. Ale prowokacja polegała na ataku, który nastąpił po naszym uspokojeniu, natomiast nasze poruszenie, nasza chęć dokonania zmian, połączona z naiwną wiarą, że to się da zrobić wyrażając swoje zdanie na wjechach — wszystko to było prawdziwe i nastąpiłoby niezależnie od tego, że t a m c i chcieli na tym skorzystać. A oszustwo polegało właśnie na tym, że mogły nastąpić rzeczy, którym nie wolno się było zdarzyć, których zaistnienie przekraczało nasze możliwości pojmowania. Więc żeby nie nudzić nadmiarem szczegółów i opisem zdarzeń, o których mówiono i pisano już wiele razy — powiem tylko o sprawach, które wydawały się nam nie do pojęcia.

Zatem — pamiętam dobrze docenta Dobrosielskiego, pracownika naszego wydziału, jak biegał spocony między studentami i pokazywał kogo trzeba swoim zaufanym. Takiego wskazanego "robotnicy" — potem okazało się, że rzeczywiście byli tam również robotnicy, nie tylko ubecy — którzy przyjechali "nauczyć rozumu rozwydrzoną młodzież bananową", łapali i wsadzali do budy milicyjnej. (Dobrosielski został potem ambasadorem w Londynie, a my nie mogliśmy darować Anglikom, że go wpuścili. To bardzo trzeźwiaco wpłynęło na nasz stosunek do Zachodu.)

Pamiętam naszych kolegów należących do ZMS, którzy utworzyli zwarty szpaler, trzymając się ściśle pod ręce, podeszli w rozkołysanym rytmie do Dobrosielskiego i wyskandowali, że są gotowi, a on pobłogosławił ich ruchem dłoni. Poniesiona przez tłum, w pierwszej chwili nie zrozumiałam tej sceny, myślałam, że oni są z nami, jako jedynego przeciwnika widziałam tych "robotników" w kamizelkach kuloodpornych pod długimi płaszczami, z małymi, czarnymi pałkami, w których był metal, bo przy biciu wcale się nie wyginały jak te białe, milicyjne. Dopiero po chwili zrozumiałam, że to była kolumna wśród studentów, że oni stają w jednym szergu z bijącymi nas. Uniosło mnie w tłumie do przodu, tam gdzie stali "robotnicy" i tam zostałam pokazana przez docenta. Obie grupy, napierane przez stojących dalej zwarty się, a ja znalazłam się w samym środku. "Robotnicy" złapali mnie za ręce, usiłowali wyrwać. Koledzy trzymali mnie z tyłu za piaszcz, za szyję i ciągnęli do siebie. Tłum pchał się na mnie z obu stron, a dwie potężne siły próbowały rozerwać... Od tej pory kiepako znośzę przebywanie w tłumie, może dlatego mam awersję do demonstracji.

Jakoś się wyrwałam, popchnięto mnie do tyłu. Tam łapano moje koleżanki, ściągano mówców z podwyższenia, rozdawano ciosy pałek.

Dużo później, kiedy wszyscy przesunęli się pod Pałac Kazimierzowski, wyszedł do nas siewiutenki prof. Czesław Bobrowski, jak się potem — nawet po stanie wojennym — okazało, niepoprawny optymista i entuzjasta. Myśmy czegoś żądali, o coś wołaliśmy, a on poprosił, żebyśmy wyłonili delegację, z którą się będzie rozmawiać. Wyłoniliśmy delegację. Poszło pięć czy siedem osób, wśród nich Jadwiga Staniszkis. Zostali aresztowani. Musiano ich wziąć z

rak prorektora Rybickiego, który zaprosił ich na rozmowy. Od tej pory już zawsze tylko ironię mogły we mnie budzić tak nadużywane przez władzę w czasach "Solidarności" apele, brzmiące identycznie, jak tamten apel Bobrowskiego — że przecież nie można rozmawiać z całym tłumem, że trzeba mieć kulturę polityczną, że wszystko można załatwić, tylko trzeba umieć się porozumieć.

To była niezła lekcja zaufania.

Potem uspokoiłiśmy się, profesor Bobrowski miał na nas kojący wpływ. Szczerze mówiąc na ten dzień mieliśmy dosyć. Minęło już sporo czasu. Zostało niewiele osób, część wymknęła się wcześniej. Wściekle zmarznięci i głodni szliśmy powoli w stronę wyjścia z Uniwersytetu, wdawaliśmy się w beznadziejne rozmowy z "robotnikami". Odprowadziliśmy ich do zaparkowanych na placu przed Biblioteką autokarów, trochę z nich kpiąc, trochę usiłując przekonać, że to my mamy rację i żeby pomogli nam walczyć o wspólną słuszną sprawę. Zdawało nam się nawet, że niektórych trochę przekonaliśmy. Obajypywaliśmy ich półzartobliwie, a półsymbolicznie dwudziestogroszówkami (to była wtedy cena studenckiego biletu na autobus). Wsiadali do autokarów, wyjeżdżali boczną bramą.

Tych czterysta niebieskich postaci — w marszobieg od bramy głównej — przeciętych białymi szarfami i pasami, to był absolutny szok. Jak to — dzieci były już grzeczne, już chciały iść do domu, a tutaj... prawdziwy atak!

Stałam w pierwszym szeregu i pewnie dlatego przeza mnie to przeleciało, nie dotknawszy nawet. Poleciało dalej, gonitwo uciekających już kolegów, biło, machało białymi pałami, wyło. Nagle zza węgłów pojawili się znova "robotnicy". W dwadzieścia sekund na dziedzińcu prócz mnie nie było chyba nikogo. Oszołomiona, wdrapałam się na kupę zgarniętego śniegu i rozglądałam się dokoła.

Pod BUW-em, obok autokarów, które pojawiły się z powrotem, a może wcale nie odjechały, trzech "robotników" skakało po brzuchu przewróconej na plecy dziewczyny.

Pobiegłam przed siebie. Za rogiem, tuż przy schodach wiodących do Studium Afrykanistycznego stał, a raczej szalał się mój kolega, którego biło pięciu facetów w przydługich płaszczach. Przy gwałtownych ruchach spod płaszczy wyłaniały się polny kamizelki kuloodporne. Bili tymi krótkimi, twardymi, czarnymi pałkami. Bili tylko po głowie, po której ze wszystkich stron spływała krew, a mój kolega powtarzał z równie bezgranicznym zdumieniem, z jakim ja na to patrzyłam: "Polacy, ludzie, nie bijcie, Polacy...". Stał podtrzymywany ciosami.

Znalazła się obok mnie koleżanka, krzyczałyśmy, bityśmy obie facetów po płaszczach, po plecach, waliłyśmy w nich pięściami, żeby go zostawili, żeby nie dali nam widzieć tego, w co nie mogłyśmy wiać, nawet w tej chwili, uwierzyć. A oni odwijali się co chwilę, wymierzali na oślep cios pałą w naszą stronę i bili dalej. Obok stali robotnicy z warsztatów uniwersyteckich. Stali i patrzyli. Bardzo przestraszeni, nie reagowali wcale. Od autokarów dobiegały wołania, te koledzy "robotnicy" coś krzykali do siepaczy. Ci wreszcie zostawili chłopaka, pobiegli. Tamci, pochyleni, w pocie czoła zbięli nasze rozsypane w błocie pieniądze. Chłopak osunął się w nasze ramiona, wyniosłyśmy go na ulicę.

Tak biło — według propagandy — tylko w krajach zachodnich. Tak bili czarni pułkownicy greccy, których już nikt dziś nie pamięta, tak biło Murzynów w Stanach, gdzie kto wie, może następny prezydent będzie czarny, tak biło potem w Argentynie, gdzie *junta* dawno jest już osądzona i ukarana. Tylko u nas się to nie kończy, czasem na parę lat zamiera, a potem biją coraz gorzej, coraz więcej, coraz wprawniej, z niczym się nie licząc, na śmierć, bez ostówek, bez usprawiedliwień i ideologii. U nas, gdzie w ogóle bicie człowieka, bicie przez współbraci, było — przynajmniej dla nas — nie do pomyślenia.

A jeżeli chodzi o rzeczy nie do pomyślenia, to przecież przedtem była sprawa Dajczgewanda, obrzydliwa, robiona dyscyplinarka chłopca, którego nazwisko wycierała potem cała prasa na swoich łamach, pisząc z małej litery i w liczbie mnogiej, że "dość mamy rządów różnych dajczgewandów". Naprawdę, nie mieściło się nam w głowie, że profesorowie wyższej uczelni mogli kogoś niesprawiedliwie osądzić i skazać.

Różne rzeczy okazywały się jednak możliwe. Moje przebudzenie do rzeczywistości postępowało szybko.

Od tamtego czasu chyba nigdy nie dałam się oszukać. Już wiedziałam raz na zawsze, kim o n i są. Wystarczyło wtedy trochę poczytać prasę, zestawić ją z rzeczywistością.

Niewiarygodne, brudne kłamstwa; bzdury pomieszane z półprawdami, donosy, fałszywe komentarze. Od tamtego czasu raz na zawsze wiem, do czego zdolna jest ta prasa.

Przez kilkanaście dni — od 8 marca — przeszła cała epoka. Ruszyła się Politechnika i inne uczelnie Warszawy. Odbył się dwudniowy strajk Uniwersytetu, w czasie którego późną nocą uchwaliliśmy m.in. rezolucję przeciwko agresji Izraela na Egipt (z jednym głosem przeciwnym), a także nabawiliśmy się katarów — spało się pokotem pod biurkami, a potem od świtu siedzieliśmy na trawniku uniwersyteckim, żeby widzieli nas ludzie pracy zdążający do swoich fabryk i warsztatów. Potem zastrajkowali studenci Politechniki, baby z pobliskiego bazaru na Polnej szykowały im koszyki z prowiantem, a całe miasto nosiło im papierosy.

W dniu przemówienia Gomułki znowu wypuszczono nas przed końcem wieczornych zajęć, ulice były wyludnione, spóźnieni biegli klusem do najbliższego telewizora. Gomułka gadał dwie i pół godziny popijając ze szklanki wodę, ale nie powiedział nic interesującego dla nas, to znaczy nie upadł, nie pokajał się, niczego nie obiecał. Za to przytoczył te fragmenty "Dziadów", które wzburzyły towarzyszy radzieckich i spowodowały zdjęcie przedstawienia ("Wszak to już mija wiek, jak z Moskwy w Polskę nasytają samych łajdaków stek"), a także opowiadał ze wstrętem o "operze" "Cisi i gęgacze" Szpotańskiego, którą skomentował stynnym: "ni ples, ni wydra, coś na kształt świdra".

Tamto przemówienie z 19 marca pokazało, że Gomułka nie ma nam nic do zaoferowania, nie miał chyba też już wiele do zaoferowania swoim partyjnym kolegom, bo ponad głowę towarzysza Wiesława huczało, jak groźna zapowiedź burzy, skandowanie części partyjnej widowni: "Gierek! Gierek!" — czego kamery telewizyjne z nagłą sumiennością nie omieszkały pokazać. Gierek musiał być już poważnym kontrkandydatem do władzy. Krążył nawet wtedy dowcip: "cała Polska czeka na swego Dubczeka, ale chodzi szmerek, że to będzie Gierek".

Niedługo potem odbyło się nasze ostatnie w marcu spotkanie w Audytorium Maximum, na którym było już tylko jakieś osiemset osób, a nie jak zwykle półtora tysiąca. Jak zwykle nie było tuby, bo gdzieś zginęła, a mikrofon się znowu zepsuł czy też prądu nie było. I jak zwykle każdy, kto chciał coś powiedzieć, musiał prawie krzyczeć i prędko dostawał chrypy, dosłownie tracił głos... Ten wieczór to nie było już to zwyczajowe protestowanie, apelowanie, formułowanie rezolucji ("rezolucje" to takie marcowe słowo, jak potem sierpniowymi były "postulaty"), przestaliśmy "coś uważać", zaczęliśmy czegoś żądać. Dobrze to pokazuje ewolucję polityczną. Oprócz wylczania krzywd i prześladowań — ktoś odczytał pierwszy nasz program działania na przyszłość, czy raczej pierwszą próbę programu. O konieczności rozszerzenia demokratycznej platformy rządów, o konieczności naprawy gospodarki i o wielu, wielu sprawach pilnych i ważnych. Dotychczas prawie wyłącznie protestowaliśmy i rozliczaliśmy, przy czym robiliśmy to reagując na działania władz, które wiedziały dobrze, że nasza energia wyładuje się w oburzeniu, więc dostarczały nam do oburzenia się kolejnych powodów. Program pokazywał, że niektórzy z nas potrafiliby jednak na chwilę ochłonąć i zastanowić się, co dalej.

Dla mnie było to jak drugie przebudzenie — uświadomiłam sobie, że nie wystarczy wołać o pomstę do nieba. Niebo okaże może przychyłność, ale trzeba samemu podjąć jakieś działanie, coś stworzyć. Wiele lat musiało minąć, zanim naprawdę do tego doszło.

Władze rozwiązały niektóre wydziały, wyrzuciły wszystkich studentów i ogłosiły powtórne przyjęcia. Nasi koledzy po pół roku wyszli z więzień, ale wtedy, w kwietniu 1968, ich nie było. Nie dostali się na studia. Nawet ci z piątych lat studiów, nawet ci, co za dwa, trzy tygodnie mieli bronić prac dyplomowych. Niektórzy poszli na inne, inni się zmarnowali, jeszcze inni wyemigrowali.

Nasz wydział próbowano niemal zetrzeć z powierzchni ziemi — jedną z sekcji wyprowadzono do innego gmachu, przebudowano najbardziej wraży ośrodek rewizjonizmu, czyli katedrę profesora Kołakowskiego, gdzie z dwóch pokojów zrobiono sześć małych pomieszczeń dla dziekanatu, instalowano nowe przewody elektryczne, wbudowując w ściany złowrogo wyglądające "puszki", które uważaliśmy za rozdzielniki aparatów podsłuchowych, kto wie czy nie słusznie. Do Dobrosielskiego na seminarium już nie poszliśmy więcej. Uczynni asystenci pomogli nam zaliczyć inne przedmioty.

Śmieszne, jak byliśmy przywiązani do zewnętrznych znamion autorytetu — nasi rodzice, nauczyciele i profesorowie bardzo starannie wbijali nam to w głowę. Ja sama wyleczyłam się z automatycznego szacunku dla "profesora", gdy przeczytałam w gazecie, że profesorem mianowano właśnie jednego z pistoletowców marcowych, Kazimierza Kąkolia. To

on potem był przewodniczącym komisji egzaminacyjnej na studium podyplomowym, na które zdawałam. Dostałam najwyższe oceny ze wszystkich przedmiotów egzaminacyjnych i... nie znalazłam się na liście przyjętych. Kąkol wyjaśnił mi to zupełnie szczerze: "Nie miała pani poparcia organizacji partyjnej ani młodzieżowej".

Usunięto z uczelni "naszych" profesorów i niektórych asystentów. Po wakacjach miała się rozpocząć nowa epoka akademicka, z nową ustawą, z ograniczeniem praw. Dla nas studia właściwie skończyły się w Marcu, potem to już było tylko kończenie nauki.

Bardzo szybko okazało się wtedy, w 1968 roku, że moja edukacja polityczna idzie we właściwym kierunku.

3 sierpnia 1968 przejeżdżałam z moją rodziną przez Czechosłowację, w drodze do Bułgarii. Widzieliśmy szczęśliwych, uśmiechniętych ludzi, rozśpiewaną młodzież, długo wieczorem wystającą na placynkach Pragi, zadowolonych sprzedawców, którzy zapewniali nas, że za rok tu będzie Ameryka. Ze straganów zasypywały się ku klientom mandarynki i pomarańcze, francuskie oliwki i ktoś zdobił wystawy sklepowe, w kioskach leżały stosy pornograficznych kalendarzy, co krok afisze zapraszały do *variétés* ze striptisem. Narożniki ulic okupowane były przez długowłosych kontestatorów, jak spod ziemi pojawili się hipisi. Jakiegokolwiek było — było tam z pewnością życie. Ulice tętniły przelewającym się tłumem, znikła prząsna komunistyczna prudencja, podobnie jak solenna postawa policjantów i nadęty styl z gazet.

Więc 3 sierpnia patrzyłam na to wszystko i powiedziałam: "Czuję tu zapach prochu, widzę jadące czołgi. Tak daleko być nie może, to zaprzeczenie socjalizmu". Jakże się wtedy ze mną śmiało! "Co ty — mówił ojciec — Europa poszła naprzód, minęło dwanaście lat od Węgier, po co niby miałiby wchodzić, Ruski już się ucywilizował, a w każdym razie nie będzie ryzykować, reszta Europy na to nie pozwoli, gdzie tam!"

W trzy tygodnie później w Budapeszcie Czesi rzucali się nam na szyję na ulicach i płacząc zapewniali: "Nie mamy do was pretencji, przecież wiemy, że wy, Polacy, zawsze jesteście za wolnością, was zmusili...". W Budapeszcie na kempingu rozdawano Czechom i Polakom (była pora powrotów znad czarnomorskich plaż) darmową zupę, polska ambasada wydawała po 150 forintów pożyczki na osobę, a Rosjanie nie puszczali do Polski przez Czechosłowację, tylko przez swoje terytorium, do czego wymagali wizy przejazdowej. Pamiętam, jak po całym dniu stania przed ambasadą radziecką dostaliśmy kwestionariusze na wizę i wyspowiadaliśmy się na piśmie ze wszystkich krewnych, aż po pradziadków. A pierwsi, którzy wreszcie pojechali, pociągami puszczonymi przez Lwów i Przemyśl, jechali na stopniach wagonów niewiarygodnie napchanych i nikt ich tam nie sprawdzał, bo i sprawdzić nie był w stanie. Więc tego wieczoru, kiedy dostaliśmy kwestionariusze, kiedy ambasada zmobilizowała wszystkie swoje siły i nawet woźni wbiłali wizy do paszportów, wyszedł do obłązonego przez tłum ogródka umundurowany urzędnik w czapce z czerwoną gwiazdą i popatrzył na nas wszystkich tam stłoczonych z nienawiścią, ale przede wszystkim z rozpaczą człowieka, który nie może wypełnić swego najświętszego zobowiązania: sprawdzenia wszystkich i wszystkiego. A potem wyskandował donośnym, załamującym się głosem: "Wy możecie pajechać cztery terytorium Sowietkowo Sojuza... — zawahał się i dokończył z tukanem w krzyku — bierz wiz!"

Potem był przejazd absolutnym fuksem przez terytorium okupowanej przez Rosjan Czechosłowacji. Na osiem godzin otwarto granicę, żeby przepuścić wycieczki z Polski i myśmy się doczepili do jakiegoś autokaru. To lotnisko w Bańskiej Bystrzycy, otoczone transporterami tak dokładnie, że człowiek by się absolutnie nie przecisnął. Te koszary w miastach, wypełnione żołnierzami słowackimi, pilnowane przez wojska radzieckie. Te pługi rzucone w polu, przewrócone traktory, drogowaskazy — wszystkie skierowane w jedną stronę, zastąpione płachtami z wypisanym: "Moskwa — 1800 km". Te demonstracje w każdej najmniejszej wsi, ten strąk powszechny, powszechnie radosny, i powitania naszego autokaru, który pomalowany był w charakterystyczne dla czeskich autobusów niebieskie pasy, a potem kamienie rzucone za nami, gdy już zauważono nasze znaki rejestracyjne. I te czołgi z czerwonymi gwiazdami na rozstajach, które wodziły lufą za nami i wydawało nam się, że w każdej chwili mogą wystrzelić; bo i mogły.

I potem Kraków, gazeta, a w gazecie: w Czechosłowacji pełna normalizacja, ludność z pogodą i godnością wita radzieckich przyjaciół, którzy pospieszyli bratniemu narodowi z

pomocą przeciwko kontrrewolucji. Szok nawet dla nas, którzy przeszliśmy już marcowy trening oszustw i idiotyzmów. I tej lawinie kłamstw, spuszczonej na głowy całego społeczeństwa, które pewnie w to nawet nie wierzyło, ale przecież nie miało pojęcia, jak tam jest naprawdę, tej lawinie przeciwstawialiśmy się tylko my, pojedynczy, bardzo nieliczni, którzy widzieli wszystko na własne oczy.

Wie Pan, jakoś się nasiąkło od początku, od wczesnej młodości, tym przekonaniem, że jest sprawiedliwość, że musi być sprawiedliwość i że nam się to właśnie uda. Przynajmniej mnie i moim kolegom. Przeszłam w dzieciństwie wyjątkowo dobrą szkołę samorządności i demokracji. Byłam w różnych samorządach szkolnych, kolonijnych, obozowych i tak dalej, i to były prawdziwe samorzady, nie udawane, nie rekomendowane, a potem zakłaskiwane. Zajmowałam tam różne pozycje, zawsze wybierana przez kolegów, co najwyżej zatwierdzona przez wychowawców czy nauczycieli. W dużej mierze byliśmy rzeczywiście samorządni.

Tym skorupka za młodu nasiąkła i tym na stare lata trać, nie może już inaczej. W tej sprawie nigdy nie potrafiłam iść na żaden kompromis, co oczywiście mnie kosztowało nieraz sporo, przydając mi opinie osoby "konfliktowej". Ja zawsze lubiłam mieć uzasadnienie wszystkiego, co mi się kaze robić i lubiłam, żeby słuchano argumentów na rzecz innych rozwiązań. Uważałam, że musi rządzić wola większości, a trzeba robić wszystko, żeby większość potrafiła swoje opinie ukształtować według zasady dobra powszechnego i wartości w rodzaju takich, że człowieka ocenia się na podstawie jego czynów, że każdy powinien mieć prawo bronić siebie i swoich racji, że trzeba dotrzymywać słowa w sprawach zupełnie mało istotnych tak samo jak w wielkich, że prawda to prawda i to wyklucza wszelkie dialektyczne twierdzenia, jakoby prawda to jednak był czasem fałsz.

Z tą prawdą to nie było takie proste. I to wcale nie dlatego, że nam wmawiano w szkole, na studiach, tę dialektykę, to pojęcie prawdy jako wartości skrajnie względnej, skrajnie pragmatycznej, a względnej dlatego, że jest odbiciem rzeczywistości, która przecież jest względna, niepewna, zmienna, więc i prawda być taka musi. Nie, to nie tylko dlatego. Raczej z powodu trudności z dotarciem do pewnych prawd, nawet niektórych wiadomości po prostu.

Co innego było w domu, co innego w szkole. To znane, ale jakże brzemienne w skutki. Myślę, że to, co niektórzy nazywali schizofrenią społeczną, w gruncie rzeczy zrodziło charakterystyczny dla wszystkich, o których myślę "moje pokolenie" — pluralizm. Niemal wrodzony pluralizm. Poczucie, że wszystko jest i bywa różne, że ma różnorakie uwarunkowania i przyczyny. Ale właśnie: nie prowadziło to do popadania w relatywizm, ten wygodny parawan dla wszystkich chwiejności moralnych, raczej dawało poczucie wielkiej złożoności świata, niemożności znalezienia prostych, bezpośrednich odpowiedzi. Daleko odeszliśmy od Chrystusowego "tak-tak, nie-nie", ale nie tak daleko, żeby odrzucić przekonanie, że prawda w gruncie rzeczy jest jedna.

Przebijaliśmy się z trudem ku tej prawdzie. Pamiętam, opowiadano nam jak było dawniej, przed wojną, na wojnie, potem. Matka mówiła, jak było dobrze i że wszyscy mieli swoje domy i w bród jedzenia, butów. Ojciec natomiast opowiadał, jak uczestniczył w akcji dokarmiania dzieci ludzi bezrobotnych, a w pamiętnikach sprzed wojny czytywałam, że ludzie na wsi jadali trzy razy dziennie kartofle i byli szczęśliwi, jeżeli mogli je okraszyć na Wielkanoc słoniną. Wujek był postem, a czytałam gdzieś, że wybory tamtego roku sfalszowano, chyba to był 1929. Jak zapytałam o to ciotkę, powiedziała, że to brednie, nie nie sfalszowano, to komunistyczna propaganda, ale zeby o tym nie przypominała wujkowi, bo mu będzie przykro — wierzy, że jego naprawdę wybrano uczciwie. I tak dalej.

Krytycznie przyjmowaliśmy prawdy jednej strony i zakłęcia drugiej. To często denerwowało starszych, zwłaszcza że, mimo wszystko, wiedzieli dużo, choć nie potrafili nam tego przekazać. Wiele spraw wydawało się im oczywistych, tak oczywistych, że chyba jeszcze bardziej nam mieszały w głowach.

Kilkadziesiąt razy słyszałam opowieść rodzinną o ucieczce ze Lwowa w 1940 roku, jak to o trzeciej nad ranem, w szlafrokach, bez niczego, cudem, w oranżerii, gdzie nie zajrzeli, w ostatniej chwili; jak to tego dnia wywieziono siedemnaście tysięcy Polaków; jak się przedzierali do granicy, a potem przez granicę, że dotarli do Warszawy brudni i głodni. Tylko jednego nie powiedzieli: że to była ucieczka przed Sowietami. Nigdy nie przyszło im

do głowy powiedzieć, kto tam wtedy był i skąd się wziął. Długo byłam przekonana, że Niemcy, bo przecież była wojna z Niemcami.

Pamiętam też jak w przedszkolu widziałam portret Stalina, trzymającego na rękach małą polską dziewczynkę z warkoczykami. Dziadkowi, który zawsze mnie uczył, że Moskale są źli dla Polaków, powiedziałam triumfalnie, że nie, bo właśnie u nas jest taki portret, a na nim dobry Stalin. Wtedy dziadek powiedział: "On wziął ją na ręce, żeby jej rozbić głowę o ścianę". Dzisiaj rozumiem, co chciał powiedzieć i przyznaję mu rację, ale wtedy nie było to zbyt fortunate. Uznałam, że dziadek nie ma o niczym pojęcia, że jego świat minął i teraz jest nowy, inny świat, którego on nie rozumie. Oczywiście, wtedy tego tak nie formułowałam, ale potem w stosunku do dziadka zawsze odzywało się we mnie to przekonanie, kojarzące się z rozmową o portrecie.

Wielu moich kolegów wyniosło z domu podobne doświadczenia. A w szkole — historii przecież też nas nie nauczono, gorzej, zrobiono coś z nami takiego, że już nie możemy się jej nauczyć. Może dlatego wydawało nam się, że wszystko jest po raz pierwszy, że stare i zgniłe odpada, a teraz buduje się nowe, inne i świeże. Może stąd wziął się nasz intensywny i chyba w młodości zupełnie barrefleksyjny stosunek do życia? Owszem, wiele rozmyślaliśmy nad charakterami, zdarzeniami i przypadkościami, ale wcale nie nad logiką tego wszystkiego, chyba że w sensie marksistowskim. O, to tak. Nie było refleksji nad powiązaniem naszych losów z losami ogółu, nad związkami z tradycją. Wydawało nam się, że jesteśmy zupełnie wyjątkowi, nie jako poszczególne osoby, ale jako etap w historii. Myśmy jako pokolenie tak byli zachwyceni, z jednocześnie naiwni, że nabraliśmy też przekonania, iż jedno życie to za mało. Każdy z nas istotnie przeżył ich już kilka: poczynając od wydarzeń politycznych, a kończąc na życiu osobistym. Znam ludzi, którzy emigrowali i wracali, zakładali sutannę, zrzucali ją i znów zakładali, żenili się, kochali, rozwodzili, znówu pobierali. I to nie z powodu niepewności, niemożności zdecydowania się na coś. Nie, to z zachłanności, z obawy, że coś nas ominie. Moi rówieśnicy rozwiedli się prawie wszyscy, nie znam już prawie małżeństw, które przetrwałyby więcej niż osiem-dziesiąt lat. I oczywiście następowało to przykre zderzenie ze światem, kiedy okazywało się, że pewne rzeczy są na jeden raz, że tylko raz się traci cnotą, bo raz się jest dziewicą. Ze jak się opowiesz po tamtej stronie, to już nie będziesz kłosa, kto był zawsze po tej — znany dramat tych wszystkich, co "zrozumieli", "zawrócili". I jeżeli nawet udało się im to zrobić bez wyrządzenia innym krzywdy, nigdy nie będą już tymi, co od początku wiedzieli, tylko tymi, co się przekonali.

Więc zależało nam bardzo na prawdzie. Tak bardzo, że słuchaliśmy uważnie i bezlitośnie obu stron. Pamiętam dyskusje o wojnie w Wietnamie — powtarzaliśmy wtedy jeszcze historyjki z naszej prasy, potępialiśmy Amerykanów. A co na to potrafili nam odpowiedzieć starsi? Ze Rosjanie to... to czy tamto. Potyczki na krzywdy i zasługi. To nie była dobra droga.

Myślę, że dzięki temu właśnie uczyliśmy się złożoności widzenia rozmaitych spraw i braliśmy to, co dobre z jednej i z drugiej strony, nawet jeżeli nie wszystko było nam mówione w dobrej wierze, jak na przykład komunistyczne slogany o równości wszystkich ludzi, ich prawie do życia, spokoju, prawdy.

Czy czuliśmy się wyobcowani? Chyba nie. Chociaż to było wyjątkowo modne w naszych czasach określenie. Na pewno czuliśmy się wszyscy samotni, wielu pisało na ten temat wiersze, książki, sztuki teatralne, ciągle o tym rozmawialiśmy. Tyle było tego mówienia o samotności i opuszczeniu, że w końcu zaczęłam dochodzić do wniosku, że to poczucie nie jest związane z rzeczywistością, bo zwieramy się z niego tylu ludziom, że już to samo przeczy, abyśmy byli aż tak samotni. Ale jakoś to wisiało wtedy w powietrzu — wielkie przyjęcia, tłumy siedzących po kątach, w oparach papierosów i wódki, przy dźwiękach muzyki Beatlesów — opowiadające o tym, jak bardzo ludzie są sami i jak tęsknią do wspólnoty.

Myślę, że przyczyniała się do tego sprawa emigrantów. Nasi wyjeżdżali w kilku rzutach. Po 1968, w latach siedemdziesiątych, kiedy w ogóle łatwo było wyjechać, po 1981, teraz. Dworzec Gdański pozabierał nam masę przyjaciół. Kupowali sobie ciepłe kożuchy, które rzadko im się potem przydały, leczyli zęby — kiedy jeszcze można tu było je wyleczyć — pakowali się i juchali z Dworca Gdańskiego do Berlina, Wiednia, do Izraela, Szwecji, Francji, Danii, potem do Kanady i Australii, do Stanów. Są na świecie miasta, w których mam więcej długoletnich znajomych niż w Warszawie. Oczywiście, nasze więzi słabną, niektórzy gdzieś się podziwili, niektórzy poginęli w wypadkach, większość znikła z

oczu. Pozostali — powariowani, pokręceni, tam nie przystosowani, tu już wykorzeni, czasem porobili duże kariery. Wszyscy zaczynali od zmywania garów w knajpach i nikt już tego od dawna nie robi. Jak się do nich przyjeżdża, namawiają żeby zostać, ale jak im powiedzieć, że się zostaje — kiedys, ot dla żartu tak zrobiłam — wpadają w przerażenie i starają się ze wszystkich sił odwieść od takiego pomysłu.

Powoli, powoli, traciło się z emigrantami kontakt psychiczny. I to na tle jakichś drobnych spraw — że nie pamiętali, iż w Polsce nie ma bananów, że mamy bez przerwy problemy finansowe, że wlecznie nam brak elementarnych rzeczy. Drażniło ich nasze nieustanne: zobaczyć wszystko, zrobić co się da, kupić na zaś, bo drugi raz może nie być okazji, bo nie dadzą paszportu, bo się coś zmieni. Ale kiedy zaczęła się "Solidarność", a potem stan wojenny, biegli pomagać nam, popierać, sterowali wysyłką paczek, podtrzymywali przez polskojęzyczne radiostacje. I kiedy się spotykamy — natychmiast ta głęboka nuta porozumienia — my jesteśmy z jednego gniazda, z jednego ziarna zasiani, choć gdzie indziej wyrosli.

Kiedy wyjeżdżam na Zachód i znajduję wdzięcznego słuchacza, gadam, gadam, opowiadam o moim życiu, o sposobach poruszania się w tej dżungli komunistycznej, o moim codziennym polowaniu, o tym, co mi grozi i od czego nie ma wytchnienia w najciemniejszej kryjówce. O tym polskim życiu, życiu w komunizmie, które polega na tym, że trzeba, jak w "Allegri w krainie czarów", biec ze wszystkich sił, aby zostać w tym samym miejscu, albo tylko trochę się obsuwać. Gadam i jednak dzielę tam ludzi na tych, którzy jeszcze coś rozumieją i na tych, co nie rozumieją już nic. Oni mogą iść już sobie zwykłym krokiem, bo ich wybór, to był wybór życia, w którym nie trzeba gnać. Ja tutaj muszę ciągle biec do utraty tchu, jeżeli chcę codziennie zjeść, dojechać i wrócić z pracy, dostać papier toaletowy, owoce dla dziecka, kupić jakies odzieni, naprawić w domu to, co zepsute. Tego biegu nie można przerwać ani na chwilę, bo się upadnie i zostanie przez ten ustrój stratowanym. On zmusza do nieustannej ucieczki przed swoim straszonym, trupim obliczem.

"Solidarność" to był ten moment, kiedy na chwilę przestałam biec, kiedy chciałam zrobić ostatni wysiłek, żeby móc iść normalnym krokiem. Nie musiałam wtedy ani jeść, ani czegokolwiek kupować — delegowało się kogoś, kto kupował ciastka i tak przeżywało się dzień po dniu, przygotowując to lepsze życie, o którym i tak wiedziałam, że nigdy nie nastąpi. Ale troszeczkę, troszkę miałam nadziei: może zdąży się zrobić tyle, że potem — po czym właściwie? — coś jednak zostanie. Żeby było życie jak w normalnym świecie, w świecie, który nie jest jak nasz — szwankującym łagrem, gdzie to, co dla człowieka, dla jego zdrowia, przyjemności, za jego własną forszę wreszcie — nie będzie stratą dla państwa. Bo przecież mnie wychowali w poczuciu winy, że to, co jem, w co się ubieram i to, czego z siebie nie wypruwam, to strata dla naszej ojczyzny.

Lata siedemdziesiąte to dla mnie były trochę lata błakania się, trudno było zaczepić się o jakąś pracę, wszędzie witały ironiczne uśmiechy, pytania o protekcję, lęk, że się odbierze pozycję. Moi powyrzucani koledzy pokończyli inne studia i spóźnione magisteria, już teraz — do czasu — cisi i potulni, chcieli nadrobić te szalone lata sześćdziesiąte. Powoli, powoli, poprzez rok 1976 i późnego Gierka, płynęliśmy ku "Solidarności".

Zadał Pan to pytanie prawie tak samo, jak doktor-ubek u mnie w pracy, kiedy wezwano mnie w styczniu 1982 na rozmowę weryfikacyjną, a raczej przed-weryfikacyjną, bo właściwa weryfikacja odbyła się nieco później, kiedy ja miałam już zakaz wstępu na uczelnię. On nie zapytał, czy byłam w KOR-ze, tylko — od jak dawna tam byłam. Muszę przyznać, że mało co mnie w owych tygodniach tak rozśmieszyło jak to pytanie. Nie, nie byłam oczywiście, przecież członkowie KOR-u byli jawni, co nie znaczy, że nie sympatyzowałam. Trochę też czasem pomagałam, jeszcze na początku jego istnienia, ale nie była to żadna współpraca, a raczej coś w rodzaju drobnych uprzejmości. To mi wystarczało, im widocznie również.

A więc, jak powiedziałam, lata siedemdziesiąte były to trochę lata błakania się. Jakoś nic nie było prawdziwe, nie mogłam się nigdzie zakorzenić. Pracowałam w jakichś pseudonaukowych instytutach, na uczelni, wykładając pseudonaukę, wciągnęłam jednak chciałam zostać dziennikarzem, chciałam pisać, angażować swój zmysł społeczny. Nie, nie miałam złudzeń co do politycznego oblicza prasy, radia czy telewizji. Miałam jednak nadzieję, że znajdę tam miejsce dla własnych — całkowicie, jak się zdawało, apolitycznych —

zainteresowań. Ale ciągle nie mogłam się tam zatrudnić na stałe. Jeszcze za Gomułki nie dostałam się na studia dziennikarskie. W radu przez osiem lat byłam pierwszą w kolejce do etatu, którego się nigdy — i nie ja jedna — nie doczekałam.

Dopiero w czasach "Solidarności" i później, po przeczytaniu niezależnie wydanych książek opisujących ówczesną sytuację w środowisku dziennikarskim, zrozumiałam, jak bardzo wszystko tam było zależne od ubecji. A tacy jak ja, jak my, po sześćdziesiątym ósmym roku byliśmy niepewni, zostały gdzieś w ubeckich archiwach nasze podpiły pod niezliczonymi rezolucjami i protestami. Szybko choć boleśnie uczyłam się, że tu, w Polsce, coś umieć i chcieć — to nie wystarcza. Tu trzeba mieć całkiem inne kwalifikacje.

Gdy przyszła "Solidarność", okazało się, że można było robić to, co się chce naprawdę, że można stać się tym, kim się jest. Wiedzielo się, że dobre jest to, co dobre, zgodnie z własnymi pojęciami na ten temat, podobnie jak to, co sprawiedliwe i słuszne, i można było o to walczyć, przedstawiać swoje racje. Nikt nie mógł już narzucać swojego punktu widzenia, co najwyżej przedstawiać go i przekonywać. I można było tego nie przyjąć. Przeszła rządzić fałszywa dialektyka, że najlepiej jest wtedy, kiedy ludziom jest gorzej, żeby im kiedyś było lepiej.

Czułam, robiąc moje powstałe wówczas pismo, że robię nie tylko to, co chcę i lubię, ale że jest to potrzebne innym i pożyteczne dla całego środowiska, ba, dla całego kraju. Czułam, że moja praca służy czemuś prawdziwemu, a nie tylko zaspokojeniu moich potrzeb i odfajkowaniu wykonania jakiegoś planu. I pracowałam zgodnie z moim sumieniem i wiedzą, wkładając w to wszystkie moje umiejętności. Kiedy dzisiaj oglądam kilkanaście wydanych przeze mnie numerów pisma, trudno mi uwierzyć, że dokonaliśmy z przyjaciółmi takiego dzieła.

Wszędzie w "Solidarności" spotykałam takich jak ja, przeważnie moich rówieśników, choć oczywiście było bardzo wielu ludzi w najróżniejszych wiekach, bardzo młodych i zupełnie słabych, dla których — jak twierdzili — był to ostatni zryw...

Spotykałam moich przyjaciół i znajomych, tych nawet najbardziej przelotnych i przypadkowych, na wszystkich szczeblach "Solidarności", w komisjach zakładowych, w agencjach prasowych, na dyżurach prawniczych u robotników, jako członków różnych ciał doradczych. Z wieloma spotykaliśmy się po raz pierwszy od wielu, wielu lat, od razu rozumieliśmy się i cieszyliśmy się wzajemnie swoją obecnością, mieliśmy od razu do siebie zaufanie. Niektórzy zarzucali nam, że stanowimy "sitwę". Śmieszne określenie. Po prostu wiedziałam, że jeżeli trafiam na dyżurze na człowieka, którego bito przy mnie na dziedzińcu uniwersyteckim w Marcu, mogę mu ufać, nie muszę wiele tłumaczyć i wiem, że zrobi na pewno to, o co go poproszę. I on wiedział to samo o mnie. W tym sensie byliśmy sitwą.

Przyjemnie było wszędzie spotykać tylu ludzi, do których można mieć zaufanie. Zdawało się wtedy, że odwrócił się bieg przegranego losu. Mieliśmy pierwszą prawdziwą, demokratycznie wybraną reprezentację. Mieliśmy swoje państwo w państwie, w którym, co prawda, przymusowi współlokatorzy przeszkadzali nam jak mogli, ale gdzie naprawdę rządzyliśmy się sami. Marzyliśmy o jednym — niech sobie będą (niektórzy chcieli nawet dać im po wili i samochodzie), byle tylko się do nas nie wtracali, byle dali nam żyć tak, jak chcemy. Byle w ogóle dali nam żyć prawdziwym życiem.

Trzynastego grudnia przed ósmą rano mój mały synek usłyszał pukanie i otworzył drzwi. Wpadło ich dwóch. Ślaniał się na nogach, jeden nawet padł z wyczerpania na krzesło. Gdybym chciała, bez trudu stawiałabym tak zwany czynny opór. Nie wierzyłam, kiedy oznajmili mi, że jest stan wojenny. Włączyłam radio, usłyszałam słowa Jaruzelskiego i dźwięki hymnu. Od tej pory Mazurek Dąbrowskiego wywołuje u mnie lekkie mdłości. Chwilę nie rozumiałam, czego chcą właściwie. Internowanie? To był jakiś termin z drugiej wojny światowej, dotyczący łodzi podwodnych, oficerów, całkiem innych ludzi i innych sytuacji. Podsuwali kwitek: że zaprzestaną działalności szkodliwej dla państwa polskiego. "Proszę pani — powiedział starszy — Wałęsa internowany, pani znajomi też. Region Mazowsze nie istnieje." Rzuciłam się do telefonu — nie działał. Ostupałam — włączyć już? Naprawdę wszystko już się skończyło? Przecież nie wszystko jeszcze zrobiliśmy, nie wszystko poszło tak, jak trzeba, Boże, daj nam jeszcze poprobować! Bóg milczał pełen troski, jak zawsze, gdy w grę wchodzi wolna wola złego człowieka.

Mój synek zrozumiał, że chcą mu zabrać mamę, darł się jak opętany. Chciałam kalkulować — nie kalkulowałam. Chciałam obliczać szanse — nie obliczałam. Patrzyłam na mojego synka i myślałam: czy dać mu przykład, jak się powinno postępować, żeby pamiętać, że jego matka nie ugięła się przed przemocą? Czy raczej spełnić ich śmieszne żądanie i zostać z małym? Jego rozpaczliwy krzyk utwierdził mnie w decyzji, która właściwie nawet nie była decyzją. Wytargowałam drobne zmiany w tekście lojalki i podpisałam ją. (...)

Wszystko się skończyło. Są tacy, co się czują wciąż wolni, ja nie. Przeszła "Solidarność", ale została świadomość, co robić, jak postępować. Czasem wydaje mi się, że perspektywy nie są najlepsze, ale czy mam rezygnować! Jak powiedział Santayana: trudne to jest to, co można mieć zaraz, niemożliwe — to, na co trzeba trochę dłużej czekać. Czasem jest bardzo trudno, czekam przecież już tak długo! Ale trzeba żyć i coś robić, niezależnie od tego, czy świat przetrwa trzy tygodnie. Trzeba tak żyć, bo a nuż jednak przetrwa? A nuż się jednak doczekam? Nie zrobiłam w porę tylu rzeczy, bo byłam pewna, że niedługo już koniec wszystkiego! Od czasu śmierci księdza Popiełuszki wiem, że powinnam zrobić tyle, ile się da, tak prędko, jak się da. To moja, nasza, powinność, za Jego śmierć i za to, żeby inni nie musieli umierać. Albo — żeby wiedzieli, za co umierają.

To bardzo górnołotne słowa... — Pan się uśmiecha. Nie, myślę, że nasze pokolenie tyle się naczytało o bohaterach na barykadach i tyle razy przeżyło cudzą śmierć, że nie ma wśród nas amatorów poświęcania życia. O, nie. Może dlatego "Solidarność" miała tak mało ofiar. Bo przecież n a p r a w d ę — wiem, wielu się oburzy — mało kto miał ochotę oddawać życie. To odebrałoby szansę prowadzenia dalej tej gry. A my — ja i ci z mojego pokolenia — nigdy nie lubiliśmy, żeby coś było niedwołałnie i ostatecznie. Tym się pewnie różni ten nasz patriotyzm wobec "Solidarności" od patriotyzmu naszych walczących o Polskę ojców.(...)

Przygotował do druku Marek Szerszeń

Musiałam to wybrać

Niewątpliwie jestem radzieckiego chowu. Moji rodzice, przedwojenni ideowi komuniści, podczas okupacji znaleźli się w ZSRR; dalej tak się złożyło, że przez parę lat chodziłam do radzieckiej szkoły. Odkąd pamiętam, byłam zanurzona w ideologię, której hasła brzmiały bardzo szlachetnie i pięknie: że w życiu trzeba się angażować w sprawy społeczne, że ciągle trzeba coś robić – a to dla dobra kolektywu, a to ludzkości, protestować, kiedy się dzieje coś złego, stawać po stronie słabszych i krzywdzonych. Wiarą w sens zaangażowania mam stamtąd. Później, już w Polsce, bardzo długo byłam w harcerstwie i ono mnie kształtowało podobnie.

W 1968 roku byłam studentką trzeciego roku Wydziału Historycznego. Na Uniwersytecie Warszawskim – jeszcze z popaździernikowego rozpedu – kwitło życie intelektualne, toczyły się dyskusje polityczne w jakichś klubach, na zebraniach. Prawie tam nie bywałam, ale atmosferę rozpolitykowania czułam wyraźnie.

Chodziło się wtedy na wykłady profesora Kołakowskiego, który od czasu słynnego spotkania ze studentami w dziesięciolecie Października był symbolem moralnej niezgody, odwagi, demokratycznych dążeń. Niezbyt świadomie, raczej podążając za modą, też biegałam na te wykłady – normalne, kursowe, dla Pilożoffi – bardzo trudne, ale i bardzo piękne. Słuchało ich mnóstwo studentów z innych wydziałów, sala zawsze była zapchana. Tych samych ludzi spotykałam potem w STS-ie, gdzie też przetrwały resztki ducha Października, albo kiedy usiłowali wejść na warszawski występ Pivnicy pod Baranami. To środowisko, najbardziej ekskluzywne kulturalnie i intelektualnie, było też od paru lat najbardziej rozpolitykowaną grupą w mieście. I najbardziej atrakcyjną na Uniwersytecie – aspirowało się do nich, a wybory towarzyskie równały się wtedy wyborem ideowym.

W 1968 roku miałam dwadzieścia lat i w moim życiu ważny był przede wszystkim wątek "romansowy". Od jesieni chodziłam z pewnym młodym człowiekiem, który należał do grona ścisłych – ze tak powiem – "komandosów". Tę nazwę, która nawiązywała do izraelskich komandosów z wojny sześciodniowej, wymyśliła propaganda na określenie ludzi, którzy – nie wiem, jakie słowo byłoby tu trafne – spowodowali czy też sprowokowali wydarzenia marcowe. Chodziło, jak myślę, z jednej strony o zasugerowanie, że to znowu ci Żydzi, z drugiej – o wywołanie skojarzeń z desantami, dywersją, akcjami terrorystycznymi.

Ten "komandos" zabierał mnie ze sobą do różnych ludzi, z którymi się przyjaźnił, a których nazwiskami później wycierała sobie gębę cała prasa. Mój stopień świadomości politycznej był bliski zera, a oni tworzyli dość hermetyczne środowisko, mieli swój krąg tematów, po których poruszali się niezwykle swobodnie. Byli niesłychanie inteligentni, pełni erudycji, filozofów cytowali na wrywki. Mnie nazwiska Althussera czy Arona nie mówiły absolutnie nic i nawet Miłosz niespecjalnie się z czymś kojarzył. Nie należałam do wziętych i miałam straszne kompleksy, że jestem taka głupia. Pamiętam, jak mozolnie, ze "Słownikiem wyrazów obcych", przedzierałam się przez "Kulturę i fetysze" Kołakowskiego.

To co zdarzyło się 8 marca nie zaskoczyło mnie. Po zdjęciu "Dziadów" i kolegach dla tych, którzy po ostatnim przedstawieniu zrobili coś na kształt demonstracji, po burzliwym zebraniu Warszawskiego Oddziału Związku Literatów – spodziewaliśmy się, że iada moment nastąpi coś ważnego. Trochę z poczuciem, że to zabawa, brałam udział w uniwersyteckich zbiórkach pieniędzy na grzywny. Wypisywaliśmy pokwitowania na bloczkach "kasa przyjmie", szyły bardzo szybko – musiało być naprawdę dużo wpłat.

Zdaje mi się, że na krótko przez Marcem zaczęła się moda na noszenie czapek

Tekst przygotowany na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Warszawa, 1987). Barbara Dąbrowska to pseudonim osoby mieszkającej w Warszawie. Pierwodruk – KARTA nr 5.

studenckich. Uniwersyteckie były białe, a jeden z przywaciarzy, który je robił, nazywał się Modzelewski, więc bardzo szykownie było mieć czapkę z taką metką.

W gronie "komandosów" były jakieś próby oceniania nastrojów, zastanawiano się co robić, ale potrafię odtworzyć tylko jedną taką rozmowę. Już było postanowione, że będzie wlec — wiadomość rozchodziła się pocztą pantoflową i przez ulotki. Zapytałam wtedy, co się będzie działo. Usłyszałam w odpowiedzi: przeczytamy rezolucję, potem wkroczy milicja i dalej już oni będą określać scenariusz. Nie rozumiałam wtedy, skąd ta pewność, a pytać się wstydziłam.

U mnie w katedrze wezwanie na wiec 8 marca wisiało na normalnej tablicy ogłoszeń obok artykułu 83 Konstytucji o wolności słowa, druku i manifestacji. Ulotki były w maszynopiśmie, na przebitce — do ery powielaczy było jeszcze bardzo daleko.

Na Uniwersytecie hucztało, ludzie dyskutowali, zbierali wciąż pieniądze na grzywny, podpisy pod rezolucjami. Dość powszechne było wśród studentów przekonanie, że rządząca ekipa czegoś ważnego nie rozumie i że trzeba jej to spokojnie tłumaczyć. Wyraźnie podgrzało nastroje bezprawne skreślenie z listy studentów Michnika i Szlajfera — zrobił to minister Jabłoński, chociaż według ówczesnych przepisów takie sprawy były w gestii rektora.

Ważną nauzką było dla mnie otwarte zebranie uniwersyteckiej organizacji partyjnej, zwołane 6 marca. Normalnie na takie imprezy nikt nie chodził, ale wtedy Audytorium Maximum było wypełnione po brzegi. Spodziewałam się, że cięto profesorskie poprze stanowisko studentów w sprawie "Działów" i dwóch wyrzuconych i że to przekona władze. I chyba rzeczywiście były jakieś głosy pracowników naukowych na ten temat, ale ich nie pamiętam. Za to pamiętam, jak po dramatycznym wystąpieniu jednego z "komandosów" — Olka Perskiego o pogwałceniu zasad demokracji i samorządności uczelni — wstała jakaś panienka z geologii czy biologii i zaczęła białolić, że w salach wykładowych brakuje krzesel, a stołówka nie wydaje posiłków dietetycznych. Głos Olka został bez żadnej odpowiedzi czy repliki, jakby go wcale nie było. Miałam poczucie kompletnego surrealizmu tej sytuacji.

8 marca przed południem miałam seminarium. Zgłosiliśmy naszej pani profesor, że chcemy iść na wlec, zwolniła nas odpowiednio wcześniej i ruszyliśmy całą grupą. Z różnych stron na Krakowskie Przedmieście schodziły się takie grupki, sporo dziewczyn miało kwiaty, które dostały na Dzień Kobiet. Teren między Pałacem Kazimierzowskim a Biblioteką Uniwersytecką szybko się zapełniał. To było moje pierwsze doświadczenie z poruszeniem społecznym na dużą skalę — w Październiku byłam za mała. Wielkie wrażenie zrobiło na mnie to, że jest mnóstwo ludzi, którzy podobnie myślą i są gotowi ponieść jakieś ryzyko.

Zaczęliśmy wołać "rektor, rektor". Ktoś krzyknął: "Studenci siadać, zdjąć czapki" i okazało się, że na obrzeżach placyku sterczą starsi od nas faceci w kapeluszach: byliśmy otoczeni wianuszkami tajniaków. Rezolucję kończyło hasło: "Nie ma chleba bez wolności" — skandowaliśmy je siedząc w kucki. Rektor Turski wyjechał za granicę, więc pokazał się prorektor Rybicki i kazał się rozejść. Jak przez mgłę pamiętam stojące między budynkami autobusy z aktywnym robotniczym i studentów próbujących rozmawiać z "gośćmi". Potem mówiło się, że to byli ubecy, ale przynajmniej część rzeczywiście musiała być ścignięta z fabryk, bo mąż mojej znajomej pracował w Ursusie i dostał polecenie, żeby jechać na Uniwersytet.

Wszystko to razem trwało może trzy kwadranse, może godzinę, wreszcie ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Mnie w tym momencie zdarzyła się prawdziwie filmowa scena. Wychodziłam zza Biblioteki, przed sobą miałam bramę Uniwersytetu. Było pusto, bo większość studentów stała jeszcze z tyłu, przy rektoracie. Nagle brama otworzyła się i zobaczyłam — jakby najazd kamerą — że wchodzą. Szeregami, w hełmach, z pałami wchodzą gołędziniacy. Zatkano mnie, przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że to czasy okupacji. Myślę, że wtedy załamała się moja ufna wiara, że "socjalizm jest dobry".

Gołędziniacy rozbiegli się. Jeden z nich zdzielił mnie ze dwa razy i tyle mojego. Innych poturbowali solidnie. Kolega, którego od dzieciństwa uczono, że jak coś złego — to do milicjanta, podszedł do jednego i tak dostał po głowie, że osunął się nieprzytomny. Na szczęście było zimno, miał na sobie kozuch i grubą czapkę. Tych, którzy jeszcze zostali

przed Pałacem Kazimierzowskim, gołędziniacy spychali do tyłu, na skarpe. Ja wyszłam w przeciwną stronę, za bramę, na Krakowskie.

Po południu ludzie schodzili się u przyjaciół, opowiadali, zastanawiali się co dalej. Następnego dnia miał być wiec na Politechnice. Dobrze nie pamiętam, jak i dlaczego, ale też poszłam pod główną bramę. Poranne dzienniki donosiły, że poprzedniego dnia na Uniwersytecie były chuligańskie wybryki. Pierwszy raz w życiu widziałam na papierze tak bezczelne igrasztwo. Z górnych pięter liceum obok Politechniki leciały podarte gazety. Pojawiło się hasło "Prasa kłamie" i coś w rodzaju ogniska z gazet na chodniku. Spod Politechniki ruszyliśmy sporym pochodem Polną w kierunku Placu Unii do redakcji "Życia Warszawy". Chyba po to, żeby tam pod oknami wykrzyknąć cały ten szok, jaki wywołały gazetowe brednie o zdarzeniach, w których wczoraj sami braliśmy udział. Ludzie na ulicy przystawali, płakali, rzucali kwiaty, których jeszcze dużo mieli po Dniu Kobiet, jakiś staruszek wznosił narodowe hasła. Pierwszy raz widziałam takie poparcie ulicy — to było bardzo wzruszające i podniosłe. Na wysokości połowy Polnej pojawił się milicyjny kordon. Zaczęli rzucać gaz łzawiący, biegać za rozpierzchniętymi się grupami. Tę, w której się znalazłam, gonili gdzieś do kina "Luna". Tuż obok mieszkała nasza koleżanka, schowaliśmy się u niej i okropnie długo płakaliśmy od tego gazu. Usiłuję sobie przypomnieć, co wtedy czułam: nic, jak to bywa w szoku. Opowiadaliśmy o tym, co kto widział i słyszał przed chwilą, bardzo szczegółowo. Chyba już wtedy była mowa o tym, że coś zaczyna się dziać w innych miastach.

W poniedziałek miały się odbyć wiece wydziałowe i ogólnouniwersytecki w Auditorium Maximum. Poprzedniego dnia u ciotki jednego chłopaka — bo miejsce nieznanie policji — przepisywaliśmy na maszynie projekt rezolucji na ten duży wiec. Wtedy pierwszy raz zetknęłam się z czymś takim, jak "czyste" mieszkanie, niezostawianie odcisków palców — prawie z konspiracją. Ciągłe miałam poczucie, że to zabawa, ale już byli pierwsi aresztowani, byli pobici. Perspektywa znalezienia się w Pałacu Mostowskich czy w więzieniu była coraz bardziej realna.

W poniedziałek rano nie mogłam usiedzieć w domu. Nasz wiec wydziałowy miał być później, więc poszłam do matematyków, do Pałacu Kultury. W auli było paręset osób, już pisali postulaty, w prezydium siedzieli profesorowie. Wyraźne było zrozumienie, jeśli nie poparcie pracowników naukowych dla studentów. Przeważał taki ton, żeby przemawiać do władz spokojnie, żeby nie drażnić. Punktem spornym, jak pamiętam, był postulat natchmiastowego uwolnienia Kuronia i Modzelewskiego — chyba nie przeszedł w głosowaniu. Mnie się w każdym razie wydawał nierozumnie radykalny. Jak na większość wydziałów, wybrany został komitet studencki. U matematyków jako jedynych na Uniwersytecie wszedł do niego również przedstawiciel kadry — Janusz Onyszkiewicz, wówczas bodaj młodszy asystent.

Krakowskim Przedmieściem jeździły tam i z powrotem armatki wodne, było mnóstwo milicji. Pewnie z tego powodu na Wydziale Filozofii, dokąd poszłam od matematyków, była bardzo napięta atmosfera. W całym gmachu było pełno ludzi, najgęściej w korytarzach i na schodach, wszyscy chodzili niespokojnie z miejsca na miejsce, gadali. Pracownicy starali się wyciszać studentów, bali się, że milicja może zacząć strzelać, że będą ofiary. Przestrzegali, żeby nie wychodzić z budynku, a już zwłaszcza nie latać na Uniwersytet. Filozofia, mieszcząca się obok kościoła św. Krzyża, była niejako wystawiona na ulicę i oddzielona od reszty — co mogło nastrajać katastroficznie.

Na samym Uniwersytecie było o wiele spokojniej. Poszłam tam w końcu, chciałam być na wiecu swojego wydziału. Toczył się rozsądnie, bez wielkich emocji. Dziekanem był wtedy Henryk Samsonowicz, którego studenci bardzo lubili i uważali za duży autorytet. Robił wrażenie, że gotów jest podjąć się mediacji czy reprezentowania studentów wobec władz. Na pewno to jego postawa wpłynęła na uspokojenie nastrojów.

Na wiecu całego Uniwersytetu w Auditorium Maximum została przyjęta rezolucja mówiąca o demokracji i swobodach obywatelskich — powinnam ten tekst znać na pamięć, bo przecież parę razy przepisałam go w przeddzień na maszynie, ale nic mi się nie utrwaliło. Na którymś z wieców obejrzałam sobie też jedyną próbę "kontrofensywy ideologicznej" w wykonaniu małej grupki zetemesowskiej, utopionej w morzu zrewoltowanych studentów. "Jakiej wy chcecie demokracji — deklamowała jakaś dziewczyna — czy takiej, która w 1963 roku zamordowała prezydenta Kennedy'ego?" Właściwie trzeba by mieć dla niej szacunek, bo poza tym jednym piskiem nie było innych prób polemiki, tylko argumenty siłowe i chamstwo propagandy.

Długo nie było mnie w domu i ojciec postanowił wyruszyć na Uniwersytet, by mnie odszukać. Wieczorem opowiadał, jak z innym przypadkowo spotkanym rodzicem przechodził przez dziurę w płocie Ministerstwa Finansów, żeby się dostać na obstawione Krakowskie. Udało się — mój przeszło sześćdziesięcioletni tata wyglądał, kiedy o tym mówił, jak chłopiec, który zakradł się do sadu sąsiada. A potem zrobił surową minę i kazał w nic się nie mieszać.

Zabawny zbieg okoliczności: właśnie w poniedziałek wieczorem zabrałam się do czytania "Roku 1984" Orwella, pozyczonego parę dni wcześniej. Dzięki temu miałam niezły model do interpretowania nadchodzących zdarzeń. Skojarzenia były oczywiste.

Właściwie od początku — może z powodu tych armatek wodnych, co jeździły po Krakowskim — byłam przekonana, że to się musi szybko skończyć. Wisiało wtedy nade mną coś klasycznie polskiego: że wygrać się i tak nie da, można tylko powalczyć o wartości. Przypomnieć sobie i innym, że one są ważne, trochę "postać przy nich na straży". Przy czym to wszystko nie na poziomie świadomości, a na poziomie odruchu moralnego.

W ogóle mam moralność raczej odruchową. Tyle tylko, że kierowanie się nią w sferze zatracającej o politykę natychmiast wyrzuca człowieka do innej kategorii. I wyrzuciło mnie — znalazłam się po "nieprawomyślnej" stronie. Choć wiedziałam, że to może być nieprzyjemne.

Pamiętam, jak ważna dla mnie była interpelacja posłów "Znaku", porozwieszana na Uniwersytecie we wszystkich możliwych miejscach. Czułam wtedy, że gdzieś — wcale nie tak daleko — jest jeszcze wielu innych ludzi, którzy myślą podobnie, chociaż należą do innej formacji ideowej, i że w końcu ta zbieżność będzie musiała się ujawnić. Byłam przekonana, że to nie koniec, że tylko etap.

Marzec to było moje pierwsze ważne doświadczenie z sensem oporu. Wtedy wszyscy śpiewaliśmy po polsku i po czesku piosenki Karela Kryla z Praskiej Wiosny. W jego "Pokoleniu" jest takie zdanie: "Nie, nie jesteśmy na kolanach, ryjemy mordą w ziemi". Od Marca stało się dla mnie oczywiste, że alternatywa jest właśnie taka.

I jeszcze jedna rzecz — związana z wątkiem obrachunkowym, postalinowskim. Wśród przyjaciół moich rodziców toczyły się rozmowy o tym, kto i kiedy dowiedział się o łagrach i wyrokach śmierci. To było dla mnie bardzo ważne: znaleźć dla siebie samej odpowiedź na pytanie, gdzie kończy się ślepotą, a zaczyna zbrodnią. Z Marca wiem, że jest taki moment, od którego nie wolno mi nie widzieć czy nie wiedzieć. Muszę wybrać to, co wybieram, bo nie mam innego wyjścia. To jest zresztą kraj, gdzie cała tradycja skłania do takiego wyboru. I nawet szukać tej tradycji specjalnie nie trzeba — ona wisi w powietrzu. Jak podczas stanu wojennego, kiedy pod bramą więzienia spotykały się kobiety z najróżniejszych środowisk, z najróżniejszym doświadczeniem życiowym i okazywało się, że są wewnętrznie przygotowane do tej odmiany losu, do stania pod więzieniem, noszenia paczek. I mają taką świadomość, że jak trzeba będzie na Sybir, to też pójdą za swoim zetańcem. Bez żadnych specjalnych wahań — jakby wskakiwały w dobrze znoszone buty.

19 marca siedzieliśmy przed telewizorem całą rodziną i słuchaliśmy — tak, żeby nie uronić ani słowa — jak Gomułka przemawia na partyjnym wiecu w Sali Kongresowej. Ostatecznie przypieczętował to, że nikt nie będzie słuchał studentów ani z nimi rozmawiał. Otworzył też jawnie antysemitką kampanię na wszystkich frontach.

W domu zaczęła się gehenna. Przyjaźniłam się wtedy z córką profesora Brusa, Helenką. Ojciec mówił, że mam przestać tam chodzić, ja odszczekiwałam, że przyjaźniłam się z nią, że zostawia. Dreptał małymi kroczkami po mieszkaniu i powtarzał: "Błagam was, wyjedźcie, jeśli mnie kochacie. Nie kaźcie mi umierać". Jak większość ludzi jego pokolenia reagował wyniesionym z czasów stalinowskich strachem, że jeśli tylko władza zwróci na nas swoje srogie oko i znajdziemy się wśród "podejrzanych", grozi nam wszystko co najgorsze — więzienie, tortury, śmierć.

Ojciec miał taką wizję: skoro jesteśmy Żydami, przez kilkadziesiąt lat nie będzie dla nas w tym kraju miejsca, nie skończymy studiów i nie będziemy mogli pracować, a w każdym razie nasze szanse życiowe będą znacznie mniejsze. Mnie znów się zdawało, że to

wszystko za parę miesięcy się skończy, pohuczy, pohuczy i przestanie. Skąd się brał ten optymizm — nie wiem, może stąd, że mnie osobiście nic antysemickiego nie dotknęło. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że nie chciałam mieć i nie miałam kompleksu przestraszonego Żyda.

Moją ciotkę wyrzucili wtedy z PWN-u. Tam było dużo Żydów — z książkami ten naród miał do czynienia od tysiącleci i świetnie sobie z tym radził — więc wygarniali falami. Ciotka opowiadała, że kiedy przed nią wyrzucali jej przyjaciela, nie była w stanie nawet wstrzymać się od głosu. Podniosła rękę "za" wiedząc, że pójdzie na następny ogień. Myślałam sobie, że jeśli przyjdzie mi znaleźć się w takiej sytuacji — będę kopać i gryźć. Miałam też poczucie, które towarzyszyło mi od dzieciństwa, a w Marcu bardzo się wzmocniło: że ta sieć, która zagarnia, jest nieszczelna. I kiedy będą — nie wiem co — pogromy, deportacje, rozwałki, to w tej sieci zawsze znajdę sobie trochę większe oko i jakoś się wydostanę. I jak nie będę przestraszona, to nie mogą mi nic zrobić.

Nie poszłam na strajk. Uważałam, że to już nie ma żadnego sensu, poza tym ojciec się denerwował i okazał się w końcu ważniejszy.

Któregoś dnia z gazet dowiedzieliśmy się, że wyrzucili z Uniwersytetu profesorów. To był potworny cios. Rozwiązali kilka wydziałów, a studentom kazali składać podania o ponowne przyjęcie. Niektórzy bali się i wypisywali żenujące rzeczy. Pamiętam jeden taki cytat: "Odcinam się od anarchistów, warchotów, syjonistów i personalnie od Sary Wasersztrum" — była taka dziewczyna, na trzecim roku psychologii.

Na matematyce, gdzie miałam masę przyjaciół i krewnych, pisano jakoś godnie: "Mam takie a takie wyniki studiów, proszę o przyjęcie". W ogóle nastrój był tam wyraźnie inny, o pozycji i karierze decydowały kryteria merytoryczne, a nie ideologiczne, więc chyba i studenci, i pracownicy naukowci czuli się bardziej niezależni. Niektórzy z nich zachowywali się naprawdę nadzwyczajnie. Znam dwóch chłopaków, którym przyspieszyli obrony prac magisterskich, bo zachodziła obawa, że ich wyrzucą ze studiów. Jeden próbował oponować, mówił, że pracę ma dopiero "w kartkach" — kazali mu przyjść na egzamin i z tymi kartkami zdał. O drugiego dopytywała się SB, panów udało się spławić, bo w danych personalnych coś się nie zgadzało. Zanim przyszedł znowu, było po obronie i chłopak poszedł siedzieć już jako magister.

A że mna było w tym czasie tak. Zawsze zakochuję się w facetach, których wsadzają do więzienia, więc i koniec Marca przeżyłam prawie w ogóle nie myśląc o tak zwanej sytuacji ogólnej, tylko o tym "komandosie", który siedział na Rakowieckiej.

Jeszcze w ogóle nie było wiadomo, co to jest ta Rakowiecka. Pamiętam, wciąż się zastanawialiśmy, czy tam biją, czy nie. Okropne było samo oddalenie i to, że każdy list idzie miesiąc, że jest pokreślony przez cenzurę, która była chyba bardziej staranna niż teraz i wykreślała bardzo dużo. Wtedy był taki zwyczaj — został do dzisiaj — że pierwszy list każdego aresztowanego jest publiczną własnością. Do wszystkich, którzy je dostawali, schodzili się ludzie i czytali te wieści z zaświetów, a potem opowiadali następnym osobom.

Mojego roku nie rozwiązała, zajęcia jakoś się toczyły. Pamiętam śmieszna pomarcowa korektę programu socjologii polityki: ze spisu lektur wyjęli klasyka rewizjonizmu Bernsteina, a włożyli Gomułkę.

Z okresu tuż po "wydarzeniach" została mi w pamięci wrzuszająca scena. Studiowałam równoległe socjologię, którą przeniesiono wtedy do innego budynku — brakowało pomieszczeń i był straszny bałagan. Chcieliśmy odwołać ćwiczenia z metodologii nauk z Jakubem Karpińskim, bo nie było sali. Ale Kuba powiedział: "Proszę państwa, miejmy jednak te zajęcia, może to już dla nas będą ostatnie". Usiedliśmy na korytarzu, zamiast tablicy była duża kartka, jakiś dziewczyna dała swoją szminkę, żeby Kuba mógł rysować jak lubił. I zaraz potem go aresztowali.

Jednych wsadzali, innych wypuszczali, ale atmosfera była taka, że raczej wsadzają niż wypuszczają. Dopiero w lipcu większość aresztowanych studentów wyszła na wolność. U każdego z nich zaraz zbierało się kilkadziesiąt osób, żeby usłyszeć, co się z nim działo, co z innymi. Teraz takie opowieści już się osłuchały i nie gromadza wielkiego audytorium, wtedy każdy szczegół był ważny. Przede wszystkim to, że nie biją. Ci co wracali byli trochę przygaszeni, bledsi, ale całkiem żywi.

Doświadczenie więzienia przestało być czymś wyjątkowym i dzięki temu zniknął stalinowski stereotyp, zgodnie z którym pójść siedzieć oznaczało niemal umrzeć. Otrzaskanie z reallami, pierwsze pomysły, żeby nie zeznawać, poczucie, że siedzieć to zaden dyshonor, wprost przeciwnie — wszystko to sprawiło, że coraz więcej ludzi zaczęło pozbywać się strachu. I ci, którzy siedzieli, i ci, którzy na nich czekali.

Marzec zbliżał ludzi. Tym, którzy chcieli, łatwo było znaleźć się blisko siebie. Szybko nawiązywały się przyjaźnie i kontakty. Poznałam na przykład podczas wakacji w 1968 roku Józka Sreniowskiego z Łodzi, bardzo szybko dogadaliśmy się co do Marca, przez całą noc opowiadaliśmy sobie wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. Ta przyjaźń trwa do dzisiaj, po drodze parę rzeczy robiliśmy wspólnie i w czasach korowskich, i za "Solidarność", i później. Marzec stworzył solidną siatkę więzi pomiędzy ludźmi — i to uważam za jego najważniejszy skutek. Taka siatka jest konieczna, żeby mogło się utkać coś bardziej trwałego.

Nie narzekam na brak przyjaciół — przeciwnie, mam dużo bliskich, serdecznych kontaktów z ludźmi. Ale kto mi zastąpi tamtych, którzy po Marcu wyjechali? Do dzisiaj mam po nich puste miejsca w sercu. Jest cała masa osób, z których stratą nie umiem się pogodzić, których nikt nie może zastąpić. Takich jak choćby Alk Smolar, który tu mieszkał, na naszej ulicy, którego bardzo kochałam i Kocham do dziś, chociaż już nigdy nie umiałam się z nim na dobre skontaktować. To był koszmar — codziennie czekaliśmy, kto jeszcze przyjdzie i powie: wyjeżdżam.

Po Marcu dookoła mnie zrobiła się pustynia. Odczuwałam to nawet w wymiarze terytorialnym — jako pustynię na Mokotowie. Do dzisiaj znacznie staranniej pielęgnuję kontakty z ludźmi, którzy blisko mieszkają, bo łączą mi tamte dziury, po marcowych emigrantach. Ale też uprzytamniają, że te dziury wciąż istnieją.

Nie mogłam wyjechać razem z nimi. Rozjechali się w różne strony świata, więc i tak nie udałoby się być blisko wszystkich. Nie chciałam wyjechać też i z powodu dziecinnych doświadczeń z życiem w obcym środowisku. Myślę, że stamtąd brały się moje wizje losu emigranta, nierealistyczne, ale wpływające na podejmowanie decyzji. Jedną z nich jest taka, że mam własne krzesło, stół, pokój, ale kiedy z niego wychodzę, wszystko jest obce i nie potrafię się w tym poruszać. Wyobrażałam sobie też, jak zamykałam podłogę i zmywam naczynia w barze — bo inaczej nie umiem się utrzymać; z moim humanistycznym zawodem tylko tutaj jestem dobrym fachowcem. Tutaj, w tym języku, co jest niezwykle istotnym argumentem za pozostaniem w Polsce.

Bo jedną z moich ulubionych zabaw jest zabawa słowami. Dla mnie ważne jest, co mogę wykreować ze słów — nie na piśmie, tylko w rozmowie, w kontakcie z ludźmi. Dla tych, wśród których żyłam, kunszt rozmowy, zabawa słowem były jednym ze źródeł życiowego zadowolenia. Zmienić język na inny? Być może po dziesięciu latach umiałabym robić z obcym językiem to, co z polskim, ale nawet gdyby — jak bym żyła przez te dziesięć lat?

Nie chciałam wyjechać z Polski, ponieważ wiedziałam, że nigdzie nie będzie mi tak swojo, jak tutaj.

Po Marcu straciłam zaufanie do różnych rzeczy. Do władzy — to oczywiste. Do wartości i sensu uniwersyteckiego wykształcenia. Przedtem to był niewzruszony pewnik, że człowiek powinien skończyć studia, a po Marcu wyszło na jaw, że Uniwersytet to sztuczny świat na pokaz, w którym nic się nie dzieje naprawdę. Dawniej marzyłam o karierze naukowej i jeszcze po studiach sporo w tym kierunku robiłam, miałam nawet skończone badania do doktoratu. Ale już nie to było ważne i mi się odechciało. Coraz bardziej stawało się jasne, że tu i tak prawdziwej nauki humanistycznej nie będzie. Wszystkie te akademickie problemy zaczęły mi przypominać zajmowanie się przepisami na kruche ciasteczka w sytuacji, kiedy w domu brakuje chleba.

Marzec zetknął mnie na dobre z taką sferą życia, od której już nie można się odciąć, jeśli człowiek raz zaczął być świadomy jej istnienia. Można to nazwać represjami z powodów politycznych albo zwyczajnie ludzką krzywdą. W stanie wojennym stało się to masowym doświadczeniem, zwłaszcza dla tych, którzy współdziałali z Komitetem Prymasowskim, a

wcześniej — w czasach KOR-u — dla jeżdżących do Radomia i Ursusa, do rodzin robotników, którzy śledzieli. Pamiętam, jak jesienią 1976 w ekspresie Kraków-Warszawa spotkałam Mirka Chojeckiego, wracającego z Radomia. Nawet na chwilę nie mógł przestać mówić, tak był wstrząśnięty tym, co tam zobaczył: że możliwa jest taka nędza i taka bezradność, że kiedy ojciec jest w więzieniu, dzieciom nie ma co dać jeść ani w co je ubrać.

Oczywiście, po Marcu odbywało się to w znacznie bardziej luksusowym wydaniu. Aresztowania miały być zgodne z tezą propagandy o "bananowych dzieciach" i "syjonistach", dlatego wsadzano najchętniej dzieci byłych prominentów, jeszcze lepiej, żeby do tego Żydów. Tak że to nie były te "robotnicze slumsy", tylko raczej — jeśli wolno się tak wyrazić — "mieszkania w Alei Róż". Ale krzywdą jest krzywda. Przekładając rzecz na konkrety, dla mnie to był na przykład ojciec Leona Sfarda, bodaj ostatni w tym kraju poeta piszący w języku jidysz. Stary i nieszczęśliwy, bo zabrali mu do więzienia — w ogóle nie rozumiał za co — ukochanego syna. A Leona wzięli dlatego, że pasowało im nazwisko. Albo matka Janka Grossa. Bardzo krucha pani, prawdziwa dama — choć uważała, że syn jest po właściwej stronie i że w takich momentach uczciwi ludzie idą do więzienia, nie wiedziała, za co się brać, w co ręce włożyć. I inne kobiety: rzeczowe, takie co to świetnie wiedza, kiedy się idzie do prokuratury, co najlepiej podać w paczce, gotowe pocieszać innych i udzielać bezcennych rad. A w środku — zrozpaczone.

To również była jedna z rzeczy, które mnie ustawiły po określonej stronie: nie chodził się ręką w rękę z tymi, którzy krzywdzą. Może dlatego, że jestem Żydówką, z łatwością identyfikuję się z "bitą mniejszością". Do tego dołożyło się też moje "radzieckie" wychowanie i harcerskie zasady. Choć z drugiej strony, z temperamentu jestem straszna legalistką: przechodzę przez ulicę na zielonym świetle, kasuję bilety, muszę gdzieś pracować etatowo, mieć ubezpieczenie. Tak że w ogóle mnie nie ciągnęło do opozycji. Ale od Marca nie było innego wyboru.

Nie było mi po Marcu dobrze, ale nie pamiętam też momentów rozpacz czy martwoty. Owszem, było sporo przygnębienia, kiedy ludzie powychodzili z więzień i okazało się, że nie mają szans na kończenie studiów czy sensowną pracę. Adam Michnik zaczął wtedy pracować w "Róży Luksemburg", Janek Lityński w "Polferze" jako szliflerz. Ale cały czas było wiadomo, że to przecież nie na całe życie. Skąd było wiadomo — nie wiem. Jednak to przekonanie okazało się słuszne: w jakiś czas potem powzywali ich i jeszcze parę osób z grona najbardziej "podpadniętych" do Komitetu Warszawskiego i pozwolili studiować zaocznie, tyle że w innych miastach.

Kiedy aresztowali "taterników" — za przemyt przez Czechosłowację paryskiej "Kultury" — zdarzyło mi się coś w rodzaju jasnowidzenia. Pomyślałam, że mnóstwo ludzi jeszcze wyemigruje, dużo będzie śledziło, ale ci, którzy nie będą ani w więzieniu, ani za granicą, zaczną coraz bardziej zbliżać się do siebie. I potem rzeczywiście widziałam, jak różne "niepokorne" grupki łączą się ze sobą, przenikają, wzbogacają środowiskowo i pokoleniowo. Okazało się też, że z osobami z najlepszych kręgów intelektualnych czy kulturalnych można się porozumieć poprzez Marzec. Od czasów pomarcowych mam takie — bardzo luksusowe — poczucie, że naprawdę niewiele dzieli mnie od tego, co w polskiej i światowej kulturze najwspanialsze. I że nie tylko na słynnych salonach literackich, ale i u mnie może pojawić się, Alain Ginsberg, Bułat Okudźzawa czy Kurt Vonnegut.

Sama nie byłam wychowywana ateistycznie, na wojującego bezbożnika. Wyrastałam raczej poza religią i do dziś stan moich stosunków z Panem Bogiem nie jest jasno określony. Katolicyzm, któremu po Marcu zaczęłam się przypatrywać głębiej, okazał się dla mnie, niewierzającej, bardzo atrakcyjny. I dzięki lekturom, i dzięki ludziom. Ci, których poznałam po Marcu i w jakimś sensie w wyniku Marca, a którzy swój katolicyzm uważali za najistotniejszy element samookreślenia, byli dobrzy i mądrzy, chcieli się powiedzieć — prawdziwi chrześcijanie.

Zaczęliśmy się regularnie spotykać z Bogdanem Cywińskim, Andrzejem Wielowieyskim, Krzysztofem Sliwińskim, ojcem Jackiem Sallem. Chodziłam na spotkania jako "osoba towarzysząca", żona jednego z "komandosów". W każdym razie okazało się, że jeśli ktoś z pomarcowej "komandoskiej" grupy — ludzi z komunistyczną przeszłością czy komunistycznym wychowaniem, w sporej części Żydów — dotknie katolika albo odwrotnie, to zaden z nich nie dostaje wrzodów ani nie pada rażony piorunem. Bariera psychologiczna przestała istnieć i myślę, że w ten sposób polska opozycja uniknęła najgorszego błędu dysydentów rosyjskich, którzy w latach siedemdziesiątych postanowili nie wiązać się z ruchami narodowymi ani religijnymi, skazując się na lata wyizolowania w inteligenckim getcie.

Przed Sierpniem nie chciałam wiązać się zbyt ściśle z żadną grupą czy firmą wydawniczą. Bardzo tego pilnowałam, bo wiedziałam, że jeśli zacznę coś robić, to zaangażuję się bardzo mocno i zrobi się z tego dla mnie najważniejsza rzecz na świecie. A nie chciałam stać się "zawodową rewolucjonistką", skoro mam porządny zawód, który lubię i uważam za ważny. Na pewno też zwyczajnie bałam się. Naprawdę nie nadaję się do rozrzucania ulotek, ani do malowania na murach, ani do demonstracji. Owszem, czasami pisałam jakieś matryce, poskładałam "Biuletyn Informacyjny" albo zrobiłam coś dla "Robotnika". A że w Sierpniu wessało mnie bardziej? Koledzy wciągnęli do związkowej prasy i to było właściwe miejsce — kiedy dzieje się coś ważnego, trzeba być blisko. Od Marca miałam poczucie, że żyję jednak trochę obok życia i kiedy nadarzyła się okazja, żeby wyjść z tej "głatwy", zrobiłam to. Może to nieracjonalne, ale w tym kraju jest zdaje się mało chętnych do racjonalności rozumianej konwencjonalnie.

Marzec wielu ludzi ustawił w takiej sytuacji, że musieli się opowiedzieć. To już historia, ale dla mnie ta marcowa cezura jest wciąż ważna. Nie chodzi o sentyment do przeżyć młodości — środowisko, w którym od lat żyję, zupełnie nie ma poczucia, że jest po kombatancu skazane na opozycyjność. Nie ma w tym żadnej kokleterii, kiedy moi przyjaciele mówią, że czekają, aż się to wszystko skończy i będzie można zająć się wyłącznie tym, co się naprawdę chce robić: zawodem, pisaniem, większą troską o dom. Jeżeli wciąż żyjemy "po drugiej stronie", to nie z bezsensownego przywiązania do oporu. Raczej z poczucia, że innego wyboru nie ma.

Rozmawiała i przygotowała do druku Ewa Zyllńska

przygotowywały się do jakiejś klasówki czy próbnej matury z nauki o Polsce i świecie współczesnym. Na głos przepytowały się z organów władzy ludowej — co sejm, co organy przedstawicielskie, co rząd. A milicjanci gapili się i nie wleźli: prowokacja to czy nie.

Wezwano mnie w końcu na przesłuchanie, officer wypełnił pracowicie papier z rubryczkami: miejsce urodzenia, imiona rodziców, narodowość... Odpowiedziałem "żydowska", ale nie zwróciłem na to specjalnie uwagi, wydawało mi się to czystą formalnością. Nagle zajął jakiś major i spytał przestuchującego kłaniając głową w moją stronę: "narodowość?". Mój officer odrzekł, że pytał. Ja sobie wtedy o tym majorze pomyślałem: "Ty skurwielu, gdybym dotrósł do komisji kontroli partyjnej o tym, co cię interesuje, to by cię z hukiem wypleprzył z partii i z pracy". Taki był mój więcej poziom mojej wiedzy o tym, co się przygotowywało. A działo się to już 31 stycznia.

Po "Dziadach" wszystko zaczęło iść bardzo szybko. Były do płacenia grzywny i ja rzuciłem hasło, że koleś z Mickiewicza z ZLP powinni się do tego jakoś podłączyć, skoro myślny stanęli w obronie sprawy ich dotyczącej. Znałem trochę Agnieszka Andrzejewską, córkę pisarza, więc poszedłem do jej ojca. I on owszem, dał pieniądze. A potem parę razy do niego wpadałem, rozmawialiśmy o środowisku i wydawało mi się, że on jeszcze wtedy, na początku roku, był dosyć od niego odsunięty. I o literaturze mówiliśmy. Bardzo byłem przejęty jego powieścią "Idzie skacząc po górach" — więc o tym, a też o Miłoszu — bo wiedziałem, że poeta i że jest na Zachodzie, ale jak się tam znalazł i jak pisze, to już nie za bardzo. Kontakty z kimś o takim nazwisku nie były dla mnie czymś codziennym, więc nawet nie śmiałem podpowiadać jakiegos zwyższego zaangażowania. Ale do Andrzejewskiego najwyraźniej zaczęło w tym czasie docierać, co się dzieje i 29 lutego na spotkaniu literatów miał już bardzo ostre wystąpienie.

4 czy 5 marca znalazłem się w PAF-ie na otwartym zebraniu partyjnym. Przypadkiem — szukałem siostry, która tam pracowała. I takie scenki: lektor z KC, Gołębiowski, referował przez zacisnięte zęby oficjalną wykładnię wydarzeń: że ten antypolski cyrk u literatów i dalej w tym stylu. A potem groteska: jakiś dziennikarz mówi, że jest pisarzem marynista, a oni, pisarze maryniści, zanim coś napiszą, to zawsze się najpierw zastanowią, czy to służy sprawie przyjaźni ze Związkiem Radzieckim. "Dziady" według niego oczywiście nie służyły.

Zebranie miało uchwalić rezolucję potępiającą literatów. Jakaś dziennikarka mówiła, że atmosfera tego, co się dzieje, przypomina jej atmosferę zebrań ZWM-u, kiedy przewodniczący — jednocześnie szef powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa — kładł na stole pistolet i zarządzał głosowaniem. Ale rezolucję uchwalono. Byłem tym tak zszokowany, że gdy przyszedłem do domu, powiedziałem mamie mając przed oczyma tego Gołębiowskiego: wiesz, działał widziałem fałszywie. Pierwszy raz mi się wtedy tak skojarzyło, tyle było w tym co mówił nienawistci.

Zaraz potem wiedzieliśmy, że ósmego będzie wiec. Mimo przyjaźni z "komandosami", jednak nie byłem w grupie, więc moje miłzkanie mogło uciec za czyste i u mnie odbyło się jedno z ostatnich, a może nawet ostatnich zebranie przed Marcem. Ustawiono wtedy, kto będzie mówił na wiecu. I była też mowa o tym, żeby wystąpienia związane z kwestią antysemityzmu podejmowali ludzie, że tak powiem, etnicznie polscy. I mnie to odrobinkę raziło, bo zaczęło wprowadzać podział. Tak było, jakby ta druga strona, władza, coś nam jednak narzuciła. Choć pojął, że z punktu widzenia taktyki tak było może i słuszniej.

Na wiecu oczywiście byłem. Pamiętam, że siedzieliśmy na ziemi, mimo że było mokro i nagle ktoś nad moją głową zaczął gderać, że co my za studenci, skoro nie chcemy się uczyć. Chciałem zareagować, ale ktoś mi mówił: nie warto, patrz, kto to jest. A to był Bonawentura Chojnacki, postać z komitetu partyjnego na Uniwersytecie — nazywany Bonagentura.

Wiec pamiętam tak: były wystąpienia z zadaniem przywrócenia Michnika i Szejfara na studia, a zaraz później pojawił się aktyw i zaczęli nas rozganiać. No i pachowaliśmy się. Wpadaliśmy na jakieś wykłady, bo część zajęć się przecież odbywała, i profesorowie — jak ktoś tam zajął z tego aktywu — przepędzali.

Po paru godzinach, chytkiem, wyszliśmy z Uniwersytetu — na Krakowku wleaz było gesto od milicyjnych szpalerów i od aktywu. Wytapywali ludzi. Ale mnie nie złapali.

Ja w ogóle przez Marzec tak przeszedłem, że ósmego nawet pata nie dostałem, a potem ani razu mnie nie wzięli. Zona mówi, że to jest do tej pory moja największa pretensja do reżimu w Polsce, że mnie nigdy nie wadzili. No, ale nie wadzili, co zrobić.

Następnego dnia rano napisałem parę ulotek: ze pogwałcono tradycyjnie szanowaną eksterytorialność Uniwersytetu. Podpisałem to "Biała Róża" — ze to niby jak w Monachium w 1942 roku. Było tego parę sztuk, z koplami ze trzydzieści, wziąłem je i poszedłem na Politechnikę. Akurat robiłem jakieś tłumaczenie techniczne z rosyjskiego i potrzebny mi był słownik. W ten sposób niechcący wpadłem na wiec, czego zupełnie nie planowałem. Ale wiec był i natknąłem się na mojego znajomka od brydza i sąsiada, Janusza Korwina-Mikke, który go prowadził. Parę dni później wracam do domu i widzę, że skręca w moją ulicę samochód, wysiada paru panów, więc myślę: idą po mnie. Ale nie, poszli parę domów bliżej, właśnie po Janusza.

Jego aresztowanie zdarzyło się już po artykule Gontarza i po jeszcze jednym, w którym opisywano dokładnie to spotkanie w "Bablu". Tam występowałem już bez nazwiska, przypomniano tylko, że ktoś porównywał "Życie Warszawy" do hitlerowskiej gazety. No i gdy tak zaczęto pisać, to powiem szczerze, że jakbym się przestraszył.

Chociaż to dziwna rzecz, bo całej tej propagandy, którą prasa serwowała, nie traktowałem jako realnej groźby. Od lat tak było, że w prasową informację raczej się wierzyło, a pluło jedynie na wszystko, co traściło komentarzem politycznym. Więc kiedy pojawiły się teksty Gontarza, Hrabyka, pani Reutt czy tego wspaniałego Sidora z "Żołnierza Wolności", który cytował jeśli nie samego Goebelsa, to w każdym razie Rosenberga, to mnie to raczej bawiło. Albo kiedy pojawił się Kur, który miał to nieszczęście, że ukuto o nim aforyzm "Kur wie lepiej", a który przekonywał naród, że jeśli chce się człowieka potraktować jak najgorszą swołocz, to trzeba rzucić w niego "encyklopedysta". Więc jak mówię, raczej mnie to wszystko bawiło. Dziwiło zaś i trochę podtrzymywało na duchu, że w całym tym morzu plugastwa trafiło się jedno pismo, które się nie ugięło i kompletnie uchyliło od drukowania wyzwisk. To była "Polityka", która podobno chciała się nawet rozwiązać, ale ponoć Olszowski namawiał ich do przeczekania. Potem Rakowski wystąpił z tekstem kwestionującym zasadność tych rasowych podziałów, co mimo wszystkiego z tego później, trzeba mu — uważam — pamiętać.

Myślę, że jeśli wziąłem propagandowe groźby za realne, spowodowała to ostatecznie telewizja. I nawet nie pogadanki Kąkole, ale zwykłe wiadomości czy zdjęcia z fabryk, gdzie odbywały się masówki. Sugestia telewizyjna działała na mnie znacznie silniej.

Tak czy inaczej, kiedy zaczęli mnie wytykać w prasie palcem, przestraszyłem się. Może też i chciałem dodać sobie aureoli, dość że przez pewien czas usiłowałem się ukrywać — mieszkam u mojego przyjaciela na Nowym Mieście. Z tego powodu nie byłem też na strajku, choć poza tym myślałem, że moja obecność może tam tylko zaszkodzić. Jak czkawka odbijała mi się rozmowa o "czystej polskości" sprzed włocu.

Całe to ukrywanie się było w sumie śmieszne. Okropnie mi się nudziło i pamiętam, jak poszedłem do kina "Muranów" na film "Żywy Mateusz". U Mostowskich, tuż obok, siedzieli w stałej gotowości milicjanci ściągnięci zewsząd, i też im się nudziło. Chodzili więc, kiedy mogli, do kina i w "Muranowie" stała akurat przed kasą długa niebieska kolejka. Nawet się za nimi ustawiłem, ale nie dostałem biletu. Dużo wtedy było takich komicznych momentów.

Pisałem wtedy jakieś wierszowane kupleciki, zrobiłem ulotkę o widmie syjonizmu krążącym po Europie. Ale to nie było tak, że zaistniałem w Marcu jako autor. To raczej Szpotkański, jeżeli już, no i taka ludowa twórczość typu, że gdzieś się zjawili podpici cywili. Śpiewało się w tym Marcu sporo, ale ja miałem z tym niewiele wspólnego. Moje rzeczy z STS-u czy Hybryd nie nadawały się specjalnie na chóralne śpiewy. Przypisywano mi natomiast tekst takiej prymitywnej pioseneczki "Mieciu M. z MSW, gdzie pierdoło podział swoje KBW", ale to naprawdę nie ja, słowo daję, przyznałbym się. Moje były natomiast "Chochoły", ale napisałem je dopiero rok później i to też nie był wiersz, który od razu "poszedł w lud". A "Modlitwa", w której Jacek Kaczmarski śpiewa "broń mnie Panie od nienawiści", w ogóle już niewiele ma wspólnego z Marcem — napisałem ją w 1980 roku.

Bywało w tym Marcu zabawnie, w sumie jednak było ponuro, bo ludzi cały czas wyłapywano. Spotykaliśmy się zdziwieni, że jeszcze nie siedzimy. Szczególnie ci, których wytykano w gazetach.

Potem to już było mi tylko głupio, kiedy latem ktoś pytał: to co, ciebie już wypuścili? Przyznawałem się wtedy ze wstydem, że wcale nie siedziałem. Ani razu, nigdy. No naprawdę, ubecy wykazali totalny brak zainteresowania mną!

No a drugim zaskoczeniem była ta szalona reakcja władzy. Szalona, choć precyzyjnie przygotowana. Byłem przez przypadek świadkiem tych przygotowań. Ósmego, albo w przeddzień, już nie pamiętam, aresztowali mnie rano - uważali, że moja osoba jakoś wiąże się z przygotowywanym wiecem. W Pałacu Mostowskich przesłuchiwał mnie officer bezpieczeństwa jakby oceniając, czy jestem prawdziwym przewodnikiem czy nie. Uznał prawdopodobnie, że jestem mniej ważny i wypuścili mnie następnego dnia, w przeciwieństwie do większości moich przyjaciół. Ale zanim wyszedłem, widziałem cały ten sktyw, który pojawił się później na dziedzińcu Uniwersytetu. Oni tam już wszyscy byli - prawdziwy aktyw i nie tylko. Byli i na długo przed wiecem wiedzieli, że mają przed sobą ważną akcję.

Podczas wiecu jeszcze siedziałem u Mostowskich. A kiedy już wyszedłem, siłą rzeczy zabrałem się za kontynuowanie tego, co wiec rozpoczął. Na wszystkich wydziałach powstawały wtedy studenckie komitety. Zostałem wybrany do takiego komitetu na psychologię, a potem, kiedy zebrały się komitety wydziałowe, wybrano mnie do trójki, która miała koordynować działania na poziomie uniwersytetu.

Na początku chodziło raczej o sformułowanie stanowiska studentów. Dla większości ludzi to, co się stało, nie miało już w zasadzie wiele wspólnego ze sprawą Adama czy "Dziadów". To był szok związany z tym, że złamana została wolność akademicka i że było to tak drastyczne i brutalne. Ludzie bardzo szybko dojrzewali. Nagle nabierali pewności, że istnieje ogromna sprzeczność pomiędzy tym, co chcieli robić w swoim życiu, w swojej nauce czy późniejszej pracy, a tym, co wolno i na co im się bądźle pozwalało. Ja to już wtedy w zasadzie wiedziałem. To przecież był powód, dla którego zaangażowałem się politycznie, ale przypuszczam, że duża grupa ludzi wtedy właśnie, na własnej skórze, odczuła z czym ma do czynienia. Przecież żyli niby normalnie, studiowali i naraż okazało się, że to wszystko tak łatwo się wali.

Sposób zachowania się władz, sposób ingerencji był absolutnie nieproporcjonalny do tego, co się stało. Wystarczyłoby najprawdopodobniej - jeśli już ktoś by chciał - większość studentów zaaresztować. Niekoniecznie musiało im się zaraz bamać zebra czy uruchamiać tę absurdalną propagandę. Ta drastyczna reakcja władz poruszyła wielką, potężną grupę ludzi. Jacek Kuroń z Karolem Modzelewskim twierdzili już od dłuższego czasu, że tak to właśnie z ludźmi jest - że ich to naprawdę obchodzi. Tylko nie można było tego "sprawdzić". I naraż widziało się, jak ci ludzie organizują się i zachowują tak, jakby byli wykształceni w tradycji demokratycznych instytucji, jakby to z mlekiem matki dostali.

W komitetach trwały wielogodzinne dyskusje. Planowało się zachowania wobec władz, formułowało zadania. W ciągu dwóch tygodni dokonano bardzo wiele - wystarczy porównać pierwszą wiecową rezolucję z końcową Deklaracją Ruchu Studenckiego, która jest już dojrzałym politycznym programem.

Wcześniej jeszcze, kiedy ruszyły się inne uczelnie, komitet uniwersytecki starał się nawiązać kontakt z nimi, a także z robotnikami - jacyś ludzie jechali poza Warszawę, inni do fabryk. No a potem, jako że władze odpowiadały na postulaty strumieniem kłamstw i obelg w prasie, powstał problem, w jaki sposób wzmocnić nasze zadania - poprzez strajk okupacyjny czy demonstrację na ulicach. Pamiętam, jak w Komitecie uniwersyteckim, na zebraniu, któremu przewodniczyłem, toczyła się długa dyskusja na ten temat. Zdania były bardzo różne, a ja miałem uczucie, że w sporej mierze ode mnie zależy, w którą stronę to pójdzie. I pamiętam, że nie lubiłem tej pozycji, tej ogromnej odpowiedzialności. Bo zdawałem sobie sprawę, że demonstracja uliczna byłaby bardziej skuteczna - dawałaby możliwość dotarcia do innych środowisk i trudno byłoby ją zignorować. A z drugiej strony, pamiętałem o wszystkich tych poturbowanych, pobitych do tej pory, wiedziałem, jaką cenę trzeba by za to zapłacić.

Te dyskusje trwały, ale przy podjęciu ostatecznej decyzji już nie byłem. Przez jedenaście dni nocowałem po znajomych i nagle, sam nie wiem - czy jakoś się uspokoiłem, czy po prostu potrzebowałem świeżego ubrania, dość że poszedłem do domu. A tam już czekali panowie, którzy mnie zabrali najpierw na Mostowskich, a potem na Rakowiecką.

Przez długi czas nie wiedziałem, co się dzieje na zewnątrz - na Rakowieckiej przestrzegali wtedy izolacji, nie dawali gazet, nawet "Trybuny Ludu". Więc tylko z przesłuchań, a właściwie ze sposobu, w jaki mnie przesłuchiowano, mogłem się zorientować, że coś się na Uniwersytecie przetańcało, skończyło.

Wściekły byłem na siebie za to, że wróciłem do domu. I że nie widziałem dalszego ciągu. Bo przecież strajk był czymś, co bardzo ludzi związywało. Myślę też, że ostateczne dojrzewanie polityczne marcowej generacji odbywało się właśnie tutaj. Kiedy się czyta

uchwalane wtedy rezolucje, to wydaje się aż niewiarygodne, że one i po dwudziestu latach są nadal aktualne, do zrealizowania. Pod tym względem Marzec był imponujący.

Siedziałem sześć miesięcy. Potem okazało się, że nie jestem wystarczająco dobrą figurą do procesu i zostałem wypuszczony. Wyrzucono mnie z Uniwersytetu, dostałem wilczy bilet, więc nie mogłem wrócić na studia. Jeszcze w czasie strajków większość chłopaków została zmobilizowana do wojska. Studium Wojskowe chciało rozładować sytuację, przysyłając do domu karty powołania. Więc kiedy ja jeszcze byłem na Uniwersytecie i sypiałem u znajomych, w domu czekał nakaz stawienia się w jakiejś tam jednostce. Aresztowali mnie, więc jednostka mnie ominęła. Po wyjściu z więzienia już to nie działało, ale nie byłem studentem i automatycznie pojawiła się przede mną konieczność odbycia służby zasadniczej.

Wciąż, choć mniej może nachalnie, trzymano się wątku żydowskiego. Władzy trudno było powiedzieć, że sto tysięcy ludzi źle myślało — łatwiej było pokazać, że to co robili było inspirowane przez spisek i prowokację tajnych grup syjonistycznych, choć równie dobrze mogły to być grupy cybernetyczne czy jakieś inne.

Moja matka straciła wtedy pracę, grożono jej wyrzuceniem z mieszkania. Śledztwa w mojej sprawie nie umarzono, trwało jeszcze rok. A potem zamknięto je z okazji amnestii na iluś tam lecie Peerelu. I tak to się skończyło. Wyjechałem razem z matką pod koniec 1969 roku.

Historia mojego związku z grupą "komandosów" to jest cała ta droga z "walterowcami", którą pewnie lepiej by opowiedział Jaś Lityński. Byłem w takiej drużynie, potem zostałem instruktorem. A z Adamem chodziłem do szkoły. I była nas cała grupa przyjaciół. Za więzami przyjacielskimi czy środowiskowymi szła działalność harcerska, z której miałem wielką frajdę, a za tym wszystkim istniało oczywiście społeczne zaangażowanie ludzi, którzy to zaczęli — Jacka na przykład. Bardzo prędko to się zrobiło moje, to wychowanie w drużynie z ideologią odczuwania zła, zajmowania się ludzką krzywdą i z dość dużą dozą myślenia społecznego. Jeśli, na przykład, był obóz w jakiejś wiosce, od razu odbywało się studiowanie tej wioski, jej problemów. Od razu było nastawienie na kontakt z rzeczywistością i rozumienie jej. To uczyło wrażliwości społecznej.

Ludzie należący do drużyn pochodzili ze środowisk jednak dość elitarnych — mieszkali w dużym mieście, często wywodzili się z inteligentkich rodzin, które miały niewielki kontakt z tym, czym żyła Polska małych miasteczek czy wiosek. I to był jakiś sposób pokazania, że oprócz Warszawy, Łazienek, dobrych szkół i ksiązek istnieje inna rzeczywistość. Być może ci ludzie inaczej nie zobaczyliby jej wcale. A tak dostali porządną szkołę, uczyli się patrzeć jak naprawdę jest. To był już także grunt, by zauważać polityczną warstwę rzeczywistości. Bo mieliśmy — na przykład — tego naszego wielkiego bohatera, generała Waltera. Pojechaliśmy w Bieszczady, zaczęliśmy — dzieci niemalże — rozmawiać z chłopami i naraz wychodziła cała prawda o tej okolicy, o wysiedlaniu, o tym, co tam robiło UB i sam generał jako dowódca sił bezpieczeństwa. I tak dalej, i tak dalej. Naraz wchodziło się w całe skomplikowanie, w politykę. To procentowało potem w Marcu.

Gęstniejącym doświadczeniem zaczęło się to wszystko stawać od czasu Klubu Krzywego Koła, gdzie chodziłem jako smarkacz. To było miejsce, gdzie ludzie ze sobą dyskutowali, mówili co myśleli — dosyć niezwykle przeżycie wobec tego, co działo się dokoła. Mówiło się tam o organizacji szkoły albo o spółdzielczości, o rolnictwie albo o cenzurze. To było bardzo interesujące. No i niezwykle ważne okazało się to, co nastąpiło dalej: zaczęła się walka z Klubem, jego zamykanie. Pierwszy raz na własne oczy widziałem cały proces ingerencji, niszczenia, zabrania i zamykania. Zwykle trudno to zobaczyć. Wiadomo, że różne rzeczy się dzieją, ale nie bardzo wiadomo, gdzie, jak i czyimi rękami się to przestępstwo odbywa. A tu wszystko można było śledzić aż do końca, aż do momentu, kiedy się przychodziło, a na drzwiach był duży napis, że zabronione i stali milicjanci. To była dla mnie bardzo dobra lekcja.

Powód, dla którego widząc zamknięte drzwi Klubu dalej interesowałem się tym, czym się interesowałem, a nie przestałem dla świętego spokoju, jest bardzo łatwy do zrozumienia. Tak już jest, że jeśli w pewnym momencie zaczniesz zauważać, co się dzieje wokół, to bardzo trudno — jeśli masz zwykłe ludzkie uczucia — zapomnieć o tym i żyć normalnie. No, chyba że masz jakiś bardzo wyjątkowy powód do tego, żeby żyć normalnie albo jakąś inną mając. A ja nie miałem.

Zamknięcie Klubu było już dla mnie przeżyciem czysto politycznym. A gdzieś od czasu "Listu otwartego" i procesu Jacka zaczęła się moja polityczna działalność. Cały proces powolnego wciągania się w nią — działania władz, nasze odpowiedzi. Dużo też było pracy samokształceniowej. Sam "List otwarty" pokazywał inny język służący do opisu rzeczywistości, formułował kategorie tego opisu. Czytałem "Po prostu" z 1956 roku, potem było też sporo zwykłego uczenia się socjologii czy ekonomii politycznej. I sporo klasyki — żeby dowiedzieć się, co ten Marks rzeczywiście napisał albo co uważają anarchiści czy tacy reformatorzy komunizmu, jak Dżilas.

Przez cały ten czas nie miałem poczucia, że jestem członkiem małej grupki, która próbuje coś zmienić w morzu innych, którym rzeczywistość — straszna momentami — nie przeszkadza. Grupa, w której żyłem, była spora — na wspólnych obozach walterowskich bywało po sześćset, siedemset osób. Potem to już było całe środowisko społeczne, ludzie z podobną historią życia, podobną drogą, pasją do pracy społecznej.

Robiłem coś ciekawego, ważnego, jednocześnie przyjaźniąc się z ludźmi. To była wielka frajda. Więzi, które powstawały w tym okresie utrzymały się przez wiele lat. Różnie się potoczyły losy tych ludzi — część jest w Polsce, część wyjechała i rozsypana się po świecie. A mimo to w dalszym ciągu istnieje w nas duże poczucie wspólnoty.

Czy to była droga bliska mojej wewnętrznej prawdzie, czy raczej droga narzucona? Jeżeli żyjesz w świecie, który uważasz za straszny, w którym ludziom dzieją się różne krzywdy i złe rzeczy, jeśli w takim świecie twoje poczucie estetyki i moralności jest ciężko urażone, to jest rzeczą absolutnie naturalną, że starasz się temu przeciwdziałać. I to był powód, dla którego robiłem to, co robiłem. Czy rola Jacka, który wymyślił drużyny walterowskie, była tu najważniejsza? Niekoniecznie. Pamiętam, na przykład, że dla mnie niezwykle istotne było, że kiedyś, u jakichś znajomych, znalazłem schowany za książkami na półce dodatek do "Paris Match'a", w którym był 150-stronicowy reportaż z Węgier w 1956 roku. Miałem wtedy może dwanaście lat i pamiętam, że tamte wstrząsające zdjęcia dały mi bezpośredni obraz tego, co się na Węgrzech działo. Bardzo możliwe, że właśnie one otworzyły mi po raz pierwszy oczy na rzeczywistość. Potem musiałem już na nią reagować, brać za nią odpowiedzialność.

Oczywiście, bardzo lubię żyć w świecie, w którym nie muszę wciąż reagować. W którym lepiej ode mnie robią to inni albo są do tego powołane specjalne instytucje, a ja mogę zajmować się czymś, co uważam za ważne dla mnie i mojej pracy zawodowej. W tym sensie nie jestem człowiekiem, który nosi w sobie pasję politycznego działania, który musi koncentrować się na naprawianiu świata. I w tym sensie to, co robiłem w Polsce, było narzucone przez świat, w którym żyłem. Żyjąc tutaj, mam wolne pole dla siebie. Mam też czystą przyjemność z poczucia, że moje dzieci nie będą miały tych samych problemów co ja czy moi rodzice. Że dadzą im start do świata w miarę normalnego, w którym będą mogły sobie wybrać to, co będą chciały.

Ale nadal gdy widzę coś, co mnie zdedydowanie złości, bo jest złe i krzywdzące ludzi — zapalam się. Jeśli zajmuję się na przykład losami pacjentów, tym jak działa szpital i czy robi wszystko, co może dla nich zrobić — wciągam się w jakieś dyskusje, czasem awantury, staram się coś zmienić.

Większość z nas wyrzucono w połowie studiów. Mnie usunięto z trzeciego roku psychologii, więc skończyłem ją już w Szwecji i potem zabrałem się za pracę naukową. Wszedłem w zwykłe tryby: byłem na dobrym uniwersytecie, z czego wynikało, że robi się tam niezłe badania naukowe, doktorat, po doktoracie jeździ się na coś w rodzaju stazu naukowego za granicę. Ja pojechałem na kilka lat do Stanów.

Nie jestem wyjątkiem. Większość ludzi z marcowej emigracji, których znam — krąg jakichś 150 osób — jest w dokładnie tej samej sytuacji. Większość była na uniwersytecie, większość pochodziła z domów o ugruntowanej tradycji uczenia się. To pokolenie, z tym startem, z tymi podstawami wiedzy, które dostało jeszcze w Polsce, w normalnych warunkach byłoby w kraju pokoleniem ludzi cenionych w swoich zawodach. Większość z nich teraz, mając czterdziestkę, jest dosyć zadowolona z tego, co im się w życiu udało zrobić — pokonczyli tutaj niezłe uniwersytety, dali sobie radę i dziś przejmują pałoczkę, zajmują kierownicze stanowiska. Zresztą i losy tych, którzy zostali w Polsce, pokazują, że ludzie Marxa to byli wspaniali ludzie.

Moje badania naukowe tutaj były kontynuacją polskich zainteresowań. Na początku studiów zetknąłem się z Kazikiem Jankowskim, dziwnym psychiatrą, który — co było dość niezwykle w tamtych czasach — zajął się psychologami. Kazik interesował się wtedy psychofizjologią, czyli tym, jak reakcje psychiczne i emocje wpływają na reakcje fizjologiczne. I z nim właśnie robiłem pierwsze duże badania, które i teraz, po dwudziestu latach, uważam za cenne i potrzebne. Kazik starał się wykazać, że to, co uważano tradycyjnie za objawy choroby psychicznej, jest efektem przystosowania organizmu pacjentów do środowiska szpitalnego, w którym żyją nieraz przez wiele lat. Jeździliśmy po całej Polsce, zbieraliśmy materiał w różnych szpitalach psychiatrycznych, co było — niezależnie od badań — niezwykle trudnym przeżyciem. Nie mieściło się w głowie, że te szpitale mogą być tak straszne. A badania bardzo dokładnie pokazały, że część objawów jest psychofizjologicznym przystosowaniem się organizmów do środowiska szpitalnego z jego brakiem normalnego obciążenia psychicznego i fizycznego. Od tego czasu zaczęły się moje zainteresowania naukowe. I starałem się ich nie zaniedbywać. Już po tym, jak wyrzucili mnie ze studiów, Kazik przyjął mnie na godziny do pracy przy kolejnych badaniach, co było z jego strony bardzo ładnym gestem, bo po Marcu jeszcze przez jakiś czas odbywało się wyrzucanie ludzi z posad, więc i jego mogło to spotkać.

Jeszcze przed wyjazdem znalazłem w bibliotece artykuł, w którym ktoś udawał, że dzięki dodatkowym informacjom o tym, co dzieje się z konkretną funkcją fizjologiczną, można człowieka nauczyć wpływać na nią — tradycyjnie uważało się, że procesy fizjologiczne są niezależne od wpływu woli, autonomiczne. I kiedy przyjechałem do Szwecji, od tego zacząłem. Zrobiłem badania, potem na ich podstawie doktorat i do dziś zajmuję się podobną problematyką. Pracuję też z pacjentami po zawałach — próbuję uczyć ich wpływania na własną fizjologię, zachęcać do zmiany stylu życia.

Podjęcie decyzji o tym, dokąd chce się z Polski wyjechać, wyglądało dosyć abstrakcyjnie. Pamiętam, że siedzieliśmy z paroma przyjaciółmi i oglądaliśmy atlas świata. Niewiele wiedząc o różnych krajach, decydowaliśmy: o, tu pojedę, tu będę żył. Do wyboru była zresztą głównie Austria i Skandynawia.

Wielka grupa, która wtedy wyjeżdżała z Polski, nie identyfikowała się z żydostwem. Wiele osób właśnie z racji Marcu po raz pierwszy zetknęło się z tą kwestią. Te niemal dwadzieścia tysięcy ludzi to była przecież ostatnia, najbardziej zasymilowana grupa obywateli — w cudzysłowie — pochodzenia żydowskiego.

Traktowałem wyjazd wyłącznie jako represję polityczną — i może nieco schizofreniczne było to, że wyjeżdżając wykorzystywałem mechanizm stworzony dla narodowości, z którą nie czułem związku. Zacząłem go zauważać później, kiedy przez jakiś czas mieszkalem w Stanach. Ale do dziś sprawa moich żydowskich korzeni nie jest dla mnie szczególnie istotna. Święta żydowskie, na przykład, lubię tak samo jak Boże Narodzenie i traktuję je jako dziedzictwo cywilizacyjne, które jest moim udziałem jako obywatela świata. Być może czas, w którym zaczęną się nad tym zastanawiać, jest dopiero przede mną.

Ale faktem jest, że po Marcu zrozumiałem historię polskich Żydów, umiałem sobie wyobrazić i odczuć część drogi, którą ci ludzie przeszli tu w czasie okupacji czy w latach powojennych. Cały ten biznes, który powstał przy okazji wyjazdów, na przykład ci faceci, którzy budowali skrzynie na rzeczy — pozwolił mi też zrozumieć, na czym mogło polegać w czasie wojny szmalcownictwo.

To nie było przyjemne. Tak jak i cały proces wyjeżdżania. Procedura zrzeczenia się polskiego obywatelstwa — składała się na milicji papiery i przy tej okazji milicjanci prowadzili jakieś rozmowy, pogardliwie dogadywali. Tłumaczenie na inny język zaświadczeń z całego niemal życia, potwierdzanie dokumentów ze studiów, zbieranie całych serii pleczętek, po które biegało się pomiędzy różnymi ministerstwami. No i decydowanie o tym, jakie rzeczy można ze sobą wziąć — na dworcu siedzieli jacyś panowie, przeglądali, zapisywali. I książki, które trzeba było dokładnie pospisywać, ponumerować. Część tej procedury to była zwykła idiotyczna biurokracja. A część, to coś specjalnie stworzonego — żeby ponizić, odstraszyć. Nie sądzę zresztą, żeby to wszystko zostało wymyślone akurat na użytek Marcu — przez taką procedurę przechodziły wcześniej inne grupy narodowościowe, na przykład wyjeżdżający Niemcy czy Ślązacy. I sądzę, że nadal przechodzą ją ci, którzy wyjeżdżają — choćby na zasadzie łączenia rodzin.

Marzec jako doświadczenie osobiste

(...) Do szóstej rano 8 marca, to jest do chwili aresztowania, należałem do grupy tak zwanych komandosów w Uniwersytecie Warszawskim. Jeśli się nie mylą, termin ten ukuł (a przynajmniej rozpowszechnił) ówczesny I sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR, dzisiaj liczący się historyk gospodarczy, Andrzej Jezierski. Wedle opinii moich ówczesnych kolegów i przyjaciół (a i MSW również, jak się później okazało), byłem w tej grupie niezwykle aktywny. Być może odegrał tu pewną rolę fakt, że byłem po prostu naładowany energią i chęcią działania, wypyskowany i z przyjemnością wdawałem się w utarczki słowne, zwłaszcza z reprezentującymi "oficjalną linię" działaczami ZMS-u czy też ludźmi typu Dobrosielskiego. Szczególną radość sprawiały mi, jak pamiętam, spory z Wojtkiem Lamentowiczem, który po każdym moim wystąpieniu na zebraniach SOD-ów (Studenckie Ośrodki Dyskusyjne, zorganizowane na UW przez ZMS i stanowiące w latach 1966-1968 główne forum publicznych dyskusji politycznych) ze skupioną miną kontrował mniej lub bardziej udanie "niewłaściwe poglądy kolegi Szlajfera" (od 1967 roku byłem już tylko "kolega"; wiosną zostałem wyrzucony z ZMS-u razem z Ireną Grudzińską, Jankiem Lityńskim, Bronkiem Świdorskim i kilkoma innymi). Z równym zapałem uczestniczyłem też zimą 1967/68 (zdjęcie ze sceny "Dziadów") w akcjach podpisowych. W sumie okazało się, ku memu zaskoczeniu, że w gronie "komandosów" traktowany jestem jako "ten aktywny", choć — co warto podkreślić — znalazłem się w nim stosunkowo późno.

Do jesieni 1965 to jest do rozpoczęcia studiów na Uniwersytecie Warszawskim, nazwiska Modzelewskiego czy Kuronia nie mi nie mówiły. Nic mi też nie mówiła nazwa "Klub Michnika". Chodziłem z kolegami na potańcówki (i bójki) do Liceum "Batorego" czy "Gottwalda". W tym czasie znałem tekst broszury z rewelacjami Światły oraz kolegów z obozów letnich organizowanych przez Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce. Interesowała mnie ekonomia i historia, żydowskie dziewczyny i zabawy w klubie TSK2 (późniejszy klub "Babel"). Socjalizm był dla mnie piękną ideą, tym bardziej że głosił równość ludzi. Ponieważ nie mam kręconych blond włosów, a i kolor oczu odbiega od błękitu, problem równości miał dla mnie pewne znaczenie, zwłaszcza gdy od czasu do czasu rzucono mi w twarz: "ty Żydku!".

Czy wywodziłem się z kręgu prominentów? Nie sądzę. Cenzor to nie jest stanowisko kojarzone z kręgami elity władzy. Ojciec był właśnie cenzorem. Oczywiście, byli różni znajomi czy przyjaciele ojca, głównie ze średnich szczebli hierarchii partyjnej, a też informacje i opisy wydarzeń, o których w "normalnych" domach się nie słyszało. No i były książki. Darmowe. Cenzor otrzymywał egzemplarze okazowe. Tych książek zazdrościł mi Rysiek B. I pamiętam, że było mi z tego powodu niezwykle przykro.

W środowisku "komandosów" (wówczas mówiło się jeszcze "michnikowcy") znalazłem się poniekąd z zewnątrz. Do 1965 roku ja i Adam Michnik, Lityński czy Grudzińska byliśmy w różnych, tylko częściowo ząbających się środowiskach. Ustyszałem o nich, podobnie jak o Jacku i Karolu, po raz pierwszy w trakcie ZMS-owskiego instruktażu w Rozalinie pod koniec 1965 roku. Jako kadrze pozwolono nam przeczytać "List otwarty".

W konflikt z ZMS-em i PZPR-em na Uniwersytecie popadłem wiosną 1966, niejako na własny rachunek, przy okazji przygotowań do 1 maja. Co śmieszniejsze, mój późniejszy kontakt z Adamem Michnikiem, w trakcie zebrania w Instytucie Historycznym UW z okazji dziesiątej rocznicy Października, był kompletnym *qui pro quo*. Ale dla władz było to nieistotne i w ten sposób znalazłem się w grupie zawieszonych w prawach studentów.

Nie wnikam w tej chwili, czy opinia o mnie jako "tym aktywnym" była uzasadniona czy nie. Istotne jest to, że była jaka była. Kiedy 31 stycznia 1968, po demonstracji pod pomnikiem Mickiewicza po ostatnim spektaklu "Dziadów" (nie uczestniczyłem w niej), po wystąpieniu Brusa i Baumana z PZPR, razem z Adamem spotkałem się z Bernardem

Marguerittem, ówczesnym korespondentem "Le Monde", klamka zapadła. Wyznaczony zostałem przez którąś ze zwalczających się wzajemnie koterii partyjno-politycznych do odegrania wraz z Michnikiem roli symbolu. (Obleczywał mi to zresztą po pierwszym zatrzymaniu na 48 godzin nie żyjący już porucznik Robert Peters, "opiekun" Uniwersytetu z ramienia stołecznej SB; jego szef czy współpracownik dodał wówczas — "ty Żydzie!").

Do odegrania takiej roli nie byłem przygotowany ani psychicznie, ani politycznie. Pisząc "politycznie" mam na myśli to, że mimo zawziętości, z jaką krytykowałem władzę, nie postrzegałem siebie samego jako nieprzejednanego wroga systemu. Takie pojęcia, jak *marksizm*, *socjalizm* czy *demokracja socjalistyczna*, w sumie — *rewizjonizm*, jak to się wówczas określało, stanowiły punkt odniesienia, swoiste aksjologiczne wartości moich działań i wypowiedzi. Byłem zawzięty, ponieważ te rewizjonistyczne ideały kłóciły się z tym, co wiedziałem i widziałem wokół siebie. Byłem również agresywny — z tego samego powodu.

Mówiąc szczerze, ani w trakcie przygotowań do wiecu, ani później, gdy w więzieniu usłyszałem o strajkach na innych uczelniach, nie docierało do mnie, że w ten oto sposób, chcąc nie chcąc, "robię za symbol". Nie, do takiej roli nie byłem przygotowany. W to wszystko wplątane było jeszcze moje "rasowe pochodzenie", większa niż u innych kolegów żydowskiego pochodzenia identyfikacja z wybiórczo traktowaną tradycją żydowską (nie religijną, lecz z tradycją żydowskich buntowników i rewolucjonistów, tą z 1917 roku, wojny domowej w Hiszpanii czy warszawskiego getta).

Kiedy przed Marcem, w trakcie któregoś tam kolejnego zatrzymania przez SB, dostałem w buzię pod hasłem "ty Żydzie", uznałem, że jest to incydent, że nie trzeba o tym mówić publicznie, ponieważ chodzi o rzeczy ważniejsze. Tu przecież szło o demokrację, swobody dla wszystkich i o "Dziady"! Dlatego nie zgodziłem się, aby o tym biciu mnie po twarzy mówił w ZLP Artur Sandauer. Zrobiłem głupio. Równie głupio pisałem w więzieniu: "Jestem Żydem, dopóki istnieją tacy ludzie jak Jaroszewicz". Ja po prostu jestem i Polakiem, i Żydem, bez żadnego "dopóki" i będę nim, choćbym nie wiem, ile razy podkreślał, że jestem Polak z żydowskimi przodkami. Ale o tym w momencie aresztowania nie wiedziałem, a śledczy razem ze mną oburzał się: "Co też te pismaki wypisują!". Dzisiaj już wiem. Ale ponieważ tego nie wiedziałem, wydawało mi się, że należy oderwać sprawę Marca, sprawę "komandosów", sprawę naszego pyskowania na Uniwersytecie od jakichkolwiek związków z "żydowskim śladem". A wpychano nas w ten ślad bezwzględnie, bez skrępowań. Kiedy wybuchła wojna sześciodniowa, okazało się, że jestem syjonistą werbującym ochotników do walki z Arabami.

Żydowski nieopierzony marksizujący rewizjonista posadzony jako symbol narodowego protestu do byłego pawillonu Fejgina-Różańskiego na Mokotowie... — nie, z tego mogło wynikać tylko nieszczęście. I wynikło. Dzisiaj, kiedy myślę o tym, mogę się już uśmiechać. Zwłaszcza kiedy wiem, że ten sam żydowski marksizujący rewizjonista mniej lub bardziej udanie tworzył i współredagował "NTO" w Regionie Mazowsze czy organizował rady robotnicze na Górnym Śląsku, że miał szansę działania i jako "rewizjonista", i jako Żyd, i jako Polak, i jako czort wie, kto jeszcze.

W lutym 1989, gdy wychodziłem z więzienia, nie było mi jednak do śmiechu. Wychodziłem bowiem z piętnem tego, który zaprzedał się, wyraził skruchę i został za to odpowiednio wynagrodzony. Jeszcze dzisiaj te ówczesne opinie powracają jakby zgodnie z zasadami kelles-krauzowskiej retrospekcji przewrotowej. I co dziwniejsze, budzą one we mnie większą wściekłość niż w 1969 roku. Może dlatego, że głoszą je często ("w zaufaniu", a jakże!) ci, których dwadzieścia czy dziesięć lat temu obserwowałem w innych pozach politycznych i którym wydaje się, że udział w łagodnej rewolucji lat 1980-1981, czy kilka wizyt oficerów SB zdejmują z nich ciężar własnych życiorysów.

Wyszedłem z więzienia psychicznie rozbity i jednocześnie z męczącą mnie po dziś dzień zawziętością. Była to zresztą kontynuacja stanu, w jakim znalazłem się w ostatniej fazie śledztwa i w trakcie procesu. Z jednej strony tłumione poczucie winy, świadomość, że wszystko rozegrało się w paskudny sposób, z drugiej zaś protest przeciwko narzuconej mi roli kozła ofiarnego. Konsekwencją była izolacja, a następnie samolizolacja i — przez ponad dwa lata — trudności w mówieniu. A przecież bez względu na to, jak absurdalne były zarzuty o "współpracę" i "skruchę", należało iść do ludzi i powiedzieć "przepraszam". Trzeba było iść do wszystkich — i tych, jak Adam i Karol, i tych jak Irena L. czy Basia T. Trzeba było iść nawet do tych, którzy jak X, bojąc się informacji, którymi z powodu rodzinnych koneksji dysponował, wmawiał w żywe oczy, żeś jest agentem SB. Trzeba było

powiedzieć "przepraszam", ponieważ pokój oficera śledczego czy sala sądowa nie są właściwym miejscem do prowadzenia rozrachunków politycznych i dysput teorio-poznawczych. Ponieważ nie rozumiałem, że sprawa moich poglądów obchodzi SB tyle, co zesztoroczny śnieg, trzeba było powiedzieć "przepraszam".

Do dziś nie wiem, dlaczego po wyjściu z więzienia nie wypowiedziałem tego słowa. Przecież widziałem, jak ludzie odebrali moją postawę w śledztwie i w sądzie. Nie obchodziło ich — i słusznie — to, że nie było ani skruchy, ani próśby o łagodny wyrok, ani przyznania się do winy. Liczyło się to, że stanąwszy przed sądem, nie powiedziałem: odwołuję wszystkie swoje zeznania, i kropka. Liczyło się to, że różnice stały się w rękach prokuratora i SB narzędziem manipulacji. A chodziło i w śledztwie, i na procesie o odmowę polityczną, o odmowę wchodzenia w jakiegokolwiek dysputy na temat różnic poglądów, o odmowę oceniania i klasyfikowania. Ale taki mądry to ja jestem dopiero teraz!

Jedyne wytłumaczenie, jakie po dwudziestu latach przychodził mi do głowy, to po prostu moja zawziętość i urazona ambicja. Ponieważ ja wiedziałem, że nie jestem agentem, nie chciałem i nie mogłem przyjąć do wiadomości, że i n n i widzą to inaczej, a im dalej od grona bezpośrednio wciągniętych w wir procesu, tym silniej przemawiała tego typu racjonalizacja. Była prosta i logiczna. I bardzo romantyczna, zgodna z kanonami historycznego dramatu. Tym bardziej, że chodziło o jeden z "symboli", o tego, za którym ujęli się studenci i dostali za to po grzbiecie pałkami!

Nie potrafiłem powiedzieć "przepraszam" i nie chciałem też emigrować, zerwać z tym wszystkim. Nie chciałem też powiedzieć "przepraszam" i wyemigrować. W ciągu ostatnich dwudziestu lat, kiedy pętałem się po różnych zakątkach świata, wracając do kraju po to, aby tu być bezrobotnym, niejednokrotnie zastanawiałem się, po jakiego diabła trzymam jeszcze w kieszeni bilet powrotny do Warszawy. I jak do tej pory, nie zdobyłem się na decyzję, aby bilet ten wyrzucić. Czysty przypadek masochizmu. Gorzej nawet, świadomie odgrywanego teatru pod tytułem "udowodnij wam". Nic nie udowodniłem. Po prostu przeżyłem, odnalazłem w sobie zryk do ślęczenia nad kelażkami, zapisałem kilka kilogramów papieru, mam kilku przyjaciół — i to wszystko. Tylko czasami, kiedy "coś" się dzieje, wraca ochota, aby raz jeszcze... "Solidarność"? I owszem, byłem. Wszyscy byli i okrutny tłok zapanował. Dlatego jazdy na Górny Śląsk, do Lublina, do Stalowej Woli czy Łodzi. Luźno zrobiło się po 13 grudnia. Zwłaszcza w przedziale dla myślących. I w końcu koło się zamknęło. Jako "Kowalski i Mallnowski" wylądowałem ze swoimi tekstami w "Krytyce", w piśmie Janka Kofmana, Adama Michnika, Roberta Mroziwicza...

Drogi Janku!^{)}*

Tekstu obiecanego dostarczyć nie mogę. To, co wyżej, to strzępy tego, co chciałem napisać. W sposób oczywisty przeliczyłem się z własnymi siłami. Łatwiej pisać o Peru czy nacjonalizmie gospodarczym, niż wyjaśniać fragmenty własnego zyciorysu. Z zaskoczeniem też stwierdziłem, że brakuje mi dystansu do wydarzeń sprzed dwudziestu lat, a rozmowy, jakie na ten temat toczyłem w ostatnich tygodniach, między innymi z Tobą, nie są dla mnie tylko, czy przede wszystkim — neutralnym rozprawianiem o przeszłości. Marzec 68 tkwi w mojej świadomości jak zadra i tak już chyba pozostanie. Artykułu czy zgrabnego tekstu analitycznego napisać nie potrafię. Nie mam też pod ręką jakiegoś prostego, jednoznacznego wytłumaczenia tego, co stało się po 8 marca. Gdyby w grę wchodził wówczas zwykły ludzki strach... Ale tego strachu było mało. Nie potrafię już dzisiaj zrekonstruować w pełni tego, co myślałem, jak czułem, gdy odmawiałem zeznań, gdy zacząłem mówić tylko o sobie i gdy zacząłem mówić o innych.

*Wszystko to są jednak wątki rozbite na poszczególne obrazy i całości z tego nie zrekonstruuje. Sądziłem, że uda mi się powiedzieć coś sensownego, gdy miał pióra będe miał przed sobą mikrofon magnetofonu, w rozmowie z ludźmi z Poznania^{**)}. Nic z tego.*

Nie chciałbym jednak, abyś przyjął to, co wyżej, za unik. Jeśli uznasz za stosowne opublikowanie tych strzępów, proszę, dołącz do nich jeszcze kilka stron "faktografii" — tego, co zdołałem wyprodukować w formie bardzo niechlujnych notatek. To tyle.

^{*)} Autor zwraca się do Jana Kofmana, redaktora naczelnego KRYTYKI.

^{**)} Mowa o wywiadzie przeprowadzonym z Henrykiem Szlajferem przez niezależne poznańskie pismo CZAS (nr 1/86).

Optyka

Powędrowałem do więzienia jako młody rewizjonista (= zbuntowany komunista). Zresztą również dzisiaj sądzę, że jedyną szansą urzeczywistnienia w naszym kraju dążeń do jakiegoś takiego pozłomu życia o r a z społecznej równości, o r a z demokracji (bez żadnych przymiotników) jest opcja socjalistyczna (socjalistyczna, a nie komunistyczna!), opcja mieszcząca się w paradygmacie lewicowym. Wszelako w latach sześćdziesiątych byłem związany nie z socjalistycznym systemem myślowym, lecz z intelektualną wersją poststalinizmu – z rewizjonizmem, wedle ówczesnych określeń. Była to swoista hybryda myślowa – politycznie mierząca w kierunku pluralizmu, ideologicznie zaś tkwiąca w schemacie "prawdziwego komunizmu", określająca granice współpracy i asymilacji idei, ludzi, instytucji.

Biorąc pod uwagę tradycje i doświadczenie wyniesione z domu, trudno bym był inny. Jedną z istotnych cech tego typu myślenia (i wychowania) jest niepisany kodeks postępowania. Rzeczą najgorszą, jaka może się zbuntowanemu przytrafić, jest "zdrada" w sposobie krytykowania rzeczywistości, podjęcie dialogu z tymi, którzy system odrzucają *in toto*. Słowem: z wrogami socjalizmu i lewicowości w ogóle. Przykładem był sposób widzenia przeze mnie emigracji. Emigracja komunistów czy lewicowców? I owszem. To było naturalne. A polska emigracja powojenna? Ta jawiła się jako jedna, szara, zuniformizowana masa "reakcjonistów". Giedroyc? Giertych? Ta sama barwa w różnych odcieniach. Była to swego rodzaju schizofrenia. Przecież czytałem niektóre wydawnictwa emigracyjne, głównie paryskiej "Kultury"!

W lekturach tych jednak szukałem czy byłem skoncentrowany na krzywdach, które wyrządzono komunistom, lewicy; na opisie tych zmian, które miałyby ten socjalizm poprawić lub uczynić go lepszym. Stąd – na przykład – z entuzjazmem przyjmowałem to, co działo się w Czechosłowacji w latach 1967/68. Dalej, kiedy czytałem np. "Rewolucję rosyjską" Róży Luksemburg w przekładzie Ciołkosza, wydaną przez Instytut Literacki, uświadamiałem sobie, że można opowiadać się za marksizmem, opcją lewicową, a jednocześnie być krytykiem tego, co się faktycznie dzieje w społeczeństwie takim, jak nasze. Analogicznie z książką Welssberga-Cybulskiego, również wydaną przez Instytut Literacki, a koncentrującą się na jednym fragmencie historii: represje wobec komunistów. Czytałem ją z przejęciem, ponieważ była to historia dotycząca moich najbliższych, odtwarzała po części ich doświadczenia. Stąd więc, mimo że słyszałem o tragedii ludzi z AK, którzy przesiedzieli/osiem czy dziesięć lat, czy też byli skazywani na śmierć do 1956 roku, nic z tego specjalnie nie wynikało. Być może i z tego względu, że lata sześćdziesiąte były perwersyjną (co nie znaczy – nieskuteczną) próbą asymilacji tej tragedii – i ludzi – do kanonu "narodowego komunizmu". Jako zbuntowany komunista widziałem podówczas na pierwszym planie nie ludzi z AK, lecz represje wobec "dąbrowszczaków", procesy komunistów - na Węgrzech, w Czechosłowacji czy Bułgarii.

Zresztą, z Michnikiem częściej rozmawiałem o Henryku Dembińskim niż o Dmowskim, z Kuroniem o Che Guevarze niż o Piłsudskim. Jeśli dobrze pamiętam, to nasz ostatni "salon polityczny" dotyczył problemu mesjanizmu klasy robotniczej. Poszukiwałem, w sumie, desek ratunkowych umożliwiających względnie łagodne przejście do rewizjonizmu i buntu (Gramsci i podczepiona do tego nurtu myślowego "Kultura i fetysze" Kołakowskiego, "marksizm oraz demokracja" – jak to deklarował krótki polemiczny tekst we "Współczesności" w 1967 roku, oddający sposób myślenia znacznej części "komandosów"). A w konsekwencji, mimo prób, nie był to jeszcze poważny wysiłek zrozumienia sytuacji – stalinizmu i społeczeństwa poststalinowskiego – jako rzeczywistości. I ja, i moi koledzy tkwiłiśmy nadal w rzeczywistości ideologicznej. Tę zastaną dymną zagęszczała jeszcze w moim przypadku wojna w Wietnamie.

Optyka zbuntowanego komunisty nie jest najlepszym bagażem w podróży do komunistycznego więzienia. Zwłaszcza dla nieopierzonego szczeniaka, nigdy przedtem nie siedzącego dłużej niż 48 godzin (i to tylko raz), zadufanego w sobie, a jednocześnie słabego. Jedyne moje ówczesne doświadczenie to publiczne dyskusje, polemiki z członkami ZMS-u czy PZPR-u i żadna wiedza na temat śledztwa, więzienia *etc.* Zabrzmiał to dziwnie, ale o przebiegu śledztwa w pierwszej sprawie Kuronia i Modzelewskiego dowiedziałem się dopiero w 1968 roku.

Powinienem jeszcze dodać, że kiedy przychodziłem w 1965 roku na Uniwersytet, byłem jakby człowiekiem socjalistycznym, przygotowanym, by być człowiekiem władzy i aparatu, "wierzącym". Znaczna część środowiska przyszłych "komandosów" była już po traumatycznym szoku pierwszego procesu i pierwszego śledztwa. To doświadczenie nie było tylko opowieścią czy abstrakcją. Ja w tym czasie dopiero stopniowo, krok po kroku próbowałem sobie uporządkować atakujące mnie informacje. 1 maja 1966, w trakcie walki o transparenty na placu Grzybowski, gdzie zaczynał się pochód, ja i moi koledzy krzyczyliśmy "Wietnam, Wietnam!", zaś Sewek Blumsztajn i jego przyjaciele skandowali "Filozofia, filozofia!" (studia z magisterskich przekształcano w podyplomowe). W finale przeszliśmy przed Gomułką skandując solidarnie: "Wietnam, filozofia, Karol-Karol-Karol-Marks!" (Karol Modzelewski i Kuroń siedzieli wówczas). Te różnice tempa i okresu, w jakim wchodziło się w działalność polityczną, w latach 1967/68 mało istotne, drugoplanowe, w Marcu 1968 urosły, w moim przypadku, do gigantycznego problemu. Przejście od publicznych wystąpień na temat paktu Ribbentrop-Mołotow (w ówczesnych warunkach nie było to mało), od wymiaru uniwersyteckich dyskusji i problemów do roli "symbolu" i więźnia ślakovanego jako syjonistyczny sprzedawczyk było piekielnie szybkie i szokujące.

Więzienie i śledztwo

Przez pierwsze dni więzienie nie było nawet ekscytującym doświadczeniem, tym bardziej, że trafiłem początkowo na dobrą celę. Rozmowy, dyskusje, w sumie — "Mamy swojego studenta!". Pierwsze dni śledztwa też spokojne. Dyskusje światopoglądowe, tak bym to określił. Fotografowanie, odciski palców. I pierwsze "dechy" (za śpiewanie i gwizdanie "Gaudeamus" przez blindy). Pierwsze grypsy wkładane mi do butów — fałszywe, ale doskonale podrobione. I moje odpowiedzi — gada ten, gada ta... I kolejne fałszywki. Po kilku dniach początek młyna...

Byłem ogłuszony przebiegiem śledztwa, a po części i fizycznie zmęczony. Toczyło się codziennie z wyjątkiem niedziel, przez ponad dwa i pół miesiąca. Później tempo zelżało. Przesłuchiwano od ósmej do dwudziestej, a czasami i później — z przerwą na zjedzenie obiadu. Kolacyjną kawę kalifaktorzy zostawiali w celi, gdy śledczy nie chciał przerwać. Miałem przez cały czas jednego śledczego.

Czy byłem szantazowany? Nie. Trudno mnie było wówczas szantazować jakimś sprawami osobistymi czy rodzinnymi. Tu wszystko było jasne. Ojciec wyrzucony z pracy następnego dnia po moim aresztowaniu, matka na rencie inwalidzkiej, brat dopiero co ukończył szkołę. Innej rodziny nie miałem. Nie bito mnie i nie aranżowano bicia w celi przez podstawionych więźniów.

Młyn przesłuchań robił jednak swoje. Akta kolegów również. Także przerażenie W.Z. i B.G., z którymi przez kilkanaście dni śledziłem. Zwłaszcza zarzuty i powaga, z jaką je traktowano ("obcy wywiad"). Pierwszym krokiem było przerwanie milczenia, skończenie z formułą "odmawiam odpowiedzi na to pytanie". Postanowiłem mówić o sobie i tylko o sobie. To był początek końca, utrata samokontroli.

W tym młynie przesłuchań, po kilku karcerach i "tygrysówce", moja odporność psychiczna malała. Nie zdając sobie z tego sprawy, wkraczałem w fazę kryzysu. Sądziłem, że jestem silny, że kontroluję to, co mówię. Wydawało mi się, że gram z oficerem śledczym, że to ja mu prowadzę śledztwo, a ten profesjonalnie spokojnie mną kierował. Był niezłym psychologiem i wiedział, że nie można mnie przyduszać do muru, że zadanie deklaracji o winie i chęci skruchy wywoła alarm. Wybrał inną taktykę: wyjaśniania różnicy poglądów, opisu stanowisk. Rekonstruował wizerunek naładowanego ideologią "małolata" (taki był mój status, zgodnie z regulaminem więziennym), sfustrowanego ("syjonistyczna zdrada!") i lojalnego "wierze". I wtedy pojawił się deser.

Zebrano już w śledztwie wiele informacji, po części z "działań operacyjnych", po części od ludzi. Wiedzieli już dużo, nawet bardzo dużo. Ale nie to było najważniejsze. Dla mnie zachowali akta z pierwszego śledztwa Kuronia i Modzelewskiego (zeznania innych ludzi) oraz materiały dotyczące jednej z koleżanek na temat kontaktu z człowiekiem z "Wolnej Europy".

Dzisiaj sprawa kontaktów z dziennikarzami zagranicznymi czy emigracyjnymi instytucjami wydaje się sprawą oczywistą, wręcz nudną. W 1968 roku to była afera, skandal, śledztwo i procesy. Dla mnie kontakt z kimś z RWE, kontakt świadomy, to była sprawa wręcz zdrady narodowej (z Henry Kammem z "New York Timesa" Adam Michnik i ja

rozmawialiśmy przede wszystkim na temat... Wietnamu!). Było to coś, czego nie akceptowałem, wstrząs. Przecież definiowałem się wówczas jeszcze jako młody zbuntowany komunista, który za wiarę został wsadzony do więzienia, i w związku z tym nie chce mieć nic wspólnego z jakimiś tam reakcyjnymi tytkami śledzącymi w RWE: pisarz, nie pisarz — nie chcę! (Aż do początku marca nie przyznałem się przecież ojcu, że rozmawiałem z Marguerittem, choć to, co mu z Adamem przekazaliśmy, było suchą informacją o demonstracji pod pomnikiem Mickiewicza i o wystąpieniu z partii Brussa i Baumana! Bałem się jego reakcji i sam czułem się paskudnie.) (...)

Byłem przerażony. Byłem przerażony całą tą lekturą wzmacnianą przez nieustannie powtarzane indagacje na temat "żydowskiego śladu" czy innych kontaktów "z obcymi przedstawicielami". Zdjęcia Włochów, Amerykanów... Znajomy z Uniwersytetu, Indus Peter Raina, to "agent amerykański" itd. I moja reakcja: jak to, ja, który występowałem jako lewicowiec i zwolennik socjalizmu, jestem związany z emigracją, prawica? Gdzieś w aktach jest mój — zabrany podczas kłótni — tekst zatytułowany, jeśli dobrze pamiętam, "Dlaczego jestem Żydem?", gdzie to przerażenie i wściekłość zarazem, kierowane pod adresem obu stron, pojawiają się najwyraźniej. Wracano do sprawy jeszcze z czerwca 1967, kiedy to, po wybuchu wojny sześciodniowej, prezes cenzury Słemek pokazał mojemu ojcu zdjęcia świadczące jakoby o tym, że pomaszerowałem do ambasady Izraela, aby zgłosić się na ochotnika do armii Dajana. Ordynarny falsyfikat. Po 8 marca do tego wrócono.

W tej sytuacji mój jedyny "program" sprowadził się do prostego odruchu: nie przyznać się do winy, nie wyrazić żadnej skruchy, nie dać się wepchnąć w jakieś oskarżenie o "podziemną", nielegalną działalność.

Proces i po procesie

Lektura akt, przed zakończeniem śledztwa, była strasznym przeżyciem. Z wyjątkiem kilku osób — reszta to masakra. W tym moje akta. Czytałem je obojętnie. Wydawało mi się, że nieprzyznanie się do winy, odrzucanie zarzutów jest patentem na spokojny sen. Czy myślałem o odwołaniu wszystkich zeznań? Przez moment. Po jednym z pierwszych widzeń z ojcem. "Co ty najlepszego zrobiłeś?" To nie odnosiło się do aresztowania. To dotyczyło śledztwa. A później wróciłem do lektury akt.

W trakcie tej lektury — Czechosłowacja. Gazety docierały już do cell w zasadzie bez "firanek". Odczytywałem kierunek tej propagandy. Z perspektywy Mokotowa jawił mi się jako realna groźba najgorszego u nas w kraju. Zresztą oficerowie i prokurator spieszyli się. Proces "siódemki" miał być procesem wielkim: z konspiracją i zdradą kraju (art. 5 z byłego MKK dla Michnika i dla mnie). Sądziłem, że odwoływanie zeznań, o co ojciec mnie prosił, nie jest najlepszą metodą. Nie przyznaję się i nie odwołuję zeznań — tak to sobie koncykowałem — jako forma testu dla odmowy przyznania się do "zdrady" i udziału w "nielegalnej organizacji". Było to bardzo naiwne: że być może chodzi tu jeszcze o jakąś prawdę materialną, o wykazywanie, że działając w nieformalnej grupie, bez żadnej struktury czy instytucjonalnej hierarchii, jawnie i na oczach wszystkich, nie mogliśmy stanowić "nielegalnej organizacji". I jednocześnie ta zawziętość, z jaką odcinałem i siebie, i resztę kolegów od jakichkolwiek związków z S.

Kwestią czysto charakterologiczną było opacznie rozumiane poczucie śmieszności. W skrócie: nie będę robił z siebie wariata, nie będę markował załamania nerwowego, aby zrzucić z siebie śledztwo. To wzmacniało całą tę, postawioną na głowie, logikę działania, jaką przyjąłem od chwili, gdy zacząłem składać zeznania. Proces, który odbył się już w całkiem innej sytuacji politycznej, wyraźnie wyciszony, spowodował, że ten czynnik zaczął odgrywać z wolna pierwszoplanową rolę. Nie potrafiłem odwołać zeznań, gdy widziałem, w jaki sposób są one odwoływane. Po prostu nie potrafiłem. Trzymałem się z dzikim uporem raz przyjętej linii postępowania, bez oglądania się na boki, na konsekwencje, na reakcje ludzi, na wszystko.

Oczywiście — mówię to dzisiaj — rację mieli ci wszyscy moi koledzy, którzy zarzucali mi, że zeznań nie odwołałem. Mielł rację podwójnie. Byłoby to bowiem z korzyścią dla sprawy. I dla mnie samego. Tym bardziej, że nie chodziło o fakty zawarte w zeznaniach, lecz o sam ten fakt, rytuał zeznań. O to, że stwarzały one legitymację dla oficera śledczego, dla sądu, dla władz: że ktoś z nimi prowadził dialog czy spór, że są jakieś różnice polityczne między ludźmi śledzącymi na ławie oskarżonych. O to chodziło, a nie o

Zanim jednak przyszło lato, zdarzyła mi się kolejna zabawna historia. Przed Marcem, w którymś teleturnieju, wygrałem wycieczkę do Związku Radzieckiego. No i już po wszystkim, w maju, poszedłem do Rady Uczelnianej ZSP, gdzie miałem kolegów, i mówię, że chcę jechać. Oni na to, że nie mają już miejsc do Związku Radzieckiego, ale mają do Czechosłowacji. Więc ja – że jadę. I składam papiery na paszport, ani przez chwilę nie wierząc, że mi go dadzą. Czekam w domu na odmowę, ale że nie przychodzi, więc na dwa dni przed terminem wyjazdu idę do ZSP z pyskiem. A tam był paszport. I byłem w Pradze tuż przed inwazją!

Praga wówczas była zupełnie cudowna, miałem uczucie, że to miasto oddycha. Atmosfera przypominała trochę polski Październik – tłumy ludzi, wszyscy mieli do siebie totalne zaufanie, wspaniałe rozmowy, przyjaźnie, wizyty po domach. Więc tym bardziej dostałem w czapę 21 sierpnia. Chciałem jechać do Czechosłowacji i tam przez radio krzyczyć do polskich żołnierzy, żeby się wycofali. No, głupi pomysł, szalony, ale bardzo chciałem coś wtedy zrobić, a nie wiedziałem co.

Zaraz potem z kilkoma osobami – z Bogusią Blajfer między innymi – powielaliśmy ulotki przeciw inwazji. To już nie było jak w Marcu, na maszynie, tylko cała technika – wyzmaczka i spirytusowe ceregiele. Rozrzucaliśmy te ulotki, a jesienią prawie cała grupa wpadła. I cholera, znowu beze mnie. Dopiero w grudniu zaczęli mnie wzywać na przesłuchania – oczywiście igałem, że nic nie wiem, dzieckiem się zajmuję, nikogo nie znam i już. Zrobili rewizję w domu, ale niczego nie znaleźli. Tylko się namęczyli. Z naszym synem, który cały czas lał im w ręce, przekonany, że jak ludzie przychodzą do domu, to po to, żeby się z nim bawić; z moją mamą, starą komunistką, która zaczęła im wymyślać; z naszą panią do dziecka, bardzo prostą kobieciną, której kazali podpisać protokół jako świadkowi, a ona wypytała się dokładnie co właściwie ma podpisywać, stwierdziła, że żadnej brutalności rzeczywiście nie było, bo brutalne rewizje to ona widziała jak gestapo podłogi rwało, a tu nic z tych rzeczy.

W styczniu zaczęły się procesy "komandosów", na które chodziłem obowiązkowo jako widz. Moja sprawa ciągnęła się, wezwano mnie jeszcze raz wiosną na przesłuchanie. Ale ponieważ pani prokurator Bardonowa pouczyła mnie już, że jako obwiniony nie mam obowiązku składania zeznań, rzeczywiście nie zeznawałem. Prowadziłem tylko jakieś idiotyczne rozmówki z oficerem, który namawiał mnie, żebym przestał chodzić na procesy. Ostatecznie w lipcu przysłał mi papłerek, że z amnestii moją sprawę umarzają, od czego mogę się oczywiście odwołać i żądać procesu, jeśli chcę. "Na zawiadomienie służy zażalenie" stało tam napisane w soczystej polszczyźnie.

Marzec nie skłonił mnie do zmiany zdania na temat mojej tożsamości. Te sprawy miałem już dawno wyjaśnione. Czułem się po prostu stuprocentowym Żydem i stuprocentowym Polakiem. Jednocześnie. I nie było w tym fałszu czy problemu. Te dwie rzeczy istniały na innych planach. Pamiętam, jak poczułem swoją polskość w momencie inwazji na Czechosłowację: wstydziłem się, czułem, jakby napluto mi w twarz. A żydostwo? Było na planie uczuciowym, sentymentalnym. To nie miało nic wspólnego z religią, krwią, rasą. Natomiast wiele – z tęsknotą za kulturą, za czymś, czego już nie ma. Tak jakbym się czuł... zobowiązany wobec prochów – choć to strasznie patetycznie brzmi. Prawdopodobnie gdyby środowisko żydowskie przetrwało w Polsce wojnę, kompletnie bym je ignorował. Ale jego już nie było.

Bliska mi była kultura żydowska, która widziała swoje miejsce w Polsce, w tym właśnie miejscu geograficznym, nie w żadnym Izraelu.

Do religii żydowskiej zaś odnosiłem się przez długi czas wręcz z niechęcią. To się wzięło zapewne i z tego, że kiedyś, gdy byłem siedmiolatkiem, na żydowskich koloniach organizowanych przez prewentorium, w którym pracowała mama, wychowawca próbował wprowadzać praktyki religijne. Pamiętam, jak przy jedzeniu wciśnięto mi tam na głowę niby-jarmużkę zrobioną z gazety. Strasznie się czułem upokorzony.

Do dziś z pewnym dystansem odnoszę się do każdej religii. Nie do religii jako wzoru wartości czy osobistego kontaktu z Bogiem, ale do religii zinstytucjonalizowanej, do rytuału. Kiedy mieszkałem jeszcze blisko Krakowskiego Przedmieścia i widziałem na przykład w Boże Ciało tłumy przed kościołami, zastanawiałem się ile w tych ludziach jest rzeczywistej miłości bliźniego i jak reagowaliby na przykład na moją wśród nich obecność – dosyć prowokacyjną przez mój wygląd.

Antysemicki obłąd w zasadzie mnie w Marcu nie dotknął. Przeciwnie, w otoczeniu spotykałem nawet szczególnie ładne zachowania — i to tam, gdzie się ich wcale nie spodziewałem. Typowa sytuacja: sąsiad, którego miałem za mieszcucha z ceizusem akademickim, co to różne rzeczy olewa, zarabia pieniądze i na dodatek nie najlepiej traktuje żonę — nagle przyszedł i mówi, że on pluje na to wszystko, co teraz wypisują i chciałby, żebym to wiedział. Do tego stopnia był ze mną, że kiedy już spodziewałem się rewizji, u niego właśnie schowałem jakieś zdjęcia, na których był choćby cień Józka Dajczgewanda, który był na tapecie dużo bardziej niż ja i siedział już wtedy.

Właściwie tylko jeden człowiek zawiódł mnie od tej strony: jego żona śpiewała w Hybrydach, a on sam był jak ja — dziennikarzem bez specjalnego przydziału i sympatycznym, trochę rozbitym nieudacznikiem z dużym czarem. Zaprzyjaźniliśmy się w rozgłośni harcerskiej, która w latach sześćdziesiątych próbowała prowadzić pracę u podstaw. To był Jerzy Małczyński, który wyraźnie konlunkturalnie ustawił się po drugiej stronie.

Do 1967 roku w ogóle nie wyobrażałem sobie, że mógłbym kiedykolwiek wyjechać. Rzeczywistość, w której żyłem, była moja, przyjmowałem ją. Po wojnie sześciodniowej, kiedy już wyleciałem z pracy, zaczęła mnie zastanawiać taka dziwna korelacja: jeżeli pan Naser ma nieporozumienia z panem Dajaniem, to dlaczego pan Moczar kopie mnie w dupę. Za przeproszeniem. W Marcu, zwłaszcza od przemówienia Gomułki, które widziałem w telewizji, zaczęło mi się to wszystko kojarzyć głównie z *partei-tagami* w Norymberdze. Ale nawet wtedy nie miałem jeszcze myśli na temat wyjazdu. To się zbierało powoli.

Po Marcu studia były już zupełnym marginesem — ostatecznie zrezygnowałem z pisania pracy magisterskiej. Trochę mnie bolało, że nie umiem się do tej pracy zabrać, ale temat już nieszczęśliwie mnie interesował, no i chyba ostatecznie uznałem, że nie nadają się na naukowca, który siedzi i kompletuje fiszki. Praca miała dotyczyć małej miejscowości na wybrzeżu Morza Czarnego, a ja nawet nie mogłem tam pojechać, czyli pisałbym tylko na podstawie kilku radzieckich książek naukowych. Nie miałem na to dość parę.

Żona pracowała jako elektronik w "Tewie", ja zarabiałem jakieś pieniądze pisząc pod pseudonimem recenzje czy robiąc tłumaczenia do tego pisemka, z którego mnie wyrzucili — koledzy wciąż dawali mi robotę. W oczach środowiska żydowskiego urosłem — jako ten, który napyskował, więc chociaż stąd musieli mnie wyrzucić, czuli się zobowiązani do pomagania mi. Po Marcu, po wyjeździe Idy Kamińskiej i części zespołu, Teatr Żydowski jednak nie został zamknięty, więc Berger dał mi tam etat. Był zaskoczony, kiedy powiedziałem mu, że nie znam żydowskiego, ale ostatecznie tłumaczyłem do słuchawek na polski znając mniej więcej teksty sztuk.

W gruncie rzeczy byłem jednak prawie bez pracy, a w każdym razie z pracą niepewną i trochę bez sensu. W kraju było ciemno i ponuro, żadnej szansy na dostrzeżenie "światełka w mroku" — Gomuła tak trwał i trwał, było coraz gorzej, studnia się pogłębiała, paraliż. Każdą próbę działania z mojej strony można było ustawić w podejrzanym świetle tylko dlatego, że jestem z pochodzenia Żydem. Każda próba mojego działania mogła też — obiektywnie — szkodzić sprawie czy wartościom, z którymi czułem się związany. Moje nazwisko wciąż grało. Tak mi się w każdym razie wówczas wydawało.

Nie widziałem środowiska, w którym mógłbym znaleźć wsparcie — ludzie byli poróżbieni, siedzieli w więzieniach. I wtedy zwątpiłem w sens życia tam.

Inni zostawali. Ale ja nie wiedziałem, jak tam żyć. Przez swoje zainteresowania humanistyczne, przez zaangażowanie w literaturę, teatr, jestem osobnikiem dosyć społecznym. I nie mogłem się przekwalifikować na inżyniera czy kogoś, kto mógłby swoją aktywność ujawnić w sposób mniej czy publiczny. Nie mogłem też iść do pracy fizycznej, bo przecież — po wypadku w dzieciństwie — nie mam dłoni.

Myślałem tak: w tym kraju wytrzymać się nie da, czyli trzeba coś zmienić, ale zmienić nie można. I dalej: w tym kraju zmienić nic nie można, ale zmienić coś trzeba. No i tu jest mój wyjazd. Nie wyjazd do Szwecji, ale wyjazd z Polski. Szwecja była o tyle istotna — tak mi się wydawało i to się potwierdziło — że to będzie kraj, w którym nikt mnie nie będzie chciał określać. Nie cierpię zmuszania mnie do patriotyzmu; a wydawało mi się, że w

Szwecji będę mógł być tym, kim chcę. Żydem, Polakiem — nieważne. I że będę fizycznie blisko Polski. Stąd taka decyzja.

W grudniu 1969 siedzieliśmy więc w przedziale pociągu w liczbie trzech i pół osoby, z zielonymi kartonikami złożonymi na pół — każdy z "oświęcimskim" zdjęciem i napisem, że posiadacz niniejszego dokumentu nie jest obywatelem polskim. Wywoziliśmy książki, trochę bielizny. Mimo wszystko, mimo że większość formalności przed wyjazdem załatwiliśmy bezboleśnie, byłem mocno trzepnięty. Wiedziałem, że to jest wyjazd na dobre. Co nie znaczy, że myślałem: nigdy tam nie wrócę.

Te trzy i pół osoby to byłem ja, moja żona, prawie czteroletni syn — Zaczek i Adaś, który urodził się pięć tygodni po wyjeździe, czyli w Szwecji, ale potem mówił o sobie zawsze, że jest *made in Poland*. Adaś urodził się na obozie językowym, gdzie znaleźliśmy się z małą grupą Polaków.

Po ponad trzech miesiącach obozu trafiliśmy do Lundu — pięciu miasta, gdzie już Polaków była masa. I gdyby nie to, zapewne o wiele gorzej przeżyłbym szwedzkie początki.

W naszym domu były książki, dzieci, no i my zawsze w nim byliśmy, więc zrobiło się u nas centrum — przynajmniej osiedlowe. Zawsze byli ludzie, coś się działo — choćby bał z polonezem i bigosem. Czasami było to nawet męczące, ale ułatwiała adaptację. I w tym małym kawałku świata była może nie radość, ale świeżość tworzenia nowego życia. W kraju obcym, ale przecież nie wrogim, przeciwale — przyjaznym, uczynnym.

W środowisku emigracyjnym od razu właściwie zarysowały się trzy orientacje: propolska, proizraelska i proszwedzka. Ja byłem zdecydowanie w propolskiej i powiedziałbym nawet, że w antyizraelskiej.

To co było mi najbardziej obce, to jakies niedobre układy między ludźmi starszymi — odzywki "ty ubeku" należały wśród nich do kanonu zachowań towarzyskich. Była też spora grupa młodych, dla których Polska skurczyła się do obszaru między Pałacem Mostowskich a Rakowiecką. To byli ci, którzy mieli własne niedobre doświadczenia, ale i tacy, którzy wyjechali na fall ogólnej psychozy, hysterii i odrzucenia. Styl nadawała jednak ta grupa, z którą byłem najbliższy — myśmy nie czuli się odrzućeni. Wyjechaliśmy, nie godząc się świadomie na tamto życie albo dlatego, że to życie było zwyczajnie niewygodne. Nie gorzknieliśmy i to było w Lundzie fajne. Dlatego trochę załowałem, kiedy musieliśmy stamtąd wyjechać.

Studiowałem tam historię współczesną. Trójkat: Związek Radziecki — Polska — Czechosłowacja po wojnie. Pisałem pracę o czechosłowackich środkach masowego przekazu w 1968 roku. Potem rok literaturoznawstwa — bo tu się kompletuje studia inną dyscypliną. Studiowałem, dostawałem jakies nieduże stypendium, z którego zyliliśmy całkiem przyzwolcie, bo niewiele nam do życia potrzeba: książki dostawaliśmy z Polski, tę odrobinę alkoholu, który piję — też. Moja żona miała prace zleczone, nawet dosyć ciekawe, ale było o nie ciężko, więc kiedy w 1975 roku dostała ofertę ze Sztokholmu, z koncernu Ericssona, nie było wyboru, przenieśliśmy się.

W Sztokholmie przez rok właściwie obijałem się szukając pracy — z humanistycznym zawodem, w moim wieku, to nie było łatwe. W końcu dostałem z urzędu zatrudnienia etat archiwalny, z którym mogłem pójść na Uniwersytet. I cały czas mam ten etat — pracuję w Zakładzie Kultury i Życia Społecznego Starożytności, co nazywam krócej Zakładem Życia Towarzystwskiego tejże. Kiedy mnie pytają, co tu robię, mówię najczęściej, że parzę dobrą herbatę. Chociaż jestem nawet blisko tego co studiowałem w Polsce: zajmuję się archiwum z przedzrociami, kompletuję potrzebne zestawy, tkwię w literaturze przedmiotu, tłumaczę sporo polskich tekstów naukowych na szwedzki. Nie jest to żadna praca naukowa ani dydaktyczna, raczej techniczna. I po dwunastu latach, jak się łatwo domyślić, już mnie tak bardzo nie satysfakcjonuje, a nawet trochę nudzi. Ale zawsze mam książki, mam co robić.

Nie ma we mnie takiego żalu, że gdybym został w Polsce, mógłbym być wspaniałym archeologiem, naukowcem — wiem, że to nieprawda. Jeżeli mi żal, to tego, że mógłbym teraz w Polsce pisać, do kabaretu, do teatryku, do gazetek. Myślę, że pisałbym wszystko, może poza powieściami produkcyjnymi.

Zawsze tkwiłem dość mocno w środowisku emigracji, choć zorganizowanym życiem

emigracyjnym nie żyłem nigdy. Nie zależy mi specjalnie na kontaktach z ugrupowaniami o sprecyzowanych poglądach politycznych, natomiast zupełnie mi nie przeszkadza, jeśli mnie takie grupy — od narodowo-katolickich do socjalistycznych — zapraszają na jakiś wieczór, gdzie mam pośpiewać.

Nawet do PPS-u się tutaj nie zapisałem, chociaż — jakby to kogo nie gorszyło — zostałem przy swoich socjalistycznych poglądach.

Kiedyś, jeszcze w Lundzle, założyłem wspólnie z Czechami Grupę 68 — później miało się to przekształcić w Socjalistyczny Komitet Europy Wschodniej. Ale jakoś mało było ludzi, potem, już w Sztokholmie, był pomysł kontaktów tej grupy z Uppsalą, ale wmieszali się w to jacyś trockiści i nagle takie mi się to wydało odległe od moich pomysłów, że dałem spokój. Nie lubię organizacji. I nie lubię być zmuszany do dzielenia poglądów, które — choćby w szczegółach — nie odpowiadają mi.

Co innego grupa, którą zawiązaliśmy w 1977 roku — wyraźnie zadaniowa, nastawiona na bardzo konkretne działanie, bez określonych celów politycznych. W Polsce powstał KOR, a myśmy tu rzucili hasło "Wszystko dla Polski". Ja wołałem w różnych miejscach, że "kraj czeka na maszyny" i nawet to jakoś szło.

Bardziej czynny byłem zawsze w sprawach kultury. Jeszcze w Lundzle wskoczyłem w Towarzystwo Przyjaciół "Kultury", które miało dosyć efemeryczny żywot, potem, kiedy środowisko moich przyjaciół i znajomych stworzyło "Aneks", tłumaczyłem dla nich trochę z rosyjskiego. W Sztokholmie przez dwa lata prowadziłem kabaret, który potem zapączkował kilkoma innymi inicjatywami. Ja sam ze swoim pisanem i śpiewaniem mam w Klubie Polskim jakąś pozycję, przygotowuję różne imprezy, daję się ludziom pobawić i trochę zamyślić.

Nie odczuwam braku kontaktu z tym, co dzieje się w Polsce, z językiem, z tym co wisi w powietrzu, a ludzie rozumieją w pół słowa. Ciągłe ktoś przyjeżdża, dochodzą kasety, taśmy, pisemka. Czasem mi się wydaje, że jestem znacznie lepiej zorientowany w wielu sprawach niż ludzie tam. Przyjeżdża do mnie na przykład ktoś, kto tkwi w kabarecie, słyszy u mnie taśmę czy poznaje kogoś, o kim nie wiedział, że w ogóle w kraju jest. W ten sposób mam poczucie uczestnictwa. I jeśli odczuwam jakiś rodzaj oderwania od Polski, to tylko w sensie fizycznym, nie duchowym.

Próbowałem do Polski jeździć. I dwa razy mi się udało. Najpierw w 1976 roku, latem. Historia zabawna, choć długa.

Zaraz jak tylko dostaliśmy paszporty, wysłałem chłopców, bo wiedziałem, że ich nie zatrzymają na lotnisku, natomiast obawiałem się, że mnie mogą i wtedy odesłałby nas wszystkich. Moi rodzice czekali na dzieciaki w Warszawie, chłopcy nie mieli kłopotów.

Sam poszedłem do konsulatu polskiego, żeby wbił mi stempel dający ulgę w obowiązkowej wymianie. Jeden pan kręcił głową, wzywał drugiego pana i wciąż im wychodziło, że stempla wbić nie mogą. Bo nie jestem polskiego pochodzenia i wyjechałem z Polski do Izraela — tłumaczyli mi w Sztokholmie, stolicy Szwecji. Straszyli mnie, że ja w ogóle do Polski jechać nie mogę. Więc wymyśliłem sobie, że pojedę przez NRD i Czechosłowację — może łatwiej się przesznuję.

Tylko nie wziąłem pod uwagę, że w kadeelach nie bardzo można cokolwiek planować. W Berlinie owszem, czekał na mnie pociąg do Pragi, tyle że stała przy nim *eine grosse deutsche dame* i żądała *platzkarty*. Ja jej mówię, że wagon pusty — ona swoje, ja jej, że zapłacę — ona wciąż to samo. Aż pociąg pojechał, a ja zostałem na peronie. Dworzec był wschodni, Berlin był wschodni i Niemcy były wschodnie, więc na wszelki wypadek postanowiłem uciec stamtąd jak najszybciej. Pojechałem do Drezna i nauczony doświadczeniem ustawiłem się w kolejce po *platzkartę*. Jak panienka w kasie ustyszała, że na dzisiaj, wycedziła tylko, że *keine* i tyle. Wściekły odszedłem od okienka, ale ustyszałem, jak zapowiadają pociąg Erfurt — Wrocław. Więc myślę: oleję tę Pragę, jadę.

Pociąg stanął w Goerlitz: jakaś wiata, wagon bez przedziałów, prawie pusty, ponuro. Wszedł polski wopista i o dziwo — puścił mnie. Zaraz za Mostem Przyjaźni na Nysie poszedłem do wagonu restauracyjnego. Wisiała kartka, że flaki, więc zamówiłem. I kiedy facet powiedział, że żadnych flaków nie ma, a to co wisi to jest cennik, a nie jadłospis, to już wiedziałem, że jestem w Polsce.

Nerwowa wtedy była, bo to zaraz po Radomiu. Chciałem podwiedzać znajomych, ale trochę się bałem, żeby z moimi chłopcami nie wpaść bez sensu no i — znów stara, marcowa

obawa: żeby swoją obecnością nie zaszkodzić. Ale ostatecznie spotykałem się z ludźmi.

Z pewnym moim przyjacielem o głośnym już wtedy nazwisku umówiliśmy się konspiracyjnie na tarasie kawiarni "Sejmowej", ponieważ on zaraz udawał się po wizę do ambasady francuskiej, dwa kroki. Zaproszenie miał od Jean Paul Sartre'a, więc mu się tam w pas kłaniał. A dla dopełnienia konspiracji poszliśmy jeszcze razem spacerkiem do biura paszportów na Kruczą. Nagadaliśmy się i ja pojechałem do kolejnego znajomego, na Wołę. I tam, w holu domu, podchodzi do mnie mundurowy i powiada: "Obywatelu, pan ubliżył kobiecie". Jakiej kobiecie — nie wiem. On też. Dowodu osobistego nie mam, on głupieje. Zawłókł mnie w końcu na komendę przy Wallców, tam mi ostatecznie uwierzyli bez dowodu, że ja to ja, ale dalej nie wiedziałem, o co chodzi. I dopiero mi znajomi wytłumaczyli: spotkałem się z Adamem i oni chcieli z pewnością wiedzieć, kto się z nim spotyka. A ja im wypadłem z obłędu w ciągu tych siedmiu lat.

Potem byłem w Polsce w grudniu tego samego roku. I w domu u rodziców czekało na mnie wezwanie do MSW — takie samo jak kiedyś na przesłuchanie. Na wszelki wypadek powiedziałem o tym w szwedzkiej ambasadzie i poszedłem. A tam ni mniej, ni więcej tylko officer zaproponował mi współpracę. Najpierw wypytywał, po co przyjechałem, potem interesował się żywo tym, ile pieniędzy przywieźłem dla KOR-u, potem kokietował, że pokaże mi, co ma w jakiejś teczce. Znowu uczepił się mojego imienia — że jak ktoś przyjeżdża i mówi — Jestem od Natana — to nieźle brzmi. No ale co: miałem to imię zmieniać? Mój Boże, urodziłem się pod tym imieniem i nazwiskiem, to już tak zostanie, co mi przeszkadza. Przecież w końcu moi rodzice 36 lat temu, w mieście Witebsku, nie wymyślili mi imienia po to, żeby temu ubekowi zrobić na złość. W końcu powiedział, o co chodzi: że jak chciałbym tu przyjeżdżać, to oni mi to mogą ułatwić albo utrudnić. Mówię facetowi, że jeśli chodzi o cenę, to płacę tu dwanaście dolarów dziennie i na tyle się godzę, chociaż to jest dużo. Spochmurniał, żeby zaciągnąć i poradził mi, żebym serdecznie się pożegnał z rodziną, bo już szybko do Polski nie przyjadę.

I rzeczywiście. Potem zdejmowali mnie parę razy z pociągu, raz odeszli z lotniska. W końcu przestała mnie ta harcerska przygoda bawić i dałem spokój.

Za "Solidarność" aż mnie koczyło, żeby przyjechać. Miałem być nawet gościem zjazdu NYS-u, ale do niego nie doszło. Parę razy dzwoniłem wtedy do konsulatu, bo nie chciało mi się już jechać na wariata — mówili: nie wpuscimy i machałem ręką.

I teraz jest tak, jak w moim wierszu:

"Czemu dzwonię? No tak, przy jesieni.

Rankiem twarz mi chłódzą pajęczyny.

Nie przyjadę. Twarde skurwysyny.

Choć pan konsul ogromnie mnie ceni,

bowiem polską kulturę tu krzewię,

czemu wicy dać nie chcą — on nie wie.

— Wie pan, coś tam w trybach się zatario...

Należ stary pół setki, i w gardło."

Tak pijemy czasem przez telefon z moim przyjacielem z Polski, Sławkiem Kretkowskim.

Nigdy nie myślałem, że mój powrót jest niemożliwy. Wiem, że teraz jest to możliwość bardziej teoretyczna niż praktyczna, ale nie chciałem jej sobie odcinać. I myślę, że gdybym ją zupełnie skreślił, byłoby mi tu o wiele trudniej.

Tak, mam obywatelstwo szwedzkie. Przyjąłem je po siedmiu prawie latach pobytu, głównie ze względu na wygodę. Nie widziałem powodów, dla których miałbym tu być na innych warunkach niż większość ludzi stąd.

Teraz nic się już specjalnie nie musi stać, żebym mógł sobie wyobrazić moje życie w Polsce. Żebym mógł tam być. Właśnie dlatego, że istnieje całe równoległe życie społeczne i kulturalne i ja miałbym co robić. To by mi wystarczyło. Bo przecież nie muszą mieć tych wszystkich wolności obywatelskich, które mam tu. Mogę sobie wyobrazić, że dzielę wasz los.

Pewnie, przywykłem tu do jakiejś wygody i powrót nie byłby łatwy. Ale zawsze mówię, że mój segment nad jeziorą mogę zamienić na M-3. Na M-2 to nie wiem, ale na M-3 — spokojnie.

Bo tamto miejsce jest moje.

Rozmawiała i przygotowała do druku Ewa Zylirska

Nie chcę być kimś innym

Aresztowali mnie 11 czy 12 marca. Szedłem korytarzem mokotowskiego więzienia, zza kolejnych drzwi wychylali się z niedowierzaniem ubecy i patrzyli na mnie jak na dzikiego zwierza, którego udało się złapać do klatki. Była wokół mnie atmosfera grozy. Moje nazwisko przewijało się w ulotkach rozrzucanych przez bezpiekę jeszcze przed Marcem, pojawiało się od początku w marcowej prasie.

Mój ojciec nazywa się Szloma. Szloma Dajczgewand. Uważa się za polskiego Żyda i nigdy nie zmienił imienia ani nazwiska. Przez całe życie był krawcem. I należał do partii komunistycznej.

W 1939 roku moja rodzina znalazła się na terenach sowieckich i została ewakuowana do centralnej Azji. Urodziłem się blisko granicy afgańskiej. Rodzice opowiadali, jak tam było, więc od małego miałem bardzo sceptyczny stosunek do wszystkich tych doktrynalnych rzeczy. Po powrocie do Polski ojciec trzymał się z boku, nie miał żadnej partyjnej funkcji, był rzemieślnikiem. Tuż po wojnie dostał pracę w zakładach krawieckich więzienia w Sieradzu. I ja wychowywałem się na terenie więzienia. Tak że Rakowiecka była dla mnie jakby powtórką z dzieciństwa. Znałem to już.

Pierwsze przesłuchanie było dosyć ostre. Traktowali mnie jak agenta wywiadu izraelskiego. Część ubeków była chyba przekonana, że wszyscy Żydzi na świecie postawili sobie wrogię Polsce cele, że ktoś tym kieruje i że ja doprowadzę ich po nitce do kłębka. Postanowiłem w ogóle nic nie mówić i tylko usiłowałem "kontrolować" tę sytuację. Wybrałem sobie jednego z nich — szczególnie antypatycznego faceta, który obrzucał mnie obelgami — i patrzyłem mu w oczy. To była taka walka o władzę. W końcu on się wycofał.

A w celi właściwie od początku zachowywałem się jak stary więzień. Zacząłem "kopsać grypsy", pukać w ściany i rozmawiać przez kibel. Traktowali mnie przez to dosyć ostro i w sumie trzy miesiące spędziłem w kabarynie. Jakoś sobie z tym radziłem rozwiązując matematyczne i filozoficzne problemy. Korzystałem z niezłej więziennej biblioteki, po jakimś czasie zacząłem też dostawać książki od bliskich. I ćwiczyłem jogę.

Przez dziewięć miesięcy siedziałem w celi z psychopata. Kiedy nam kogoś "dokładali", nowy po tygodniu nie wytrzymał i prosił, żeby go przenieśli gdzieś indziej. A ja nauczyłem się z tym psychopata dogadywać: robiłem mu seanse spirytystyczne i opowiadałem bajki. Po dziewięciu miesiącach uznałem jednak, że już tego wystarczy, urządziłem głodówkę i znalazłem się w innej celi.

Na Rakowieckiej, trzydzieści metrów ode mnie, siedziała moja dziewczyna, Sylwia Poleska. Pisaliśmy do siebie listy, które z celi do celi *via* cenzura więzienna — szły czasem miesiąc. Sledziła też wiele innych bliskich mi osób. W pewnym momencie zorientowałem się, że niektórzy z nich zaczynają się łamać w śledztwie. Ja na przesłuchaniach prawie cały czas milczałem i zaskoczyło mnie, że część przyjaciół nie wytrzymuje. Wtedy sam znalazłem się w punkcie kryzysowym. Siedziałem akurat w kabarynie i paliłem po sześćdziesiąt papierosów dziennie — pierwsze papierosy w moim życiu. Pamiętam, że rozmawiałem przez okno z Adamem Michnikiem i zastanawiałem się, czy zacząć zeznawać. Doszedłem do wniosku, że jednak nie. Siedziałem więc na przesłuchaniach w kompletnym milczeniu, nawet nie chciałem podpisywać protokołów. Oni notowali: "Oskarżony ruchem głowy dał do zrozumienia, że nie podpisze". Potem w ogóle przestali mnie brać na przesłuchania.

Kiedy ja siedziałem, mojego ojca wyrzucili z partii, ale jeszcze wcześniej żądano, żeby oficjalnie, na zebraniu, odciał się ode mnie. Nie zrobił tego.

W domu — w Łodzi — było kilka rewizji. Siostra zaangażowała się w ruch pomarcowy, ojciec nauczył ją drukować ulotki na wyżymacze — wyrzucili ją ze studiów. Większość żydowskich znajomych odsunęła się od mojej rodziny — ludzie znów zaczęli bardzo się bać — chociaż było też wiele miłych zachowań. Studenci z Uniwersytetu Łódzkiego zebrali jakieś pieniądze i przekazali mojemu ojcu. Sąsiad, milicjant z porządnej katolickiej rodziny,

Tekst przygotowany na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Sztokholm, 1988).

To jednak, co było dla mnie najważniejsze, to była sprawa przerwania kontaktu z przyjaciółmi, z ludźmi bardzo bliskimi. To się wydawało nieodwołalne, w tym sensie, że być może niektórych z nich widzę ostatni raz. I moja historia pokazała, że rzeczywiście z niektórymi nie byłem się już w stanie zobaczyć. Może dla tych, którzy potem mogli do Polski przyjeżdżać, straciło to swój dramatyczny wymiar. Ale ponieważ ja nie mogłem przyjechać, dla mnie takie jest to nadal.

Próbowałem jeździć. Kiedy po siedmiu latach zostałem obywatelem szwedzkim, niby nie obowiązywała mnie wiza, mogłem więc wsiadnąć w cokolwiek i jechać. Ale naraz okazało się, że istnieją tacy obywatele szwedzcy, którzy mogą do Polski wjeżdżać i tacy, którym nie wolno. Wokół tego zaczęły się w Szwecji jakieś awantury, bardzo niedobra dla Polski prasa — a władze polskie uparcie stosowały te norymberskie kategorie. To mnie zresztą bardzo zaciekawia: skąd oni wiedza, że ktoś jest Żydem, a ktoś inny nie. Muszą mieć to gdzieś zapisane. Muszą istnieć kartoteki. Czy ekipa Walichnowskiego korzystała w Marcu z kartotek niemieckich? Bo z jakich innych?

Tak czy inaczej, zwijali mnie z lotniska, a w moim instytucie, który ma sporo kontaktów naukowych z Polską i który próbował pomagać mi przy wyjazdach, wciąż się bardzo temu dziwili. Po Grudniu 81, kiedy szło stąd do Polski wiele transportów medycznych, chciałem jeździć jako szofer. Też się nie udało.

I dla mnie wciąż jest to bardzo bolesne. Po pierwsze dlatego, że jeśli lubisz mieć poczucie wolności, to nie znosisz, jak ci ktoś mówi, że tego czy owego masz nie robić. Po drugie dlatego, że wciąż jest w Polsce grupa bliskich mi ludzi, takich, których szanuję czy nawet kocham, a nie jestem w stanie do nich dotrzeć, pomóc im, kiedy chorują, побыć z nimi — ich — ich z kolei z Polski nie wypuszczają. I także z tego powodu, że chciałbym odblokować swoją pamięć, wciąż wielu rzeczy mi "brakuje" i wiem, że nie będę w stanie wrócić do tego bez wejścia w tamten świat.

Oczywiście, jestem ustabilizowany, mam ciekawą pracę, więc być może łatwiej mi znieść te odmowy wpuszczenia do Polski niż innym. Tak mi mówił konsul polski, który zresztą długo nie mógł zrozumieć, czego ja chcę i według którego wcale nie jest ograniczaniem mojej wolności to, że nie mogę jechać do Polski, skoro mogę podróżować po całej reszcie świata.

Zapytałem go wtedy, jak by się czuł, gdyby nigdy nie mógł pojechać na grób swojego ojca.

Przypuszczam, że każda generacja żyjąca w takim systemie musi się do niego w jakiś sposób ustosunkować. I moja generacja wtedy to zrobiła. Przegrała czy wygrała — trudno powiedzieć. Teraz widać w tym logikę — bez Marca nie byłoby nowego sposobu myślenia o Polsce, wiary w to, że można działać. Nie byłoby KOR-u i tego wspaniałego przygotowania robotników, które zaowocowało w Sierpniu. Przypuszczam, że nawet gdybyśmy wtedy, w Marcu, więcej wiedzieli o rozgrywkach we władzach, wszystko rozegrałoby się i skończyło tak samo. Wtedy po prostu nie było jeszcze dojrzałości do działania i potrzeby ruchu społecznego w innych grupach. Czas "Solidarności" pokazał, że jeśli taka potrzeba i dojrzałość istnieje, udaje się więcej.

W Marcu na własnej skórze odczułem, z kim mam do czynienia. Dotknąłem tego, co dotąd wiedziałem z książek, opowiadań. Siedziałem w tym samym pawilonie, przez który przeszło pokolenie akowskie i mogłem lepiej jeszcze zrozumieć, jak straszny jest to system. Po wyjściu z więzienia nie widziałem żadnych szans na to, żeby za mojego życia było tu inaczej, żeby ta rzeczywistość mogła być zmieniona, a moja potrzeba wolności zaspokojona.

A tutaj wciąż mam wielką frajdę z powodu tej wolności: mogę jeździć po świecie, czytać i robić co chcę. Mam prawo do wyborów, mogę być za swoje życie odpowiedzialny, nikt nie decyduje za mnie. Brakuje mi tych, z którymi nie mogę się spotkać, ale choć jestem — jak każdy — zdeterminowany przez mnóstwo różnych rzeczy, czuję się wolnym człowiekiem.

Chciałbym dzielić wasz los

Do Marca oczywiście sam się przyznaję, ale też w dużym stopniu mnie do niego przypisano. To przede wszystkim zasługa pana Gontarza, który w "Kurierze Polskim" z 12 marca, w pierwszym prasowym donosie, zatytułowanym "Inspiratorzy", zebrał nas w trzy pęczki: w jednym umieścił intelektualistów i pisarzy, w drugim naukowców, w trzecim zaś rzucił kilka dobrze brzmiących — zwłaszcza z imionami — nazwisk, jakoby członków klubu "Babel". Ja do tego klubu nie należałem, choć bywałem tam. Utrzymywałem też bliskie kontakty osobiste z kręgiem, który nazwano komandosami. Ale właściwie powinienem zacząć od 1956 roku.

Z harcerstwa mnie trochę wcześniej wyrzucili, do ZMP udało mi się nie należeć. Mimo to w moim 37 Liceum na Świętokrzyskiej brałem czynny udział w rozwalaniu tej organizacji. Wszędzie rozwalano, ale my robiliśmy to, żeby założyć koło młodych komunistów. Rozhuściliśmy całą szkołę, nauczyciele byli po naszej stronie, nawet ludzie z dzielnicowego komitetu partii i ZMP nas wspierali. Zwołaliśmy wielkie zebranie, na którym Jacek Tarkowski — do dziś mój serdeczny przyjaciel — jako jedyny wyjechał na nas z pyskiem. Zarzucił nam, że zakładamy nowy komsomoł. No i było wspaniale, bo mieliśmy wroga, wobec którego mogliśmy się konsolidować. Wszyscy byli za nami, ale w końcu pojawił się dyrektor szkoły i mówi: dziś jacyś komuniści, jutro solidarności marjańska, bardzo proszę się rozejść, żadnych organizacji w szkole zakładać nie będziemy. I mnie wtedy takie bezpośrednio zaangażowanie jakoś przeszło.

A od 1957 roku, zwłaszcza od likwidacji "Po prostu", wiedziałem, że już nie będę "za". I nie widziałem w tym systemie żadnych możliwości pozytywnego działania — mimo moich przekonań. Lewicowych, zgodnych z tradycją rodzinną, bo jestem przecież z komunistycznego domu.

Moi rodzice trafili do komuny w roku 1926. Mieli wtedy po dziewiętnaście lat. Mama pochodziła z Warszawy, ojciec z polsko-żydowskich Kozłenic. Obydwoje przesiedzieli się za tę komunę przed wojną, a w 1939 roku, z moją roczną wtedy siostrą, uciekli z Warszawy do Związku Radzieckiego. Urodziłem się w Witebsku, w grudniu 1940. Pół roku później ewakuowano nas na wschód, a ojca jeszcze dalej, gdzie go zmobilizowano do *strojbatów*, czyli zorganizowanych na wojskowych zasadach kompanii budowlanych.

Rok po wojnie, w maju 1946, wróciliśmy do Polski. Mama dostała pracę w jakimś prewentorium dla dzieci żydowskich zagrożonych po obozach gruźlica, ojciec zaczął pracować w administracji. Byli w PPR-ze; ojciec został delegatem na Zjazd Zjednoczeniowy. Potem pracował w spółdzielczości, ale jego stanowiska były takie sobie, podrzędne. Więc mój los okazał się o tyle szczęśliwy, że w Marcu nie występowałem jako bananowe dziecko prominenta.

Na początku lat sześćdziesiątych zacząłem studiować archeologię śródziemnomorską. Czy ją skończyłem — nie jestem pewien, nigdy nie napisałem pracy magisterskiej. Ja i moi koledzy z roku traktowaliśmy studia dosyć luźno, niezależnie od naszego rzeczywistego zainteresowania antykiem — podstawą kultury, cywilizacji. Jeśli ktoś w ogóle myślał kategoriami przyszłościowymi, choć rzadko się wtedy tak myślało — to jeden chciał pisać powieści, inny zamierzał być dziennikarzem. I wiem, że sprawiliśmy zawód naszemu mistrzowi Michałowskiemu, bo w różnych teleturniejach, na które wtedy panowała wielka moda, bardzośmy dobrze wypadali, a archeologiem potem prawie nikt nie został. Moim kolegą ze studiów był na przykład Rafał Krawczyk — ekonomista.

Więc o przyszłości myśleliśmy raczej mało, zajmowaliśmy się książkami, życiem towarzyskim, graniem w karty, zabawą. No i jeszcze teatrem studenckim, kabaretem.

Tekst przygotowany na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Sztokholm, 1988).

Ja trochę podśpiewywałam w kabarecie, który nazywał się "Jamnik". Występował tam Stanisławski, Loranc — ale to był klepski kabaret. Potem, w 1964 roku, ponieważ zaczęły mi się pisać jakieś lepsze teksty, zgłosiłem się do STS-u. Akurat była premiera na dziesięciolecie, więc ostre przedstawienie pod znakiem tekstów Andrzeja Jareckiego "Mnie nie jest wszystko jedno". Szło paręnaście razy. Moja piosenka była tam jedna, ale w recenzjach już mnie do STS-u przypisano: że Tym i ja to nadchodząca młoda zmiana i tak dalej. Po wakacjach zbudziłem się jakby w innym świecie — to samo niby przedstawienie idzie pod zmienionym tytułem "Już para smażyć konfitury", więcej w nim tekstów Agnieszki Osieckiej... Ja się w nią wcześniej wpatrywałem jak w bóstwo, ale wtedy zaczęła już jakby odrobinę "schodzić" na poziom piosenek dla Maryli Rodowicz, co jej miałem okropnie za złe. I jakoś zanadto dbała, aby teksty nie były zbyt ostre.

Zaniósłem do STS-u parę nowych rzeczy, ale je odrzucili. Cenzura bardzo im wtedy patrzyła na ręce. Więc poszedłem z tymi piosenkami do Hybryd, gdzie je przyjęli wszystkie. A ostra była tylko jedna z nich — nawet mnie "Waśka Młodych" za nią zjechała.

Znowu muszę się cofnąć. Gdzieś tak w roku 1957 w klubie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów zaczęła się skupiać grupa młodzieży — żydowskiej i polskiej. Grało się tam w brydza, co jeszcze wtedy było ewenementem, były jakieś potańcówki. "Babel" — czyli klub dyskusyjny zaczął działać później, a wtedy powstało przy Nowogrodzkiej 5 coś w rodzaju świetlicy. Chyba od 1958 roku TSKZ organizował też kolonie i obozy — ja wybrałem się na obóz w Poroninie latem tego roku. Po dwóch latach sam zostałem już wychowawcą. I tym sposobem wszedłem w moje życie Jacek Kuroń.

Jacek był związany ze środowiskiem żydowskim dosyć mocno. Kiedy jeszcze studiował — tak opowiadano — przyjaźnił się z jednym z późniejszych działaczy TSKZ-u; i za jego sprawą zaczął prowadzić kursy dla obozowych i kolonijnych wychowawców. Miał tam wykłady z psychologii i pedagogiki. Nie belfarskie, lecz wyjątkowo żywe, wciągające. Mnie w każdym razie wciągnęły. Jacek wtedy to była cała energia, która w nim jest do dziś, z tą poprawką, że miał niecałą trzydziestkę. I niesłychaną charyzmą, dzięki której skupiał wokół siebie ludzi.

Więc byłem uczestnikiem kursów, wychowawcą na koloniach i bardzo lubiłem Jacka. Właśnie na jego i Karola Modzelewskiego procesie zbliżyłem się też ze środowiskiem skupionym wokół Adama Michnika. I chociaż "Listu otwartego" nie miałem okazji przeczytać wtedy w całości — krążyły tylko obszernie fragmenty — zgadzałem się z nim. To była moja sprawa — mógłbym się pod niemal każdym jego akapitem podpisać, zwłaszcza pod krytyką biurokracji, którą przeprowadzał.

Jacka i Karola nie tylko wyrzucili z partii, ale jeszcze wsadzili. Czułem, że nie mogę tylko wyrazić ubolewania i na tym poprzestać. Dlatego chodziłem na proces. Uznałem, że tam jest w tym momencie moje miejsce. Zbliżyłem się z tym środowiskiem, chociaż nie wszedłem do grupy "komandosów". Ceniłem sobie własne stanowisko — nie dzieliłem ich pomysłów na działanie przez ZMS, bo na ten ZMS plułem. I w partii nie widziałem swojego miejsca, chociaż oni mówili, że partię też trzeba zmieniać od środka. A poza wszystkim, niedługo po procesie urodził mi się syn i bardzo byłem tym przejęty.

Trochę też nie odpowiadał mi elitarny charakter tej grupy. Znali się niemal od przedszkola, najlepiej się czuli w swoim towarzystwie. Innych do siebie dopuszczali, ale tak bardzo na zewnątrz nie wychodzili. Mogłem niby śmiało się wtączyć — wywodziłem się z tej samej formacji, czyli z komunistycznego domu, miałem powiązania z teatrykami i kabaretami studenckimi, co było ważne. Ale ten ciut zamknięty charakter grupy odrobinę mnie jednak raził. I ich wiara we własną misję. Może dlatego, że mam poczucie humoru — a tam nie wszyscy podchodzili do spraw z humorem i dystansem. Poza Adamem, który, owszem, tak.

Poszczególnych ludzi bardzo lubiłem. Raczej więc byłem z nimi, choć jednocześnie miałem dystans.

A już na pewno byłem z nimi w Marcu.

Na Nowogrodzkiej, w TSKZ-cie, była redakcja pisma żydowskiego, które miało też polski dodatek. Znałem grafika, który był jakoś podłączony do tej gazety i w 1966 roku, kiedy nie udawało mi się dość długo zabrać do pracy magisterskiej i oczekiwaliśmy z żoną syna,

zaczęłam pracować w tym polskim dodatku. Wyrzucili mnie z niego w 1967 roku. Byłem więc może pierwszą w Polsce ofiarą agresji Izraela na kraje arabskie.

To było tak. Trzeciego czy czwartego dnia wojny sześciodniowej w Klubie "Babel" odbywało się spotkanie z Rakowskim. Prasa, która przez dwa pierwsze dni starała się informować o tym konflikcie w miarę obiektywnie, nagle wykonała woltę i zaczęła serwować propagandę. Wyciągnąłem więc na tym spotkaniu jakąś bardzo parszywą wzmiankę z "Życia Warszawy". Nawet nie wzmiankę strony Izraela — to jakby mniej mnie interesowało, chociaż trochę byłem podniecony tym, co się stało. Zapytałem tylko Rakowskiego — pytanie było właściwie nie do niego, tyle że on się akurat nawinał — czy tu chodzi o Sudety czy o blokadę cieśniny Tiran; czy mamy rok 1938 czy 1967 i czy pismo, które trzymam w ręku, to jest "Życie Warszawy" czy "Obserwator Ludowy". Rakowski się wściekł, z "Obserwatora Ludowego" zrobił "Poeltische Beobachter", no i zaraz potem wezwał mnie do siebie szef RSW "Prasa" — Galiński. Nie wiedział jak do mnie mówić, pochrząkiwał, aż w końcu zapytał mnie na powitanie: "Czy należycie do partii". I jak powiedziałem, że nie, odetchnął i spokojnie zaczął mówić mi "pan".

Mam wrażenie, że nawet zostawił mi jakąś furtkę. Pytał, czy nie uważam, że moje wystąpienie było ciut za ostre. A ja na to, że mogę się z tym zgodzić, ale nie mogę się zgodzić, żeby w prasie przechodziły tego rodzaju notatki, jak ta z "Życia Warszawy". Trzy dni później leżało na moim biurku wypowiedzenie — wylano mnie gładko.

Wtedy wróciłem na studia. Tak że w Marcu zupełnie przypadkowo byłem studentem. Nadal co prawda nie mogłem się zabrać do pracy magisterskiej, ale byłem na Uniwersytecie, miałem legitymację i nie byłem człowiekiem z zewnątrz, który inspirował. Choć oczywiście uważam, że taki wniosek — że inspirowałem — narzuca się sam. No bo po co znów poszłem na ten Uniwersytet?

"Dziady" widziałem tydzień przed zdjęciem. A na ostatnim przedstawieniu znalazłem się zupełnie przypadkiem.

Tego dnia uczestniczyłem w kolejnym teleturnieju Politechnika-Uniwersytet. Program nagrywano w Stodole na magnetowid i nawet były jakieś afery — o zdjęciu "Dziadów" już było wiadomo, na widowni pojawił się transparent.

Wracałem stamtąd do domu i na wysokości Placu Teatralnego pomyślałem, że skoro grają ostatnie przedstawienie, to trzeba pójść. Nie wiedziałem, że będzie demonstracja, jakoś tak uważałem, że moje miejsce jest teraz właśnie w Narodowym. Oczywiście nie miałem żadnego biletu, bo skąd. Pod zamkniętymi drzwiami teatru stała spora grupa młodych ludzi — parę osób było ze Szkoły Teatralnej, zaplatała się jakaś starsza pani. I ja przekonywałem ciecia, że to jest właśnie Maryla z Wereszczaków Puttkamerowa i że stanowczo powinien ją wpuścić, a nas razem z nią. Więc była zabawa. Potem w końcu ktoś z PWST bocznym wejściem, przez kulisy, zaprowadził nas na salę. Przedstawienie zaczęło się z dużym opóźnieniem.

Sala była wypełniona, ludzie siedzieli w przejściach. Były oklaski, okrzyki, przedstawienie miało własną dynamikę. Na końcu nie wiem już ile razy wywoływano aktorów — aż przestali się pokazywać, bo byli chyba potwornie zmęczeni. A widownia nadal była pełna, dopiero po jakiejś pół godzinie ludzie zaczęli się rozchodzić.

Wtedy zobaczyłem paru znajomych z transparentem, który wstrząsnął podstawami systemu: "Żadamy dalszych przedstawień". Wyszliśmy przed teatr, było nas już parędziesiąt osób. I pokrzykiwaliśmy: "Wolny teatr, wolna sztuka". A ja zaraz pomyślałem, że powinna być jeszcze "wolna miłość", bo w końcu czemu nie. Może nawet to krzyknąłem, nie pamiętam. Mogłem, bo w tej sytuacji było coś z zakinady, z nastroju juvenaliów. Choć nie tylko oczywiście.

Obeszliśmy teatr dookoła i nie bardzo było wiadomo co robić, więc poszliśmy pod pomnik Mickiewicza. Tam Józek Dajczgewand z kimś jeszcze wetknęli ten transparent i poszliśmy w stronę Nowego Świata. Wtedy zaczęli się koło nas pojawiać panowie w strojach organizacyjnych — kozuchach i barankowych czapkach. A potem podjechały samochody milicyjne i już było wiadomo, co jest grane. Zaczęli nas wrywać z tego niewielkiego tłumu. Większość zawieźli na Wilczą, a parę osób do Mostowskich.

Ja trafiłem na Wilczą i z tego komisariatu pamiętam scenkę godną Mroźka. Godzinami czekało się tam na przesłuchanie, trzeba było coś robić. I dwie dziewczyny, maturzystki,

ujawnienie jakichś rewelacyjnych, głęboko skrytych tajemnic czy tajnych drukarni. Dlatego trzeba było nic nie mówić.

Polityka, charakter, to nie wszystko. Była jeszcze urażona ambicja nie dostrzegająca innych ludzi. I było przerażenie, kiedy zorientowałem się, że jestem bez pardonu wpychany w rolę agenta SB. Przyniosło to fatalne skutki. Dla mnie przestał się liczyć proces, zeznania, różnice w poglądach czy wyrok. Izolacja w środowisku? Niech i tak będzie! Ale co ten człowiek nagadał w śledztwie? Mało kto odnotował ten fragment procesu, tylko bezpośrednio wplątani w historię kontaktu z pisarzem pracującym w RWE... W tym momencie myślałem już tylko o jednym: aby do końca, aby powiedzieć sakramentalne: "do winy się nie przyznaję, o nic nie proszę".

Z rozprawy na wolność wyszedł Wiktor Górecki. W kilka dni później wyszedłem z więzienia, w kilkanaście dni po mnie — Barbara Toruńczyk; oboje otrzymaliśmy wyrok dwóch lat. Adam pozostał. Jego wyrok, trzy lata, wykluczał możliwość uwzględnienia wniosku o zwolnienie warunkowe.

Wróciłem do domu po to, aby milczeć. Z nikim o śledztwie czy procesie nie rozmawiałem. Spotkałem dwóch czy trzech dawnych znajomych, związanych z "komandosami", ale nic to nie dało. Mówiliśmy różnymi językami. Moje dawne środowisko pozauniwersyteckie, środowisko żydowskie, przestało istnieć. Nikogo ani w Warszawie, ani w Łodzi, ani we Wrocławiu. Pozostali staruszkowie. Zadzwoiłem do Szmula Tenenblatta, nie żyjącego już dzisiaj redaktora "Połks Sztyme". Spotkałem się z Marysią. To, z perspektywy czasu, były moje najważniejsze spotkania. Nie pytali mnie o nic. Marysia zresztą nie musiała. Jej ojciec był wówczas sędzią Sądu Najwyższego — przestał nim być po naszym ślubie. Szmulek umożliwił mi pisanie. Jako "Artur Szarfer" toczyłem beznadziejne boje z "Prawem i Życiem", ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim *etc.*, *etc.* Tym, który przyszedł porozmawiać o Marcu, wysłuchać tego, co mam do powiedzenia, był wówczas Tolek L.

Z Adamem, z którym byłem najbardziej zaprzyjaźniony, nie spotkałem się do 1980 roku. Pierwszy raz rozmawialiśmy we wrześniu 1980, ale nie o Marcu i nie o śledztwie. Zresztą, praktycznie rzecz biorąc, jeśli nie liczyć krótkich spotkań z Jackiem Kuroniem i Jankiem Lityńskim jesienią 1976, które niczego nie załatwiły i nie wyjaśniły, moje kontakty z dawnym środowiskiem były tylko pośrednie. Również w latach 1980/81. "NTO", które stworzyliśmy z kolegami w Regionie Mazowsze, powstało poza — wówczas — środowiskiem korowskim. Było jednak dla mnie ważne, że w ogóle się ukazało, że nie zostało zablokowane. A dokładnie: że istniało z moim nazwiskiem w stopce redakcyjnej. Od 13 grudnia 1981 publikuję od czasu do czasu w "Krytyce". Szczególnie jestem przywiązany do tekstu: "Pod wojskową dyktaturą". Był to mój pierwszy tekst w "Krytyce". I pierwszy "wojenny" numer pisma.

Marzec-kwiecień 1988

Henryk Szlajfer

Pustka pełna wolności

Dla wielu osób Marzec to był okres, w którym życie grupowe, życie między innymi ludźmi, było bardzo ważne. Potem, przy wyjeździe z Polski, z tego intensywnego życia przyjacielskiego, towarzyskiego i politycznego wpadało się w pustkę. Wsiadało się w ten słynny pociąg wiedeński, jeszcze na dworcu zjawiała się grupa przyjaciół, znajomych, wszystkich tych najważniejszych w życiu i wyjeżdżało się w dziurę. Bez ludzi.

Niby wpadało się w tryby dobrze zorganizowanej emigracji, miało się gdzie mieszkać, jechało się zaraz na obóz językowy. I nawet spotykało się znajomych, jako że emigracja marcowa była emigracją całej wielkiej grupy społecznej. Ale to nie byli ci najważniejsi — oni albo rozproszyli się po świecie, albo zostali w Polsce. A na dodatek w marcowej grupie znaleźli się "uciskacze" i "uciskani", "oflary" i ci, którzy kiedyś wsadzali do więzień.

Jeżeli ma się dwadzieścia lat i zostaje się zmuszonym do zamknięcia za sobą bardzo intensywnego okresu życia, jedną z możliwych reakcji na to jest jakby zaprzestanie myślenia i odczuwania. Tak jak w schizofrenii: rzeczywistość wywołuje uczucia niemożliwe do zaakceptowania, w związku z czym następuje pęknięcie między życiem emocjonalnym a rzeczywistością. I albo przestajesz cokolwiek odczuwać, albo odczuwasz tylko to, co sam generujesz, a co nie ma nic wspólnego ze światem realnym. Moje pierwsze lata po Marcu to był taki okres emocjonalnej błądności. Niemal nie odczuwałem. Robiłem wszystko co trzeba, działałem, uczyłem się, a moje życie emocjonalne było za jakas szybą. Tak jakby wcale go nie było.

Dodatkową reakcją na przeżycie traumatyczne jest też i to, że skróć przeżycia i wspomnienia są bardzo naładowane emocjonalnie, blokuje się pamięć o nich. Tu znów tak jak w nerwicach i psychozach: "odkładasz" te naładowane i nie do końca załatwione rzeczy — jakby na później. Ale twoja pamięć płata ci przy okazji figle: nie pamiętasz nie tylko tego, co "odłożyłeś", ale i wielu innych rzeczy, które są może mniej ważne, ale w jakiś sposób się z tym wiążą. Ja do dziś odczuwam skutki tej blokady. I może dlatego bardzo mi się chciało i cały czas mi się chce pojechać do Polski. Żeby odblokować w sobie wiele tych rzeczy, których dziś już naprawdę nie pamiętam. Na przykład jak wyglądają niektóre ulice, tramwaje. Znam je niby z fotografii, ale jest tak, jakbym ich nie znał. Jak po przeżytym szoku.

Decyzja o wyjeździe była moją własną decyzją. Już w więzieniu czułem, że nie mam więcej zamiaru wpadać w taką sytuację, że to nie jest coś, co mam ochotę jeszcze raz przeżyć. Choć, oczywiście, wtedy nie wiedziałem, że będzie możliwość wyjazdu.

To poczucie miało wiele wspólnego z moją ogromną osobistą potrzebą wolności. Bardzo nie lubię, jak ktoś ją ogranicza. I podziwiam ludzi, którzy są w stanie żyć wiedząc, że ich wolność w każdej chwili może być ograniczona tak drastycznie, jak przez więzienie. Podziwiam moich przyjaciół, którzy z tym żyli i żyją.

Gdyby nie było możliwości wyjazdu, możliwości ucieczki z tego miejsca, przypuszczam, że chyba bym się w końcu do tego przyzwyczaił. Ale nie wiem na pewno. Cały czas reaguję alergicznie na czyjekolwiek zapędy do ograniczania mojej wolności.

Kiedy przygotowywaliśmy wiece, myśleliśmy o tym, że podpiszemy petycję przeciwko wyrzuceniu Henka i Adama i że potem będzie możliwy jakiś następny krok, bo po podpisaniu i wysłaniu petycji będzie można dalej interweniować.

Sprzed wiecu pamiętam dyskusję o tym, ile osób przyjdzie — poprzednie dziesięć lat to były lata bez takiego doświadczenia, więc trudno było przewidzieć. Założyłem się z mamą mojego przyjaciela o butelkę wina, że będzie więcej niż czterysta osób. Wygrałem tę butelkę, ale i dla mnie było zaskoczeniem, że przyszło aż tylu ludzi.

Tekst przygotowany na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Sztokholm, 1988).

któremu kazali donosić co dzieje się u nas w domu, ustalili z ojcem co ma zeznawać: że u nas wszyscy mówią po żydowsku, więc on nie rozumie. A kiedy pojawiła się w "Prawie i Życiu" relacja Gontarza z mojego procesu, ksiądz w jednym z łódzkich kościołów wezwał z ambony do modlitwy na moją istencję, mimo że nie miałem nic wspólnego z katolicyzmem.

Generalnie jednak moim rodzicom i siostrze było bardzo trudno. Wtedy ojciec doszedł do wniosku, że powinien wyjechać. Powiedział mi o tym na widzeniu i ja przyznałam mu rację. Siostra pojechała do Szwecji, a rodzice do Izraela.

Na procesie podkreślałem, że jestem Żydem polskim, co wzbudzało konsternację. Przyznawałem się do zaangażowania w ruch studencki i twierdziłem, że moje opinie dzieli większość uczestników tego ruchu — nie tylko Żydów. To był mój punkt wyjścia — solidarność polsko-żydowska.

Dostałem dwa i pół roku i przeszli mnie do więzienia w Strzelcach Opolskich. To było ciężkie więzienie, ale byłem tam stosunkowo krótko. Tydzień dzielił mnie od wyjścia, kiedy ogłoszono amnestię i wybuchł bunt. Wtedy znalazłem się w rękach standy. Pobili mnie bardzo. "Radzili", żebym wyjechał z Polski, bo jak nie, to mnie wykończą. Wierzyłem, że to jest możliwe. Wiedziałem, że naprawdę mogą stać się ofiarą. Po tym, co wypływała o mnie prasa, byłem przekonany, że takich jak ja, którzy przyznają się do swego żydostwa, będzie się jeszcze długo wybierało na "odstrzał".

Wyszedłem z więzienia i wiadomości nie miałem dokąd pójść. Mieszkanie rodziców zostało po ich wyjeździe zajęte i choć ojciec zostawił do mojej dyspozycji jeden pokój, władze nie chciały mi go przyznać. Łódzkie środowisko żydowskie wiadomości nie istniało, udało się je rozgromić. Łódź to było jednak niewzruszone miasto i pownie nie przypadkiem tutaj właśnie wydano w Marcu uwspółcześioną wersję "Protokołów Mędrców Syjonu" jako oficjalny dokument Komitetu wojewódzkiego partii. To znakomicie budowało atmosferę zagrożenia interesów narodowych i partyjnych.

Wydawało mi się wtedy, że jestem zupełnie sam. Mieszkałem przez jakiś czas u znajomych w Warszawie. Ludzie, którzy padli ofiarą marcowych wydarzeń, mieli kłopoty ze studiami, wciąż czuli się zagrożeni. Zdawało mi się, że niektórzy z nich ćali się w końcu zwariować. Tyle się mówiło o tych Żydach, aż uznali że coś w tym może być. Widziałem, jak ball się, kiedy mnie spotykali.

Nie byłem już sobą, byłem mitem stworzonym przez propagandę — demonem, pomocnikiem diabła. I chociaż spotykałem się również z wieloma przyjaznymi reakcjami na moją osobę, trudno mi było z tym wszystkim żyć. Miałem wiele szacunku dla wyborów moich przyjaciół, którzy postanowili tu zostać, ale zdawałem sobie sprawę, że we mnie jest coś, do czego oni się nie poczuwają i co czyni ich sytuację odmienną. To był na przykład *Holocaust*. Identyfikowałem się z tym doświadczeniem i przez to — tak mi się wydawało — byłem sam. W końcu podjąłem decyzję o wyjeździe.

Kiedy pod koniec lat czterdziestych zaczęto wykańczać w Rosji żydowską inteligencję, mój ojciec zaczął się zastanawiać nad przynależnością do partii. Po śmierci Stalina zerwał, w każdym razie uczuciowo, z tą ideologią. Przenieśliśmy się wtedy do Łodzi.

W Łodzi skończyłem żydowską szkołę. Do piątej klasy — a były wtedy dwie piąte — chodziło nas chyba z pięćdziesiąt, a już do ósmej i dziewiątej — dziesięć osób. Bo Łódź to była stacja przejazdowa. Wielu rosyjskich Żydów przyjeżdżało tutaj, zostawało rok-dwa i jechało dalej, do Kanady, Australii. Od tamtego czasu mam masę przyjaciół na całym świecie.

Szkoła była żydowska, to znaczy miała dodatkowo język żydowski. Władze bardzo pilnowały, żeby nie wprowadzać tam elementów innych niż te, które one chciały akceptować. Etniczna żydowskość i skceptacja komunizmu — prozę bardzo. Ale żadna religia. Jeśli w żydowskie święta ktoś nie zjawił się w szkole, miał potem kłopoty. Akurat ja w te święta przychodziłem. W naszym domu religia nie odgrywała specjalnie dużej roli. Mama była wierząca, ale przejawiała się to tylko tym, że trzymała czystą kuchnię i w święta podawała tradycyjne potrawy.

Tak czy inaczej, moja droga zaczęła się od środowiska, które było w jakimś sensie odmiennie. I bardzo infiltrowane — bezpieka interesowała się kontaktami zagranicznymi, krewnymi poza krajem, listami. Włączyłem się w tym środowisku stykałem, chciała z Polski wyjechać. I u nas w domu też toczyły się dyskusje na ten temat. Żydzi

polscy czy ci, którzy przyjechali z Rosji, znaleźli się w makabrycznej sytuacji. Z jednej strony niemal kompletna pustka — przed wojną trzy miliony Żydów, po wojnie dwadzieścia parę tysięcy. A z drugiej — komuniści u władzy. Szczególnie żydowscy komuniści niszczyli jak mogli wszelkie przejawy żydowskiej literatury, kultury, religii. To nawet nie było tak, że chcieli się asymilować czy może lepiej — zatracić swoje pochodzenie. Chcieli stworzyć świecką kulturę żydowską, absolutnie podporządkowaną Moskwie i komunistycznym ideałom. I jeśli w naszej szkole obchodziło się, na przykład, rocznicę powstania w Getcie Warszawskim, mówiło się tylko o udziale w nim żydowskich grup komunistycznych.

W szkole było także "Czerwone Harcerstwo", czyli "walterowcy". Należałem do drużyny i byłem zastępowym. Próbowaliśmy tam zrozumieć świat, w którym żyliśmy, uczyliśmy się wrażliwości na ten świat, na ludzką krzywdę, zaktamianie, przemoc. Zdobywaliśmy żywą, niecenzurowaną wiedzę o rzeczywistości. Byliśmy wtedy gówniarze — ja miałem siedemnaście lat, moi harcerze po piętnaście. Zdobywaliśmy jakąś sprawność i przy okazji — z czystej, nie zabarwionej żadną intencją ciekawości — robiliśmy na przykład zwiad o pracy milicji, szliśmy na posterunek i staraliśmy się dowiedzieć, jak działa. Jechaliśmy na obóz i poznawaliśmy problemy różnych wsi, albo — tak jak na wakacjach pod Gdańskiem — stykaliśmy się z autochtonami. Nagle, zupełnie *ni pri czlom* okazywało się, że istnieje cenzura, policja polityczna i podobne rzeczy. To było zastanawiające i stanowiło dużą szkołę wiedzy społecznej.

Przeniósłem się z Łodzi do Warszawy i zacząłem studiować fizykę. W tym czasie — w roku 1962 — fizyka była bardzo modnym kierunkiem, który wybierało się, jeśli kogoś interesowało odkrywanie tajemnic materii. Ale niestety, na fizyce nie znalazłem odpowiedzi na pytania, które stawiałem światu, przeniosłem się więc na filozofię. Świadomie wybierałem lektury, zacząłem naprawdę studiować różne zagadnienia i założyłem jakiś klub dyskusyjny. Od 1964 roku byłem bardzo zaangażowany w powstający ruch studencki. Tak że w Marcu znalazłem się niezupełnie przypadkiem. W jakimś sensie wybrałem to.

Kiedy Jacek Kuroń i Karol Modzelewski napisali swój "List", w środowisku młodzieżowym zaczęły się perturbacje, choć krytyka, jaką list przeprowadzał, była w gruncie rzeczy bardzo łagodna. "List" był naprawdę otwarty — dopuszczał możliwość dyskusji z tezami, które stawiał. Ale bardzo szybko zaczęto represjonować osoby, które w ogóle chciały o nim rozmawiać. I kiedy zabroniono nam się tym zajmować w ZMS-ie, dyskusje przeniosły się do mniejszych grup, nieformalnych. Mieszkałem wtedy w akademiku na Kickiego, gdzie było bardzo silne intelektualne środowisko. Uformowała się tam mniej więcej dziesięcioosobowa grupa, w skład której wchodził między innymi Janek Lityński, Sewek Blumsztajn, Teresa Bogucka. Spotykaliśmy się, studiowaliśmy, dyskutowaliśmy. Stworzyliśmy sieć wypożyczania książek "Kultury". Jeszcze wtedy nie angażowaliśmy się bezpośrednio w polityczne akcje, ale staraliśmy się dawać wyraz swojej niezależności.

W akademiku mieszkali przede wszystkim ludzie z małych miasteczek, o innych trochę problemach niż studenci z Warszawy. Może dlatego interesowaliśmy się nie tylko sprawami politycznymi, ale i problemami społecznymi środowiska studenckiego. W 1965 roku próbowaliśmy na przykład przeprowadzić wolne — w amerykańskim stylu — wybory do samorządu wydziałowego. Zaczęliśmy mieć swoje małe godziny wolności.

W 1966 roku urządziliśmy antyrządową demonstrację pierwszomajową. To była pierwsza lekcja politycznego działania. Oczywiście zaraz potem wyrzucono mnie i innych z ZMS-u. I wtedy zorientowaliśmy się, że musimy nauczyć się bronić, przewidywać działania ze strony władz i wypracować technikę przetrwania. Wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z silnym przeciwnikiem. Spodziewając się przesłuchań, studiowaliśmy literaturę o metodach psychologicznych, jakimi posługuje się prokuratura sowiecka. Analizowaliśmy metody walki *provosów* — holenderskich anarchistów — bo takie akurat materiały wpadły nam w ręce.

I wkrótce okazywało się to bardzo sensowne. Kiedy próbowali mnie wyrzucić ze studiów, kiedy mnie zatrzymywali — miałem to już "przerobione". No i nie byłem sam z takimi faktami. Gdybym był sam, nie miałbym dłuższej szansy, żeby przejść przez to obronna ręka.

Chcieliśmy wy badać, jak wiele można zrobić legalnymi metodami, nie prowokując zbytnio, a jednocześnie przekazując informacje, zmuszając ludzi do myślenia. Rozlepialiśmy na Uniwersytecie gazetki albo wycinki o czerwonych krasnoludkach ze "Świerszczyka". W

akademiku przygotowaliśmy programy dla radiowozła. Gazetki w końcu zaczęto zdzierać, a po programie o powstaniu węgierskim radiowozel nam zdemolowano. Próbaliśmy — nie pamiętam już przy jakiej okazji — zburzyć spokój władz przez "rewolucję telefoniczną" — kiedy bardzo wiele osób dzwoni jednocześnie pod ten sam numer i blokuje się linie.

Ludzie bardzo się bali, to były pierwsze kroki. Ale taka kreatywność pozwalała przejść przez barierę oddzielającą legalne od nielegalnego. Środowisko już się krystalizowało. Władze określały nas na jakieś dwieście osób, próbowały otaczać "kordonem sanitarnym", żeby się to dalej nie rozchodziło, ale wciąż wtaczali się nowe osoby — z innych wydziałów, z innych akademików.

Myślę, że dość trudno byłoby precyzyjnie określić, czy środowisko, o którym mówię i grupa określana przez władze mianem "komandosów" są tożsame. "Komandos" byli wybrani przez władzę na przeciwnika politycznego, który miał jej służyć. Według ubeccji i partii była to grupa jednolita, zwarta organizacyjnie. W rzeczywistości zaś krąg osób skupionych wokół Jacka czy Adama był tylko jednym z elementów całej galaktyki rozmaitych grup w różnych środowiskach, które miały podobne cele, podobne interesy i przenikały się wzajemnie. Nawet z praktycznego punktu widzenia trudno było wtedy w ruchu studenckim o jednolitą organizację. Bezpieka zmuszała wielu studentów do składania im raportów. Kiedy więc, na przykład, w moim akademiku miał pojawić się Jacek, ci ludzie natychmiast donosili, zaczynało się zamieszanie. Ponieważ niektórzy sami przychodzili do nas i skarżyli się, że znów jakiś ubek żąda od nich informacji, czasem wspólnie wymyślaliśmy jakieś nieszkodliwe historie do "sprzedania". Ale faktem jest, że to utrudniało kontakty i zmuszało do działania według koncepcji "rozproszonej *guerilli*".

To co robiliśmy było w wielu punktach młodzieńcze, naiwne, nieświadome. Ale w miarę działania uczuliśmy się. I czuliśmy się częścią większego ruchu. To nie była tylko walka polityczna, ale coś związanego z ogólnoswiatowym "hipisowskim" — bo trudno to inaczej nazwać — tłem. Ruch na rzecz swobód demokratycznych, ale i inny sposób myślenia nowej generacji o świecie.

1968 rok to było przecież coś na kształt dwudziestowiecznej Wiosny Ludów. Wydawało się przez jakiś czas, że oś Berkeley-Warszawa-Praga może wiele zmienić. Potem, po paryskim maju, okazało się, że cały ruch studencki na Zachodzie poszedł w innym kierunku. Jakby nie zauważył polskiego i czeskiego doświadczenia. Ale zanim do tego doszło spotykaliśmy się z delegacjami studenckimi różnych krajów, które przyjeżdżały do Polski. Okazywało się, że i my, i oni dyskutujemy o tych samych sprawach. I jeśli ktoś chce rozumieć marcowy ruch studentów polskich tylko w ramach rozgrywek między partyjnymi koteriami, robi błąd, bo to jest o wiele za mało.

•

W Warszawie, na studiach, znalazłem się pomiędzy dwoma światami. Traktowałem siebie jako Żyda polskiego, w przeciwieństwie do wielu moich znajomych, którzy chcieli się uważać tylko za Polaków. W różnych środowiskach pojawiali się wtedy "towarzysze narodowi", odbywało się wiele dyskusji. Zapraszano mnie czasem, rozmowy toczyły się nawet w atmosferze szacunku dla różnych poglądów. Kiedy pytałem, jak oni w demokratycznej Polsce, którą chcą urzeczywistnić, widzą problem mniejszości żydowskiej, rzucali nieco antyżydowskich argumentów, choć — o dziwo — w demokratycznym opakowaniu. Zacząłem jednak uświadamiać sobie aspiracje narodowe Polaków. Nie odbierałem ich jako zagrażających aspiracjom żydowskim. Ale dosyć boleśnie odczuwałem niewiedzę na temat Żydów i taką formę religijnego antysemityzmu, którego nie mogłem zrozumieć. Często spotykałem się z argumentem, że pochodzę z narodu, który zamordował Chrystusa. I naprawdę trudno mi było tłumaczyć, że przecież nie brałem w tym udziału, że to było dawno. Ale też trudno było uniknąć — nie poczucia winy, ale pewnej obcości wobec Polaków, z powodu Żydów działających w latach stalinowskich w bezpieku.

Wkrótce jednak przestano mnie zapraszać na polsko-żydowskie dyskusje. Narodowa linia Moczara zyskiwała coraz więcej zwolenników, przekonanych, że dzięki niemu nareszcie zrobi się w tym kraju porządek.

Na studiach zafascynowała mnie logika — i logiczne czy wręcz lingwistyczne metody używane przez propagandę. Metody, za pomocą których fałszuje się opis rzeczywistości i operuje na umysłach ludzi. Po Heglu zacząłem studiować propagandę partyjną — byłem chyba jedną z niewielu osób w Polsce, która przeczytała uważnie "Dzieła zebrane" Gomułki.

Przygotowałem słownik terminów propagandowych, zebrałem je w określone kategorie. Dostrzegłem, że cała propagandę buduje się za pomocą terminologii związanej z trzema mitemami: *walki, budowy i drogi*. W fazie *walki* są *sztaby, fronty, plany operacyjne, odcinki*. W fazie *budowy* dominuje wektor wertykalny: gmach rośnie coraz wyżej, potrzeba architektów, konstruktorów, cegiełek, które składają się na całości. W fazie *drogi* pojawia się metafora marszu — z prądem czy pod prąd. W każdej fazie z małych metafor powstają większe, które przy głębszej analizie okazują się podobne w strukturze do mitów i bajek i które są wspólne we wszystkich — nie tylko komunistycznych — ideologiach.

W 1966 roku, po spotkaniu z Leszkiem Kołakowskim w rocznicę Października, zwinęli mnie z wydziału razem z teczką moich zapisków. Czytali dokładnie, kartka po kartce. Były tam notatki z wykładów, z "Kultur" paryskich i te dotyczące moich studiów propagandowych — fiszki z antysemickich pism i wydawnictw przedwojennych. Bardzo ich te papiery zainteresowały, zrobili kopie wszystkiego, co dotyczyło Żydów.

W czerwcu 1967, trzeciego chyba dnia po rozpoczęciu wojny arabsko-izraelskiej, odbyło się na ten temat spotkanie w Klubie "Babel". Propaganda partyjna uznała już wszystkich polskich Żydów odpowiedzialnymi za to, co dzieje się na Bliskim Wschodzie i to wzbudziło poważne poczucie zagrożenia. Wbrew temu, co później wypisywał Gontarz, nie było wtedy w "Bablu" euforii. To był dopiero początek wojny, Izrael jeszcze jej nawet nie wygrał. Środowisko jakby obudziło się wtedy ze snu. Stało się jasne, że nikt nie będzie tu chroniony z tego powodu, że jest komunistą, będzie atakowany, ponieważ jest Żydem. W powietrzu czuło się cień *Holocaustu*, a także doświadczeń sowieckich — wydawało się, że i w Polsce możliwe są bardzo ostre środki, nawet obozy.

Wobec tego wiele osób, które normalnie popierałyby linię partii, odwracało się od komunizmu. Ale były i takie przypadki, że kiedy z kimś o żydowskim wyglądzie jednego dnia rozmawiano o jego stosunku do agresji, on następnego dnia przynosił zaświadczenie z gestapo, że nie jest żydowskiego pochodzenia.

Mnie, wkrótce potem, próbowano wyrzucić z Uniwersytetu. Kiedyś nie miałem regulaminowych rękawiczek na Studium Wojskowym, więc zrobili mi raport i komisję dyscyplinarną. Dołożyli do tego jakieś ogólne "niewłaściwe zachowanie" i uznali, że trzeba mnie skreślić z listy studentów. Wysłali w tej sprawie informację do dziekana — to było za czasów Klemensa Szaniawskiego — dodając jako argument za skreśleniem to, że nie zdałem egzaminu. A ja ten egzamin zdałem, tyle że widząc co się dzieje wokół mojej osoby, udawałem przed egzaminującym mnie pułkownikiem Sową, iż jestem kimś innym. I on podpisał mi indeks, nie zorientowawszy się, że ja to ja. Dziekan wystosował do Studium pismo, w którym najpoważniejszy argument uznał za nieaktualny. I nie skreślił mnie. To był wtedy bardzo sympatyczny Wydział. Robił co mógł, żeby bronić studentów. Bo przecież nie tylko ja byłem w takiej sytuacji. Było nas coraz więcej. Studium Wojskowe, partia, ZMS próbowały usuwać politycznych przeciwników, a Wydział bronił się przed tym twardo.

Zanim przyszedł 8 marca, zatrzymywano mnie wielokrotnie — na kilka, kilkanaście albo na 48 godzin. Na Uniwersytecie rozrzucono jakieś ulotki drukowane pewnie w ubeckich drukarniach i na ich podstawie zorientowałem się, że moja osoba, moje nazwisko pasuje im "do linii".

Osmego jeździł za mną samochód, więc kiedy znalazłem się na Uniwersytecie, postanowiłem nie dać się zamknąć i — żeby być świadkiem tego, co się dzieje — wybrałem najbezpieczniejsze miejsce: poszedłem na zebranie ZMS-u. Kiedy na dziedzińcu pojawił się Gołędzinów i rozpoczęto pałowanie, "towarzysze partyjni" zaczęli się łamać. Próbowali wyjść — pobito ich. Niektórzy wrzucali wtedy do kosza na śmieci swoje legitymacje.

A 9 marca, w akademiku, rzucito się na mnie na korytarzu parunastu facetów — bojówka, składająca się głównie ze studenckich donosicieli. Krzyczeli, że Żydzi rzucają masy studentów do walki z polską policją, że załatwiają w ten sposób swoje brudne interesy i że oni, prawdziwi Polacy, mówią na to "nie", że będą Polskę oczyszczać z Żydów. Byłem przez moment bliski linczu, ale w końcu udało mi się wymknąć. W tym momencie zrozumiałem, że władze idą na całego, że będą próbowały jak najszybciej zweeksłować cały ruch studencki w problem żydowski.

Może bym się wtedy i wystraszył, może schowałbym się gdzieś, doszedłszy do wniosku, że to co robię jest zupełnie bez sensu. Ale już wtedy, dziewiątego, było widać jak ważne jest dla wielkiej grupy ludzi to, że poczuli się wolni. Do Marca lęk środowiska przed jakimikolwiek działaniami był ogromny. I na samym początku, podczas wiecu, ludzie wyładowywali ten strach, niektórzy po raz pierwszy wyrazili swoją opinię. Nagle cała ta

wata, w którą większość dała się zapakować, rozpięta się. To było niestychane, trudne do zapomnienia. Ludzie nagle mówili prosto, bezpośrednio.

Udało mi się przejechać w akademiku do jedenastego czy dwunastego, potem mnie aresztowano. Ale kiedy wyszedłem, mimo rozbicia środowiska, mimo ciągłych represji, mimo że wiele osób zapierało się Marca, wycofało, przestraszyło — świadomość, że może być inaczej, dla wielu stała się istotnym doświadczeniem. "Zaraza" szybko rozniosła się przecież po całej Polsce. Kiedy pod koniec marca Ogólnopolski Komitet Studencki uchwaliał Deklarację Ruchu Studenckiego, było tak, jakby autobus, którym wszyscy jechali już się zatrzymał, ale że musiał zrobić to gwałtownie, pasażerowie mimo wszystko polecieeli jeszcze kawałek do przodu.

Potem były przepiękne cele na Rakowieckiej i w innych aresztach, wiele osobistych tragedii. Ale dla wielu także świadomość, że jak się idzie siedzieć, to potem się wychodzi i dalej jest życie. I że przyjaciele pomagają, nawet w sytuacji kiedy ktoś się załamuje i zaczyna sypać. Bo przecież wiadomo, że w każdym można znaleźć jakiś słaby punkt.

Kiedy wyszedłem z więzienia, rozmawiałem z dwoma dziennikarzami bardzo aktywnymi w marcowej kampanii. Wszystko się już niemal uspokajało, piliśmy wódkę, a oni mówili, że Żydzi przejmują Polskę, że nie ma dziedziny życia, w której nie miałby czegoś do powiedzenia. Dalej poruszali się w oparach paranoi. Ale ja nic do nich nie mam. Nie chcę ich za to sądzić.

Wkrótce potem odbyło się moje symboliczne zerwanie więzi z Polską. Było wymuszone, więc traktowałem je formalnie, jako nie mające nic wspólnego z tym, co naprawdę myślę. Żeby móc wyjechać, musiałem zadeklarować, że nie czuję się Polakiem. Podpisałem taki papierek.

Poznałem skorumpowany wydział paszportowy i cały ten system żerowania na wyjeżdżających. Chcieli wyciągnąć od nich jak największe pieniądze, poniżali, niemal okradali. Ludzie starszej generacji, którzy przeżyli tu wojnę, odczuwali to boleśnie. Ball się. A ja nie. Uważałem, że powinniśmy już przestać myśleć kategorialnie o ofiar i walczyć, reagować. Taka postawa była zresztą fatalna — skazywała mnie w gruncie rzeczy na samotną walkę. Ale to był mój wybór.

Marzec zastał mnie na piątym roku studiów, tuż przed magisterium. Dyplom zrobiłem w Szwecji. Myślałem o doktoracie, ale filozofia była tu wtedy akademicka, bez specjalnego związku z rzeczywistością i sformalizowana do tego stopnia, że można by ją uważać za część matematyki. A mnie interesowała filozofia praktyczna — linia Sokratesa, mówiąc w skrócie. Nie chciałem traktować jej jak zawodu: filozofować — pisać. Chciałem zgodnie z nią żyć. Nie zdecydowałem się na doktorat. Po studiach zająłem się po swojemu filozofią i sztuką — grawerowałem kryształ. Trudno było z tego żyć, wobec tego podejmowałem się i innych prac — jako urzędnik bankowy, wychowawca w przedszkolu, programista komputerów. Ostatnio pracuję jako sanitariusz w szpitalu psychiatrycznym i to jest bardzo interesujące doświadczenie.

Przeszczepianie się na inny grunt zabrało mi sporo czasu. I nie sędzę, żeby moja sytuacja była szczególna — wiem, że ludzie, którzy wyjechali z Polski po internowaniach, przechodzili i będą przechodzić dokładnie przez wszystkie te procesy, przez które ja przechodziłem. Kryzys językowy, kulturowy, psychologiczny. Ten psychologiczny może przyjść i po dziesięciu latach — człowiek przestaje wiedzieć kim jest, traci poczucie identyfikacji, czuje, że zawisł w próżni. Wtedy trzeba zachować otwartość, wrócić do dzieciństwa, "stracić" część poprzednich doświadczeń. Starać się o nich zapomnieć, a jeżeli nie można, to przynajmniej odłożyć je na bok, żeby po jakimś czasie same straciły wagę. To jest bardzo bolesny proces — coś w rodzaju rozszczepiania osobowości. Mnie wydawało się, że przez to przeszedłem i że odnalazłem się na nowo. Ale ku mojemu zdziwieniu okazało się, że nie do końca.

Bo gdy w Polsce wybuchł Radom, zareagowałem niezwykle gwałtownie. Poczucie odpowiedzialności za to, że moi przyjaciele siedzą w więzieniu, świadomość, że z chwilą powstania KOR-u otwierają się nowe sposoby rozwiązywania problemów, sprawiły, że Radom był dla mnie czymś niezwykle żywym i dramatycznym. Uruchomił energię, której nawet w sobie nie podejrzewałem. Z tego czasu mam unikalną bibliotekę taśm — nagrania moich rozmów telefonicznych z Warszawą: z Gajką, z Jackiem, Sewkiem. To dokumentacja

wydarzeń, bo o nich rozmawialiśmy, a jednocześnie materiał bardzo nierzaz intymny — coś w rodzaju psychoterapii dla nas wszystkich. Miałem wtedy satysfakcję, że pracując tutaj jako urzędnik bankowy mogę jednocześnie robić coś dla nich.

Rozmawiałem i to było najważniejsze. Co jeszcze? Dzwoniłem na przykład do naczelnika więzienia na Rakowieckiej i wymyślałem mu, że Jackowi wstrzymuje paczkę. Ja znam to więzienie, wiem jak oni reagują, więc mógłbym uznać, że taki telefon jest szalenstwem. Tak zresztą — jako działania obłudne — traktowali je moi znajomi. Ale w istocie ono wychodziło poza pewną konwencję, było kreatywne. Takie właśnie rozwiązania spraw, o których niby wiadomo było, że są nie do ruszenia, stały się podstawą sukcesu KOR-u. Mój telefon ze Sztokholmu wbrew pozorom też miał sens — ktoś zaczynał się zastanawiać i jakaś część energii kierowanej w stronę represji zanikała, rozchodziła się w inne strony.

Bardzo byłem wtedy zaangażowany w działalność polityczną. To był jeszcze czas, kiedy trudno było coś przepchnąć i stąd, i stamtąd. Ale udawało się przetrzącać powielacze, rozpowszechniać informacje z Polski. Niezwykle trudno było się z nimi przebić przez lewicową mitologię, jaką posługuje się Zachód, przez nieświadomy, ale bardzo tutaj głęboki, lęk przed kolejną wojną światową i przed tym, że jakiegokolwiek działania w bloku sowieckim mogą zburzyć międzynarodową równowagę. Programy radiowe i telewizyjne, w których brałem udział, *happenings*, organizowały opinię publiczną, rozbiły stereotypowe nastawienia.

Przez te wszystkie lata wiedziałem, że do Polski mnie nie wpuszczą. Ja się na Polskę nie obraziłem, ale nawet nie próbowałem jechać. Kiedy jednak w 1980 roku kończył się strajk w Stoczni, nie wytrzymałem i postanowiłem sprawdzić. Pognało mnie. Podpisywano porozumienia, a ja schodziłem z promu. Wopista długo próbował skontaktować się z Warszawą — część linii telefonicznych wciąż była zablokowana — aż wreszcie dodzwonił się i powiedział mi, że jestem tu osobą niepożądaną. Więc tylko przestałem jakieś pieniądze dla Stoczni i wróciłem. Ale przez parę godzin byłem blisko.

Wkrótce potem umarła moja matka. Pojechałem więc do Izraela. Po pogrzebie postanowiłem zostać tam na jakiś czas, nauczyć się hebrajskiego, zrozumieć religię żydowską — po to, żeby lepiej zrozumieć siebie.

Szybko zorientowałem się, że nawet przy mojej większej świadomości tego, kim jestem, mam do spraw żydowskich stosunek podkolorowany. Okazało się, że widzę Żydów tak, jak widzą ich chrześcijanie. Przez chrześcijańskie okulary, które sprawiają, że problem własnego pochodzenia jest dla części Żydów źródłem autodestrukcyjnych przeżyć. Ma to swoje historyczne uwarunkowania: judaizm pod władzą chrześcijaństwa zszedł na pozycje defensywne, bronił się, ale jednocześnie przejął część sądów na swój temat. W 1964 roku dokument soborowy zdjął wprawdzie z narodu żydowskiego winę za ukrzyżowanie Chrystusa, ale jeśli przez stulecia ten naród był widziany w ten sposób, trudno by jego członkowie sami siebie nie zaczęli widzieć podobnie. W kategoriach globalnych można powiedzieć, że nie było warunków, by naród żydowski traktował siebie jako wolny, a jego członkowie — by uważali się za wolne osoby.

W Izraelu uświadomiłem sobie, że różnic między Żydami a chrześcijanami nie należy starać się zacierać, — przeciwnie. Trzeba zaakceptować, że są różne sposoby widzenia świata. Problem antysemityzmu przestał być dla mnie wtedy kwestią pytania, jacy powinni być Żydzi jako Polacy. Istnieją dwa odrębne narody, które mają istnieć we wspólnym świecie. I żaden z tych narodów nie jest naznaczony piętnem ofiary.

W judaizmie odkryłem takie elementy, które dały mi grunt. To nie znaczy że stałem się religijnym czy ortodoksyjnym Żydem: do synagogi chodzę — jak większość tutaj — raz w roku. Doświadczyłem jednak tego, co nie istniało dla mnie w czasie Marca — identyfikacji religijnej, kontaktu z Bogiem.

Poczucie gruntu dało mi przede wszystkim przekonanie Martina Bubera, że w każdym spotkaniu między JA i TY jest coś więcej, coś co można — jeśli się chce — nazwać pierwiastkiem boskim. I to jest mój punkt wyjścia, który umożliwia mi przejście od różnic zewnętrznych do wewnętrznych, a tym samym do wzajemnego zrozumienia. W tym świetle chrześcijaństwo, judaizm, islam czy buddyzm są wyrazem tej samej ludzkiej potrzeby. Jeśli więc widzę elementy transcendentalne w judaizmie, nie znaczy to, że nie widzę ich gdzie

Indziej. Bo jeśli raz odkryłem to poczucie kontaktu z elementem boskim, to zauważam je też i uznaję gdziekolwiek Indziej by wystąpiło.

Z tego punktu widzenia to co robię — cokolwiek to jest, gdziekolwiek bym się znalazł — ma sens i znaczenie, ma kolosalną wagę. I w buddyjskim sensie może wpływać na los całego świata.

Dlaczego więc gruntem jest dla mnie akurat judaizm? Dlaczego trzymam się go, choć tak dobrze rozumiem się i z wyznawcą islamu, i z mistykiem chrześcijańskim? Bo każdy z nas ma swoje korzenie. Ja swoich nie wybrałem — zostały mi dane. I powinienem się na nie zgodzić, bo jeśli im zaprzeczę, będę starał się być kimś innym i w jakimś stopniu odejdę od tego, kim jestem.

Nie widzę więc powodu, dla którego miałbym chodzić nadęty jak paw, ponieważ jestem Żydem. Jestem. Jestem polskim Żydem, który mieszka w Szwecji i ma związki z Izraelem.

W Polsce żyłem z dnia na dzień. Na ruchomych piaskach, bez twardego gruntu, bez ładu i harmonii. Wtedy czułem, że możliwa jest tylko jakaś forma walki i ewentualnie koszty tej walki. No i jeszcze legenda — kiedy człowiek stawał się jej częścią. Dopiero po przyjeździe tutaj zrozumiałem, że można myśleć o swoim życiu w kategoriach tego, gdzie się będzie leżało pogrzebanym. I że można zamówić kamień nagrobny. Bo śmierć naprawdę może się zdarzyć.

Mam w Polsce wielu przyjaciół, chciałbym te kontakty dalej podtrzymywać. Dzwoniłem niedawno do ambasady i wygląda na to, że mogą mnie do Polski wpuścić. Spróbuję, zobaczymy. To jednak nie znaczy, że chciałbym wrócić tam na stałe.

Tutaj czuję się bezpiecznie. To prawda, że trudno jest pozbyć się poczucia tymczasowości, które raz przeżyte utrudnia zakorzenienie się gdzie Indziej. Więc to jest bezpieczeństwo względne, ale jest. Wiem oczywiście, że w każdej chwili wszystko może się zmienić i jestem na te zmiany przygotowany. W końcu nie można uniknąć katastrof czy śmierci. Buntuję się przeciwko nim, ale też wiem, że po prostu ich "nie przeskoczą". Wiem, że i tak będę musiał w którymś momencie zostać sam i wszystko zostawić. Bo przecież tak naprawdę tutaj nic się nie posiada, wszystko jest na czas życia "pożyczone".

Zachód zmienia. Wiele doświadczeń wschodnioeuropejskich przestaje tu mieć znaczenie. Ludzie z "bloku" przyzwyczajeni są, żeby ktoś się nimi zajmował, nawet jeśli jest to zajmowanie negatywne. Zawsze jacyś "oni" sterują, wyznaczają ścieżkę życia. Tutaj trzeba naprawdę radzić sobie samemu, brać odpowiedzialność za swoje decyzje. Dość trudno jest zlokalizować tych "onych" i zrozumieć różnice. Na tym polega pluralizm, który daje możliwość wyboru.

Moiż dzieci nie zmuszam do czegokolwiek. One są "swoje", więc chciałbym im dać być sobą. Chciałbym pokazać im, jaki jestem — jako polski Żyd mieszkający... — i dać możliwość wyboru. Z tego, że tutaj naprawdę można wybrać, kim się chce być, wynika sporo zbliżowania, ale i wiele pozytywnych elementów. Wszystko zależy od tego, jak się widzi sprawy ważne w życiu i co się chce z tym życiem robić.

Nie czuję się samotny. Jest na świecie wiele osób, które dały mi inspirację, pomoc duchową. Czasami tego oczekiwałem i nie dostawałem nic, a czasami — to zagadkowe — pomoc przychodziła od kogoś, po kim wcale się jej nie spodziewałem. Tak czy inaczej, spotkałem "wtajemniczonych" i wiem, że oni istnieją. Wiem też, że w okolicznościach, które będą dla mnie trudne, znów się pojawiają.

Jeśli postrzega się świat duchowy, przychodzi świadomość, że żaden człowiek nie jest sam. I jeśli ktoś żyje w poczuciu wielkiej samotności, to znaczy, że żyje iluzją. Myśli ludzkie przechodzą przez wszystko, docierają do nas jako sygnały, które czasem trudno zrozumieć. Ale widocznie świat jest bardziej organiczną całością niż nam się wydaje, skoro te sygnały są. Trzeba umieć je zauważać, bo przychodzą zawsze we właściwym momencie. Wierzę w to, mam pewność.

Rozmawiała i przygotowała do druku Ewa Zylinska

Dowód tożsamości

Kiedy byłam małą dziewczynką, wiedziałam, że jestem Żydówką. Przypominała mi o tym często nasza gosposia – straszna antysemitka. Albo mówiono mi o tym w szkole, w której zresztą było bardzo wielu Żydów. Kiedyś, już chyba w ósmej klasie, ktoś wytknął mi, że mam krzywe czy jakieś tam nogi, więc to znaczy – Żydówka. Ja się wtedy okropnie obruszyłam i wycedziłam, że jak ktoś rozpoznaje pochodzenie po nogach, to jest zwyczajnym rasistą. Pomysł, żeby tak ludzi rozróżniać, wydawał mi się absolutną bzdurą. Uważałam, że ja jestem Żydówką, a ktoś inny Polakiem z powodu czystego przypadku i że to w ogóle nie ma znaczenia.

Jeszcze wcześniej wycinano mi migdałki i leżałam przez dwa dni w szpitalu dla dorosłych, bo w innym nie było miejsca. Pamiętam, że kobiety na sali zrobiły niesłychaną sensację z mojego imienia i natychmiast sklasyfikowały mnie jako Żydówkę. A moje imię wcale nie jest żydowskie, tyle że tutaj rzeczywiście wyróżniająca. No i wyróżniało mnie – wiele razy. Więc ja to imię sprytnie w końcu zmieniłam, przedstawiałam się jako Mirka. Nawet na świadectwach ze szkoły podstawowej mam wypisane: Mirosława. Ale to nie znaczy, że moje pochodzenie stanowiło dla mnie wtedy problem. Było ważne tylko jako coś, co mnie wydobywa z tłumy – a tego bardzo nie chciałam. Żydostwo to była abstrakcja: okazało się czymś konkretnym i bolesnym dopiero w 1967 roku. Nie dla mnie jednej.

Zawsze coś stało pomiędzy mną a ludźmi. Najpierw mój ojciec, potem moje pochodzenie, potem... choćby praca mojego męża. Byłam czyjąś córką, Żydówką, żoną. Rolą. Czułam w tym okropny fałsz i drętwiałam. Czasami nie miałam już siły ani drętwieć, ani protestować; nie wytrzymywałam i ukrywałam się za jakąś maską. I zawsze miałam o to do siebie pretensje, bo to przeszkadzało mi w prawdziwym kontakcie z ludźmi.

Bardzo długo i dość bezrozumnie żyłam pod wielkim wpływem ojca. Traktowałam go jako osobę najmądrzejszą, najwspanialszą, jak absolutną świętość. Mój kodeks moralny, wszystkie moje ideały, wyrosły więc z jego kodeksu, z wizji świata przedwojennego komunisty.

W 1967 roku interesowały mnie jednak sprawy odległe od tego, czym zajmował się mój ojciec, od polityki. Fascynowałam się na równi Kafką i Balzakiem, zastanawiałam się nad jakimiś okropnie egzystencjalnymi problemami; wpatrywałam się w siebie jak podlotek, mimo że miałam już 26 lat i byłam po ślubie. Dopiero po wojnie sześciodniowej, kiedy zaczęły się te historie w prasie i ojca zaraz zaczęli wyrzucać, ja, będąc poza tą awanturą, znalazłam się jednocześnie w samym jej środku. Bo w samym środku był mój ojciec.

Ojciec urodził się we Lwowie. Kiedy miał czternaście lat, jedyny z siedmiorga rodzeństwa znalazł się w jakiejś komórce komunistycznej, rozdawał ulotki. Bardzo szybko go zamknęli. Potem siedział jeszcze i w Rzeszowie, i w Warszawie, i we Lwowie; bili go. W 1938 roku, chroniąc przed represjami, partia przerzuciła go do Czechosłowacji. Stamtąd, tuż przed Monachium, wysyłano Żydów-komunistów do Anglii. Ojciec pojechał i już po rozpoczęciu wojny, jako działacz partyjny, znalazł się na parę miesięcy w angielskim obozie dla internowanych. A potem poznał moją matkę, też działaczkę, która ze swojego niewielkiego, środkowoeuropejskiego kraju trafiła do Anglii taką samą jak ojciec drogą. Wyjechali do Stanów i tam urodziłam się ja i mój brat.

Po wojnie przyjechaliśmy do Polski. Ojciec był najpierw zwykłym urzędnikiem aparatu, ale że zawsze miał naukowe ambicje, szybko trafił na uczelnię, wykładał. Trochę pisał, ale niewiele, bo należał raczej do ludzi leniwych. Wołał mówić. Uczestniczył w pracach różnych międzynarodowych grup pokojowych, rozbrojeniowych. Lubiano go, szanowano. Dla mnie, dziecka, miało to ogromne znaczenie.

Tekst przygotowany na podstawie rozmów nagranych i spisanych z taśmy magnetofonowej (Warszawa, 1987). Pierwodruk – KARTA nr 5.

Właściwie trudno mi sobie dzisiaj wyobrazić, jak to było możliwe, że w naszym domu nigdy nie mówiło się o rodzinie. Ale tak rzeczywiście było. Matka i ojciec asymilowali się i o żadnych "korzeniach" nigdy się nie rozmawiało. Czasem tylko wymykały się jakby nieopatrzenie jakieś zdania: że ojciec rywalizował z bratem w nauce, że siostra była najpiękniejszą dziewczyną we Lwowie, że ktoś przypuszcza, iż z wojny ocalało jej dziecko, po którym ślad jednak zaginął. Ale takich zdań nigdy nie można było ciągnąć dalej. Nawet gdy zaczęłam się już tym interesować i próbowałam, niewiele z tego wychodziło. A kiedy byłam dzieckiem, uważałam za zupełnie naturalne, że moja rodzina zaczyna się i kończy na matce i ojcu, że nie ma żadnej ciągłości – w tył czy w bok. Byli tylko znajomi. Moje koleżanki też nie miały babć, dziadków, ciotek. Bo przy całej walce mojego ojca o asymilację, żyliśmy jednak w środowisku żydowskim, które rodziny potraciło w czasie wojny.

Tylko na moment pojawili się w moim dzieciństwie ciotka i wujek, młodszy brat ojca. Zaraz jednak wyjechali do Palestyny, tak że sytuacja, kiedy poza mamą i ojcem nikt nie istnieje, była dla mnie naturalna.

Byłam bardzo czynna w szkole i dużo czasu spędzałam w dwóch grupach zupełnie oderwanych od środowiska żydowskiego: w harcerstwie i zespole tanecznym. Wyjeżdżałam na występy, na obozy. I zaczęły się problemy. Bo tam był kościół, nabożeństwa, poranne modlitwy – w których nie uczestniczyłam. Jedna jedyna. Nie dlatego, że byłam Żydówką – dlatego, że nie byłam katoliczką. Nie wierzyłam w Boga. Ani jednego, ani drugiego. Byłam "pomłodzy", nie interesowało mnie to. Ale wyróżniała.

Nie uczestniczyłam w nabożeństwach, przechorowywałam noce, wymiotowałam. Do dziś dziwię się, skąd – przy mojej ogromnej potrzebie wtopienia się w tłum – znajdowałam siłę, by powiedzieć: ja nie pójdę. Być może właśnie z kodeksu moralnego, który przejęłam od ojca, brała się ta moja instynktowna potrzeba prawości.

Bardzo źle się z tym czułam. Nie jako Żydówka – jako inna.

Dlaczego mojego ojca, tak dobrze "ustawionego", w ogóle ruszyli? Pamiętam, że najpierw, kiedy zaczęły się hasła "Żydzi do Izraela" i gadanie o syjonistycznej piątce kolumnie, nikt – ani ojciec, ani żaden ze znajomych – nie traktował tego poważnie. Wydawało się, że to jeszcze jedna propagandowa heca, burza, która wkrótce przewali się i uspokoi. Bardzo szybko okazało się jednak, że nic się nie uspokaja, że te absurdalne ataki są poważne. Wtedy, podczas zebrania egzekutywy partyjnej na uczelni ojciec powiedział właściwie tylko jedno zdanie: że określanie ludzi w takich kategoriach to jest czystej wody faszyzm. Zaraz potem został zawieszony w pracy, przestał wyklądać. Definitywnie skończono tę sprawę po marcu 1968, posyłając go w wieku lat 53 na emeryturę.

Ta gwałtowna reakcja ojca, to że go wyrzucili i że zaczął się burzyć jakiś utrwalony w naszej rodzinie porządek, także mnie zmusiło do gwałtowniejszego myślenia, do postawienia wreszcie różnych pytań. Zaczęły się moje rozmowy z ojcem i moje do niego pretensje: o dawniejsze uciekanie od rozmów ze mną, o nieświadomość mi różnych rzeczy, o jego działalność, o to, że "przez niego" byłam tyle lat po tej stronie, po której nie chcę być. A jednocześnie o to, że on sam zbyt łatwo krytykuje teraz to wszystko, z czym się przez lata identyfikował.

Nie miałam wtedy racji, to wcale nie było dla niego łatwe. Ale dopiero dużo później, po wielu rozmowach, zrozumiałam, że jego przejście na drugą stronę wcale nie było nagłe, że to był długi proces. I że taką samą drogę przeszli i Brus, i Kołakowski, i Baczek – których widywałam w naszym domu od dziecka. Tyle że mój ojciec tkwił bliżej aparatu niż których widywałam w naszym domu od dziecka. Tyle że mój ojciec tkwił bliżej aparatu niż któryś z nich. Oni, był wykładawcą szczególnej uczelni. I o to też miałam do niego wtedy pretensje. O to, że jednak był tak blisko władzy. Za blisko. Nie chciałam chyba wtedy pamiętać migawek sprzed 1956 roku, kiedy wyaresztowywali różnych ludzi i w naszym domu pojawiały się ich żony, którym ojciec mógł pomagać właśnie dlatego, że był blisko. Ale nie stać mnie wtedy było na taką wyrozumiałość jak dzisiaj. Wtedy – to było skakanie sobie do oczu, hieustanna burza. Z rodzicami, z mężem. Bo to splątanie mojego męża i rodziny dodatkowo jeszcze wszystko komplikowało.

Piotr wciąż stykał się w domu z aresztowaniami, ze znikaniem ludzi. Był ze środowiska akowskiego, zdecydowanie antykomunistycznego. Przy czym to wcale nie znaczyło, że i on – dorastając – przyjął ten antykomunizm. Przeciwnie. Na miarę swojej rodziny on był "komunistą", a w każdym razie ideały władzy jakoś mu odpowiadały.

Spotykaliśmy się właśnie w zgodzie na te ideały. I mimo że środowiska, w których wyrosliśmy, to były dwa zupełnie różne światy, nasze małżeństwo trwało. Ale 1967 był rokiem Moczara, z całą nacjonalistyczną ideologią, którą "kupili" i ludzie pokroju mojego męża, i spora część antykomunistycznego środowiska akowskiego.

Piotr potrafił wtedy — na przykład — machać mi przed oczami listą pracowników aparatu politycznego wojska i wyciągać ludzi o żydowskich nazwiskach. Robił to, aby mi udowodnić, że to właśnie przez Żydów, którzy byli u władzy, działy się tutaj wszystkie złe rzeczy. Moczar był dla niego kimś, kto wreszcie powiedział całą prawdę.

Ja przeżywałam to wszystko bardzo gwałtownie, z wściekłością na tak głęboki — jak mi się wtedy wydawało — antysemityzm. Teraz rozumiem, że po prostu lata niemówienia o sprawach Żydów we władzach wypluły nienawiść, która w gruncie rzeczy jest dość powierzchowna.

Zawsze ktoś miał jakieś ambicje w stosunku do mnie. Najpierw mój ojciec miał ambicję, żebym skończyła medycynę. I studiowałam ją przez trzy lata bez przekonania, na zasadzie takiego poślizgu po maturze. Zaczynałam te studia mając siedemnaście lat i nie bardzo jeszcze wiedząc, czego naprawdę w życiu chcę. Potem chorowałam, rzuciłam studia i skończyłam dwuletnią szkołę informacji i dokumentacji naukowo-technicznej. W 1967 roku pracowałam w ośrodku dokumentacji jednego z ministerstw.

Ojciec był atakowany w prasie, wszyscy o tym wiedzieli. Znowu czułam się wyłowiona z tłumy, wyróżniona. I wtedy przyjął postawę samowyróżnienia, przyłączyłam się do tej grupy, która była bita. Zostałam Żydówką dla siebie samej. Choć nie oznaczało to szczególnego zbliżenia do klubu młodzieży żydowskiej, w którym można było "obnosić się" ze swoim pochodzeniem. Czasem zabierali mnie tam znajomi, ale nie było to dla mnie istotne miejsce. Moja natura nie znosi skrajności i to chyba był powód.

W pracy nie spotkało mnie wtedy nic złego. Były jakieś kobiece załamywania rąk, babskie łyzy nad losem błędnej żydowskiej dziewczyny i jej rodziców. Dopytywania, co ja w tej sytuacji czuję, jak mi się w tym kraju żyje. Na początku było mi z tym zupełnie dobrze, czułam się mile łechtana tym, że mi współczują, że co jakiś czas powtarzają jako pociechę, że należę do narodu wybranego. Ale to trwało bardzo krótko. Zaczęłam siebie za to dobre samopoczucie nie lubić. Bo czułam, że to nie ma nic wspólnego ze mną; w tym, że byłam Żydówką, nie było przecież cienia mojej zasługi. To była rola, za którą mnie lubili — jakby na kredyt.

Czułam się jak człowiek stojący z boku. Byłam w tym kraju i jedni wyrzucali mi: "po jaką cholere tutaj jesteś?", a inni dopytywali się z wyrozumiałością i troską: "jak to się stało, że się tu znalazłaś?". Wciąż coś musiałam tłumaczyć. A tak naprawdę wcale nie rozumiałam, dlaczego mam to robić. Ja chciałam, żeby tu było moje miejsce. I ono byłoby moje, gdyby mogło być takie w sposób naturalny. Okazało się jednak, że naturalnie moje ono być nie może. Ze muszę wciąż komuś udowadniać, że mam do niego prawo.

Moji przyjaciele z Uniwersytetu Warszawskiego coraz częściej zjawiali się u ojca i jego znajomych. Po "Dziadach" czekało się na kolejne wydarzenia, pamiętam jak rozmawialiśmy o zebraniu literatów. Ojciec wciąż miał mnóstwo kontaktów; choć odrzucony, wciąż był blisko ludzi władzy, przynosił informacje. Jak przez mgłę pamiętam nieustające rozmowy i spotkania, na których pełniłam rolę gospodyni i słuchałam, zafascynowana tym, że coś się dzieje, że ktoś coś robi, że jest jakaś spora grupa podobnie myślących ludzi. Nie miałam przy tym żadnych — tak jak zresztą do dziś — ambicji do rewolucjonizowania czegokolwiek. Byłam trochę z boku, wciągało mnie raczej towarzysko niż z powodów ideowych.

Piotr w tym czasie — to była gmatwanina. Powoli uwalniał się od moczarskiej fascynacji. Myślę, że pomógł mu kontakt z moją rodziną i tym, co działo się wokół ojca. Był w końcu myślącym człowiekiem i w moim domu mógł z bliska zobaczyć nie propagandową czerń i biel, ale szarość, całe to spleitanie.

Dotknięcie prawdziwej marcowej materii pamiętam z poniedziałku, jedenastego. Byliśmy z Piotrem przed Uniwersytetem, kiedy w Auditorium Maximum odbywał się wiec. Nagle na Krakowskim pojawił się gaz, bicie, krzyki... Uciekiliśmy.

Potem podczas strajku okupacyjnego ludzie na noc — przez płoty — przychodzili do naszego mieszkania, żeby spotkać się z jakimiś "wsplerającymi" spoza Uniwersytetu, spali pokotem na podłodze i świtem wracali na Krakowskie.

Marzec, który dla mnie oznaczał przede wszystkim dotykane moich prywatnych spraw, moich osobistych problemów dopiero odkrytych i nazwanych, wiązałam z bardzo konkretną grupą, która była u władzy. Szokiem i ostatecznym argumentem w kwestii po jakiej stronie wobec tego systemu mam się ustawić, był dla mnie dopiero sierpień i Czechosłowacja. Dopiero wtedy moja wiara w system upadła ostatecznie.

Mój brat wracając z leczenia w Czechosłowacji zatrzymał się u przyjaciół w Pradze i tam zastał go najazd. Jego opowieści po powrocie budziły moją wściekłość na tych, którzy mogli podjąć podobną decyzję. Pamiętam z tego okresu rozmowę z ojcem — gwałtowną, burzliwą, prowadzoną nie wiem dlaczego na ulicy, na Kruczej. Ojciec niczego nie próbował usprawiedliwić ani tłumaczyć. A ja pytałam, jak to się mogło stać, że on, człowiek, który zawsze tak bardzo parł do wiedzy, do prawdy, mógł uczestniczyć w budowaniu systemu, w którym władza może decydować się na takie kroki. Uważałam, że skoro się na możliwość takich decyzji godził, stał się zwykłym fanatykiem, głupcem.

Nie dopuszczałam wtedy do siebie myśli, że on w imię swojego ideału wyznawał przez te lata zasadę, iż cel uświęca środki. I że w gruncie rzeczy wybrał kiedyś tylko początek drogi, na której się znalazł, że ta droga potem już go prowadziła, coraz bardziej ograniczając możliwości wyboru. Teraz jego i Jemu podobnych nie usprawiedliwiam, ale staram się rozumieć. Nie sądzę, żeby oni wybierali zło i tkwili w nim z jakąś sataniczną satysfakcją. Myślę, że w dobrej wierze godzili się na te "środki" — do momentu, w którym nie mogli już w żaden sposób rozpoznać swojego ideału w praktyce.

Wtedy oskarżałam ojca. I bardzo ostro, bardzo gwałtownie negowałam wszystko, co wiązało się z tą władzą. Wtedy też, przez lata podając im herbatę, zaczęłam czytać Brusa, Baczkę, Kołakowskiego. Dopiero wtedy przeczytałam też "List" Kuronia i Modzelewskiego. Czytałam i czułam, jak bliska jest mi ta krytyka, wyrastająca z marksistowskiego punktu. To był w końcu taki pień, z którym i ja byłam tyle lat — choćby przez atmosferę domu — związana.

Prosta konsekwencją mojego odkrycia, że to nie ludzie, ale system winien jest temu, co stało się w Czechosłowacji, było wejście w "sprawę taterników". To było moje usiłowanie przeciwdziałania. I w gruncie rzeczy początek mojej serio politycznej edukacji, początek jakiegoś działania, jakiejś aktywności.

Zacząło się od spotkań z ludźmi, z którymi miałam znakomity kontakt "na temat" sierpnia w Czechosłowacji. Wkrótce okazało się, że ci ludzie mają jakiś pomysł na przerzut do Polski, z pomocą Czechów, książek paryskiej "Kultury". Oboje z mężem, czasem w bardzo konspiracyjnej scenerii, zaczęliśmy nawiązywać jakieś dziwne kontakty, gdzieś zostawialiśmy jakieś wiadomości, przemykaliśmy się bramami do jakichś mieszkań, w których odbywały się rozmowy o tym, co i jak trzeba robić. Zrobić zdażyliśmy jednak niewiele — zaraz zaczęły się aresztowania.

Ale jeszcze wcześniej! wyjechali moi rodzice.

Ludzie wyjeżdżali, a Piotr — który jako następny po ojcu miał ambicje wobec mnie — wyciągnął mnie z ministerstwa i załatwił pracę w archiwum jednego z młodzieżowych dzienników. Naczelną, znajomą Piotra, przy różnych wódkach, o których mi potem ludzie opowiadali, mówił, że postanowił uratować moją duszę, pokazać mi, że porządni ludzie też w tym kraju są i udowodnić mi, że tu jest moje miejsce.

W redakcji było paru filosemitów, którzy zrobili wszystko, żebym wręcz znienawidziła problem swojego pochodzenia. Antysemici też byli, więc czułam się osaczona z dwóch stron. Na antysemickie aluzjki wstawałam i przez zęby cedziłam, że jestem Żydówką; do filosemitów wołałam niemal z pianą w ustach: "Rozmawiaj ze mną, a nie z moim pochodzeniem".

Bardzo chciałam wtedy wyjechać. Miałam już dość tych wszystkich burz, tych kłótni — z ojcem, z Piotrem, ze sobą. Tego, że zmuszano mnie, aby dotykało mnie coś, czym wcale nie miałam ochoty się zajmować. Czułam się wciąż przynaglana do określenia, kim jestem, kim chcę być. To była moja prywatna sprawa, a wciąż mówili mi o niej jacyś obcy ludzie.

Sprawa wyjazdu rodziców wałkowała się przez kilka miesięcy. Czy musieli wyjechać? Czy ojca do wyjazdu zmuszano? Czyba nie. Jego najlepszy przyjaciel, też wyrzucony, z PWN-u, został tutaj, jest do dziś. Naciskiem były z całą pewnością napaści w prasie, potem jakieś sygnały, które groziły wplątaniem w "sprawę taterników". No i moja mama. Ona była tutaj w końcu na emigracji, nie była Polką. Owszem, lubiła tu być, czuła się związana z miejscem, ludźmi, pracowała, miała wielu przyjaciół. Ale ona jest przecieź osoba jeszcze bardziej pozbawiona korzeni niż mój ojciec. On — wybrał sobie to wykorzenienie. U niej była to kwestia losu. Kiedy wyjeżdżała ze swego kraju w 1938 roku, uciekając przed Monachium, zostawiła tam całą rodzinę, którą potem wymordowali. Nie został jej absolutnie nikt, nie miała do kogo wracać. "Za mężem" przyjechała do Polski. I w momencie kiedy zaczęły się te historie, poczuła coś w rodzaju obrazy na kraj, który nie jest do końca jej krajem, a w którym zaczynają ją i jej bliskich źle traktować. Myśl o wyjeździe była dla niej niemal naturalna.

Wyjechali w końcu — rodzice i brat. Ja zostałem. I dzisiaj wcale tego nie żałuję. Dziś tutaj, w obcym kraju, myślę, że gdybym wyjechała wtedy, w 1969, straciłabym porządną kawał mojego życia i byłabym — dla siebie samej — kimś innym.

Nie doszło do mojego wyjazdu, ponieważ najzwyczajniej w świecie, mimo kłótni, chciałam być z moim mężem. On absolutnie nie chciał wyjeżdżać. Choć był jeden taki moment...

Któregoś dnia, już po wyjeździe rodziców, przyszedli do nas o szóstej rano. Było ich trzech, a jeden — o którym do dziś myślę, że był antysemitą zwierzęcym po prostu — na wstępie wyciągnął z półki "Wojnę żydowską" Grynberga i postawił ją na środku pokoju z satysfakcją na twarzy.

Ja, owszem, nie boję się mówić kiedy trzeba, ale jeśli już w grę wchodzi policja, jeśli ten ubek trzyma mnie za rękę, to po prostu się boję. No więc trzęśtam się ze strachu. I jeszcze musiałam uspokajać różnych ludzi — do nas zawsze przychodziło mnóstwo znajomych — którzy wpadali w ten kocioł i zaczynali ubekom wsadzać jakieś szpile.

Przewalili cały dom dokumentnie, zabrali jakieś książki z wypożyczalni ambasady amerykańskiej, inne uratowaliśmy wyrzucając przez okno do ogródka. Nie wchodził tylko do pokoju mamy Piotra. Tak przed czwartą po południu jeden z nich, zażenowany widocznie bałaganem, na jaki naraził spokojną, siwowłosą osobę, powiedział: "No, czegoś takiego to pani chyba jeszcze w domu nie miała". A mama na to najspokojniej, że nie, że od czasu okupacji niemieckiej rzeczywiście nic takiego jej się nie zdarzyło. Tamtego zatkało, ale co miał robić? Przełknął.

Przed wieczorem zabrali mnie do Pałacu Mostowskich, Piotr pojechał z nimi od razu, rano. Wzięli mnie na przesłuchanie. Wtedy nie mówiło się jeszcze, że to w "sprawie taterników", operowali różnymi nazwiskami. Trzęśtam się ze strachu i z tego strachu postanowiłam, że nic nie będę mówić. Usiłowali wciągać mnie w jakieś dyskusje — nie dawałam się. Zaczęli mnie przekonywać, że właściwie to ja nie mam co w tym kraju robić, że najlepiej byłoby, gdybym się rozwiodła z mężem i wyemigrowała. I że oni się dziwią, czemu ja tu jeszcze jestem, szczególnie że podjęłam się takiej wrogiej działalności, która mnie jasno określa jako przeciwnika państwa... I że jest oczywiste, że mąż jako Polak z krwi i kości wyjeżdżać nie musi. Trwało to do jedenastej wieczorem i wypuścili mnie. Piotra też.

Prawie cały 1969 rok to było nieustanne ciąganie Piotra. Mnie już dali spokój. Parę razy brali go z ulicy, grozili usunięciem z mieszkania, z pracy, procesem. I pamiętam, jak kiedyś on, który czasem potrafi działać szybko i bez większego zastanowienia, przylatuje z Mostowskich i mówi, że my naprawdę musimy się rozwieść: ja wyjadę, a on dojedzie do mnie później. A ja wtedy — sama nie wiem, skąd mi się w tym całym strachu wzięło tyle zdrowego — przekonywałam go spokojnie, że nie należy podejmować żadnych prywatnych decyzji tylko dlatego, iż oni naciskają, że trzeba przeczekać.

Potem zaczęli go namawiać na współpracę i on miał już nawet taki pomysł, żeby fikcyjnie się zgodzić i ostatecznie ochronić przed nimi mnie i matkę. Ja, wiedzona jakimś instynktem — no bo czym innym, nie doświadczeniem przecieź — mówiłam mu: "Zgódź się, a nigdy się już od nich nie odczepisz". Był jak w matni, aż w końcu jego mama, osoba z niezłą konspiracyjną przeszłością, wpadła na pomysł. Powiedział im, że właśnie poradził się żony i żona się nie zgadza. Pomysł okazał się genialny, to rzeczywiście ucięło sprawę.

Nie wciągnięto nas w proces, a ja mimo wszystko żyłam nim przez jakiś czas. Ludzie siedzieli w więzieniu, chodziłam tam, nosiłam jakieś paczki. Siedzieli ludzie, z którymi byłam blisko, czułam się z nimi związana. Potem część dostała wyroki, część zaczęła wychodzić. O części mówiono, że w śledztwie gadali za dużo, że niepotrzebnie, że nie musieli. I mnie to trochę skłóciło z tym środowiskiem, bo uważałam, że nikomu, kto się porządnie nie przesiedział, nie wolno osądzać innych. Mnie przestuchiwali ledwie kilka godzin, ale już to mi wystarczyło, żeby wiedzieć, jak strasznie trudno jest dać sobie w tej sytuacji radę.

Niezależnie od tego skłócenia, "sprawa taterników" związała jednak mnie i Piotra z innymi ludźmi, związanymi także z Marcem. Wtedy właśnie zaczęły się częstsze kontakty z formującą się powoli opozycja.

Ale jednocześnie od tego czasu przez całe moje życie przewijała się już sprawa wyjazdu. Bo ja wciąż chciałam, żeby było zupełnie jasne, że mam prawo do miejsca w tym kraju i wciąż spotykałam jakichś ludzi, którzy mi to kazali udowadniać.

Gierka uznałam — jak większość — za szansę na prawdziwe zmiany. "Kupił" mnie tym, że pierwszy raz w tym kraju tak szybko przyznano, że poprzednia ekipa popełniła błąd.

W redakcji namawiali mnie, żebym zaczęła pisać. W 1970 roku pracowałam jeszcze w archiwum, ale i pisywałam jakieś notatki, krótkie tekstiki. Wydawało mi się przez jakiś czas, że mam tam swoje miejsce, czułam się nieszczęśliwie. Ale zaczęły się wspólne wyjazdy w teren, redakcyjne święta i wódeczki, których nie znosiłam, a w których — przekonywano mnie — musiałam uczestniczyć, jeśli chciałam być w zespole. Najpierw zgadzałam się na to, potem przestałam. Znowu byłam inna, wyróżniająca się. To gniotło.

W redakcji Piotra też urządzano huczne wyjazdy dziennikarzy w teren. Piekli tam jakieś barany, fetowali miejscowych dygnitarzy, pili wódkę. Wiedziałam, że jeśli dziennikarzom funduje się takie rzeczy, to muszą za tym stać jakieś nieczyte intencje — chce się ich kupić po prostu. Dość szybko nabrałam poczucia, że rozszyfrowałam ekipę Gierka i przestałam oczekiwać jakichś zmian na serio.

W naszym domu było zawsze pełno ludzi, czasem sporo od nas młodszych. Mój przyjaciel, który wyjeżdżał z Polski od 1969 roku i ostatecznie wyjechał w 1973, zostawił nam w "spadku" znajomych swolch i swojego młodszego brata. I ci wszyscy studenci z muzykologii, architektury, z ASP — przenieśli się do nas. Wszyscy byli związani z opozycją bardziej intelektualnie niż poprzez działania i bardzośmy się dobrze rozumieli. A potem, to już głównie poprzez znajomości Piotra, zaczęli się u nas pojawiać dziennikarze, filmowcy. Wielu z nich było związanych ze środowiskiem żydowskim, ale mieli do tego znacznie większy dystans niż ja. Dla innych — nie Żydów — sprawa mojego pochodzenia nie stanowiła żadnego istotnego wyróżnika. Lubili mnie, dobrze się u nas czuli, no i dom zrobił się takim "salonem".

Czasami myślałam wtedy, że koszmar się skończył — jestem tu, żyję i już. Ale potem zdarzało się coś takiego, że w redakcji — zauważając moje teksty — ten sam naczelny, który kiedyś ratował moją duszę, mówił mi, że są takie dziwnie inne. Albo prosił, żebym zaczęła pisać pod pseudonimem, bo moje nazwisko komuś coś tam przypomina. Pisałam więc. Przez dwa lata.

No i do 1975 roku, wciąż — bo przecież chciałam odwiedzić rodziców — trwała moja nieustanna walka o paszport. Składać podania, dostawać odmowy, składać odwołania. Rzygałam tym. Nie chciałam już składać tych podań, ale nie mogłam im, starzejącym się gdzieś w obcym kraju, pisać, że więcej nie będę się starać, awanturować, walczyć — bo nie umiem. I że nie chcę. przy każdej odmowie mówią mi: "No, jeżeli pani tak bardzo zależy, niech pani złoży podanie o paszport emigracyjny, będzie za dwa tygodnie".

A potem był w końcu mój wyjazd do Berlina Wschodniego, do którego rodzice przyjechali z RFN-u. Oczywiście, to oni wyjechali z Polski. Ale poczucie winy, że skazuję ich na to koszarne spotkanie pod murem, miałam ja.

Jedyny przedmiot w moim domu, który niósł za sobą jakąś opowieść, to był przywieziony do Polski fotel, na którym moja mama przesadywała oczekując mojego

przyjęcia na świat. Poza tym nie było przedmiotów ważnych. Nic nie wiązało się z niczym. Nic nie miało żadnej historii. Ona nie istniała.

Mama tak jak stała wyjechała kiedyś ze swojego kraju, wróciła nie do siebie. I dlatego może się bez specjalnego bólu przemieszczać z miejsca na miejsce, nie przywiązuje wagi do przedmiotów. Przejęłam po niej to bałaganiarstwo, tę abnegację wobec rzeczy, która nie polega tylko na bezładnym ich rozkładaniu, ale właśnie na nieprzywiązywaniu do nich wagi. W moim "panieńskim" pokoju u rodziców nie było żadnego wazonika z kwiatkiem czy obrazka. To Piotr urządzał mi ten pokój.

Bo w jego domu wszystko wiązało się ze wszystkim. Stał Napoleon-zapalniczka z czerwonego szkła — i do tego była cała historia: pradziadek, założyciel straży pożarnej, imię pradziadka będzie teraz nosić jakaś szkoła... Była kula armatnia — z pierwszej wojny, przechowywał ją brat mamy. A ten brat zginał w Powstaniu...

Dla mamy Piotra każdy przedmiot, który ona brała do ręki, miał znaczenie. I ważne było gdzie stoi, w jakim otoczeniu. Nic, która łączyła tę kobietę z rzeczami, bardzo mnie do niej przyciągała. Bardzo chciałam być do niej podobna. Ale takiego czułego stosunku do przedmiotów nie można się po prostu nauczyć. W tym trzeba rosnąć.

Teraz mam już co prawda różne własne drobiazgi, które mi się z czymś łączą. Ale dalej jest też we mnie coś z tamtego sledzenia na walizkach, choć w gruncie rzeczy nie lubię podróżować. Jest coś z siedzenia "poza".

Kiedy naszej córce mówiło się o rodzinie, zawsze była to rodzina męża: dziadek, babcia, pradziadek, babcia ciotki. Tej drugiej gałęzi nie można było przedstawić w sposób tak prosty, naturalny, oczywisty. Babcia, dziadek — i na tym się kończyło, bo Piotr twierdził, że drażnienie dalej skomplikuje jej życie. A ja buntowałam się na to niedotykanie żydowskich korzeni. Bałam się, że przeszkodzić jej może to, co przeszkadzało mnie: udawanie przez lata, że jestem znikąd.

Piotr miał jakąś rację, kiedy próbował to przemilczeć. Ale i mój bunt był zrozumiały. Dlaczego miałabym milczeć? Dlatego, że tu, w Polsce są z tym problemy i że to jest takie splecione? Bo przecież do tej pory wystarczy, żeby zebrało się parę osób przy wódeczce i już są o tym rozmowy. I zawsze w jakiś sposób nienaturalne. Bo albo ludzie łapią się za język. Jeśli w ich gronie jest ktoś żydowskiego pochodzenia, albo zaczynają się próby jak daleko można sięgnąć — w dowcipach, w argumentach. Z drugiej, tej żydowskiej strony, też jest cała masa nienaturalności i nadwrażliwości.

Takiej fascynacji jak w Sierpniu nie przeżyłam chyba nigdy. To było coś, co — tak emocjonalnie — mogę porównać tylko z momentem śmierci Stalina; dla mnie, dziecka, to był ogromny wstrząs.

Sierpień to był dreszcz, który wywołał dużo większe wrażenie niż wszystko, co się do tej pory zdarzało.

Wydawało mi się, że moje miejsce znów staje się bardziej określone. I że potwierdza się to, co było moją prywatną optyką po 1976 roku. Nie dlatego, że wtedy, po Radomiu, zaangażowałam się w pomoc środowiskom robotniczym. Jeśli sama pomagałam różnym ludziom, wynikało to tylko z mojej natury i zwyczajnego zainteresowania się życiowymi problemami, nie z powodów politycznych; o KOR-ze tylko słyszałam. Ale właśnie gdzieś tak od 1976 roku, z racji mojego pisania, spotykałam się często z ludźmi ze środowisk robotniczych.

Robotnicy, z którymi rozmawiałam, utwierdzali mnie w przekonaniu, że stereotyp robota-pijusa, przebijający się do propagandy, to wielki fałsz. I nagle po Sierpniu okazało się, że moje prywatne przekonanie zostało przyjęte do powszechnej wiadomości.

Chciałam pojechać do Gdańska. Ale byłam za mało odważna, a poza tym — trochę sama. Zylałam obok środowiska dziennikarskiego, od paru lat trwałam poza różnymi "życiami" redakcyjnymi. Piotr miał do mnie o to pretensje, złościł się, że nie mogę być dziennikarzem nie żyjąc życiem środowiska. Ale mnie do tego co pisałam, do tych moich kawałków ani ważnych, ani znaczących, to "życie" nie było potrzebne. Byłam więc sama — i nie pojechałam.

Przełamatałam swoją bierność niedługo później, kiedy Komisja Krajowa — chyba z powodu rejestracji — była w Warszawie i Wałęsa miał potem konferencję prasową w KIK-u. Przyszłam tam o ósmej wieczorem, pełno było dziennikarzy, większość znała się z Gdańska. Czułam się

okropnie, siedziałam z boku. Ale bardzo chciałam się doczekać Wałęsy. Przyjechał wreszcie o północy, konferencja trwała do czwartej nad ranem. I do dziś noszę w sobie ten obraz, pamięć bycia w środku czegoś, co się staje i jest bardzo ważne.

Zaraz potem, w redakcji, zaczęłam czuć, że obok rzeczy ważnych i wspaniałych, zaczynają się najróżniejsze rozróby, takie na fall. Przyszło zebranie zespołu, które miało wyrzucić naczelnego. I wyrzucano go za wszystko: za komunizm, za skurwysynstwo, za podkładanie ludziom świni. A mnie się wydawało, że jak się człowieka wyrzuca, to trzeba mieć przeciwko niemu zarzuty konkretne i prawdziwe. Oczekiwałam reagowania na rzeczywistość w prawdziwych wymiarach.

Byłam się o tym mówić. Byłam się przeciwstawiać powszechnym opiniom. Nastrój był taki, że moje zastrzeżenia mogły brzmieć po prostu dwuznacznie. Ale w końcu wstałam i powiedziałam, że jeśli już mamy go wyrzucać, to może za brak zainteresowania redakcją, za złą politykę personalną. Dla mnie to była różnica. Ale zostało to potraktowane właściwie jako zdrada. Wtedy łatwo było tak oceniać.

Potem jakoś to się unormowało i uchodziłam za osobę będącą pośrodku. Nowy naczelny miał do mnie pretensje, że nie namówiłam szefa "Solidarności" do racjonalności, a ten z kolei krzyczał na mnie, że po cholere słucham naczelnego — drania, komunisty, skurwysyna, którym ten naczelny przecież nie był. Był małym człowieczkiem i tyle.

To co działo się w redakcji powodowało, że nabierałam dystansu. Ale nie szokowało mnie to, nie dziwiło specjalnie. Znałam przecież tych ludzi, ich słabości. Dopiero w stanie wojennym, po weryfikacji, kiedy ci, z którymi mogłam się nie zgadzać, ale którym przypisywałam jakiś wymiar nawet jako przeciwnikom, nagle robili się mali, małutcy i kłamali, zaczęłam mieć poczucie jakiegoś zawałania się.

Potem wyrzucono mnie z pracy. Szybko trafiłam do "katakumb" — środowiska "zbuntowanych" twórców, także dziennikarzy, zbierających się w podziemiach kościoła — zauroczona sprawami, które tam były do załatwienia i fascynującymi ludźmi, którzy się tam znaleźli. I kiedy zobaczyłam, jak ci fascynujący znów załatwiają swoje małe sprawy — przygięło mnie.

Zadzwonił jeden z dziennikarzy, chciał mi wcisnąć paczkę, tłumaczyłam, że nie potrzebuję, żeby dać komuś innemu. Wydawało mi się jednak bardzo sensowne, że środowisko organizuje pomoc, szybko więc trafiłam do kościoła, w którym dziewczyny przygotowywały te paczki. Zaczęłam pomagać, dostałam swoje rejony do "obstuzenia", rozwiołam to co było, bojąc się trochę, bo jeszcze nie było wiadomo, jak władze na to zareagują.

Na początku byłam pewna, że to co robię jest potrzebne. To była jakaś recepta na niepewność stanu wojennego, to było też poczucie jakiegoś miejsca. Jedno się straciło — jest drugie. Dla mnie było to miejsce przypadkowe, przejściowe, ale na razie jedyne. Potem zaczęłam się bać, że ono będzie jedyne na długo i że nie będę miała od tego miejsca żadnej odskoczni. Ale godziłam się na tę sytuację, choć to miejsce mnie guliło, choć nie czułam się pewnie.

Wszyscy chodzili tam na Mszę i po Mszy się spotykali. A ja nie. Poszłam raz, bo chciałam usłyszeć kogoś, kto na tej Mszy mówił. To nie jest przecież tak, że ja na Mszę nigdy, za nic w świecie nie mogę. Ale też nie jest to mój nawyk, moja wiara. Przypominały mi się te sytuacje z dzieciństwa, kiedy tak trudno mi się było pogodzić z tym, że jestem inna, że się wyróżniam.

Co z tego, że nikt mnie nie zmuszał do dokonywania jakiegoś wyboru? Czułam, że sytuacja, która powstała, stwarza nacisk. Niby nie ma go bezpośrednio, ale ja go czuję.

Ktoregoś dnia ktoś zapytał mnie o moje imię: skąd ono jest, takie dziwne. — "Jak to, nie wiesz..." — powiedział śmiejąc się chłopak, którego bardzo lubię i o którym wiem, że nie mógł mieć nawet cienia złośliwej intencji. Potem ktoś inny zapytał, dlaczego nie jestem razem ze wszystkimi na Mszach. I też nie złego w tym pytaniu nie było. Naprawdę, nic by mnie nie kosztowała odpowiedź, gdyby nie wszystko to, co było do tej pory.

Jeszcze coś było w tym środowisku, co mnie dotykało, na co drętwiałam. To dotyczyło spraw w gruncie rzeczy małych i głupich: jakiegoś chowania ciuchów, odkładania butów. Pewne osoby były lepsze, nietykalne.

Nagle też w wyborach i deklaracjach ludzi, którzy od początku stanu wojennego wiele dla mnie znaczyli, zaczęłam dostrzegać nie tylko ich wzgląd na prawdę. Także — podporządkowywanie się opinii czegoś, co nazwałabym "naszą koterią".

Mnie się zdaje, że w nas wszystkich siedzi ta koteryjność. I często wchodzimy w różne układy, a potem tylko przypadek sprawia, że nie wytażą z tego jakiejś brzydkiej rzeczy. Nie znoszę tego. I wiem, że ludzie, do których miałam o to pretensję — też nie znoszą. A mimo to ulegali, podbarwiali prawdę w interesie koterii.

Wtedy, w tym ostatnim okresie, zaczęło się walić moje przekonanie o tym, że strona, do której dołączyłam po Marcu, jest czysta. Nie wiem, czy w ogóle na świecie istnieje coś takiego, jak środowisko absolutnie wolne od małostkowości, słabości. Ale wtedy przestało mi już starczać siły na to nieustanne rozważanie, rozumienie, usprawiedliwianie. Płakałam, nie mogłam tego znieść, ale też nie potrafiłam o tym powiedzieć. Wiedziałam, że jeśli zacznę przeciwdziałać, stracę to miejsce, w którym byłam. Wiedziałam też, że jeśli nic nie zrobię, będę musiała — aby zachować twarz wobec siebie samej — odsunąć się. Poczucie, że moje miejsce znów nie istnieje, przytłaczało mnie coraz bardziej.

Piotr powiedział mi kiedyś, że za dużo wymagam od siebie i innych. Tego wymagania też już miałam dość. Straciłam nadzieję na to, że moich "wymagań" ktoś wysłucha i że to cokolwiek zmieni na lepsze.

Spasowałam. Już nie miałam siły nawet rozmawiać o tym wszystkim. I wyjechałam.

Przyjechałam do kraju, w którym teraz mieszkam, zetknęłam się z polską emigracją, trafiłam na to samo. I jeszcze dodatkowo na takie wyjątkowo silne, drażniące mnie, akcentowanie własnego żydostwa u ludzi, którzy przyjechali tu po 1968 roku.

Uspokoiło mnie trochę, że jestem blisko rodziców, którzy są po prostu starzy i trzeba się nimi coraz bardziej opiekować, a nie mają tu nikogo poza moim bratem, który w gruncie rzeczy przynosił im — starym ludziom, którym nie wyszło w życiu — tylko cierpienie. Bo i rodzice, i mój brat jakby stanęli na tym 1969 roku, kiedy wyjeżdżali. Rodzice wciąż szukają we wszystkim, co było i co jest, świadomego działania przeciw Żydom. Brat nie umie sobie poradzić z goryczą wygnania, która jest tym silniejsza, że chciał wrócić do Polski i nie dano mu na to pozwolenia.

Na początku było mi za ciężko, myślałam, że tego nie wytrzymam, chciałam wracać. Mogłam. Córka była ze mną, ale Piotr jeszcze czekał w kraju. Tak się umówiliśmy. Ale w tym, że muszę zostać, utwierdzała mnie wtedy świadomość, że w Polsce już niczego nie znajduję. Tyle lat byłam po tej drugiej stronie, robiłam to, co robiłam, zapierałam się, buntowałam. Po co? Po to, żeby jasno określić swoje korzenie, żeby w Polsce właśnie je odnaleźć. A wyjeżdżałam z takim kontrolowanym — bo wiedziałam, że nie do końca usprawiedliwionym, ale jednak — żalem człowieka odrzucanego z powodu żydostwa, z powodu bycia po drugiej stronie, z powodu tego wszystkiego razem.

W tym nowym kraju czułam się tak, jakbym nie miała żadnego przydziału. A tak chciałam go mieć. Tak chciałam, żeby coś wreszcie w moim życiu było jasne, proste, jednoznaczne.

Pojechałam do Izraela. Pojechałam z moim ojcem, żeby poznać jego rodzinę. Cała świadomością trzymałam się myśli, że jadę do kolejnego obcego kraju, kraju jak każdy inny. Ale gdzieś w piętach, w skórze był niepokój — co, jeśli nagle okaże się, że to jest mój kraj, jeśli poczuję, że tam są moje korzenie? Bardzo się denerwowałam, kiedy jechałam. Wsiadłam z samolotu i od razu zobaczyłam ludzi przewijających się w domu przez całe moje dzieciństwo — typy w każdym razie te same.

Siedziałam któregoś dnia nad jeziorem Genezaret, zachodziło słońce. Myślałam, że tak samo było tutaj dwa tysiące lat temu i że ja pewnie czułabym się w tym miejscu tak samo dobrze wtedy, jak teraz.

A potem, w ortodoksyjnej żydowskiej dzielnicy Jerozolimy, zobaczyłam nagle — jak w polskiej literaturze — pejsy, chałaty. I miałam poczucie *déjà vu*. Zastanawiałam się, czy nie czułabym się tu lepiej, niż gdzie indziej na świecie.

Piotr, który już wtedy był razem z nami, mówił mi, że jestem egzaltowana. Ja myślę, że mam tę egzaltację w normie, na zwyczajnym babskim poziomie. Dzisiaj mnie jednak, że w tych dwóch miejscach dopadły mnie takie myśli. I znów byłam zagubiona: czy moje korzenie są tu, czy jednak nie? Czy one są w ogóle, czy nie ma ich wcale? Czy zdobędę wreszcie jakiś przydział?

Spotkałam się z rodziną ojca. W nim samym zresztą też coś się odblokowało i rozmawialiśmy zwyczajnie — i o tej ślicznej dziewczynie ze Lwowa, i o braciach.

A potem wróciłam do domu i zaczęłam mojej córce opowiadać o tej rodzinie — o ciotkach i wujkach, których poznałam. I wreszcie nie było to opowiadanie abstrakcyjne, teoretyczne, tylko naturalne. I córka — też zwyczajnie — nabrała ochoty, żeby tam pojechać i tę rodzinę odwiedzić.

Pracuję jako opiekunka społeczna, robię bardzo konkretne rzeczy, które zapewniają mi poczucie przydatności. Moja natura bardzo potrzebuje konkretności i w tym sensie ta praca daje mi satysfakcję.

Robię też teatr z dziećmi. To są polskie dzieci, ale nie jestem z nimi po to, żeby wystawiać patriotyczne składanki i utrzymywać je w polskości. Tak samo pracowałabym z dziećmi szwedzkimi czy hebrajskimi, gdyby nie bariera językowa.

Fascynują mnie i dzieci, z którymi mam bardzo dobry kontakt, i teatr. Przypadkiem okazało się, że mam wyobraźnię, której się u siebie wcale nie spodziewałam i nawet jakieś talenty aktorskie. Ja — która zawsze bała się mówić, kiedy w pokoju były więcej niż trzy osoby.

Robimy wszystko razem, od początku do końca: dzieci piszą bajki, które wplatom potem w teksty literackie, wymyślamy i tworzymy scenografię, lalki, kostiumy. A do tego ja, ta bałaganlara bez talentu organizacyjnego, zachęcam do współpracy rodziców, znajduję sponsorów, lokale. Czasem nie potrafię zrealizować niektórych pomysłów; brakuje mi fachowej wiedzy. I chociaż to jest wielki wysiłek — i finansowy, i językowy — być może stać mnie będzie na to, żeby pójść na studia lalkarskie, chociaż pewna tego jeszcze nie jestem.

Chyba wreszcie pogodziłam się z tym, że nie jestem ani tylko Polką, ani tylko Żydówką, że jestem p o m i ę d z y. Mówię "chyba", bo jednak bardzo trudno mi się na to zgodzić. Za dużo barier narosło przez lata, za daleko to zaszło we mnie, w moim mężu.

Tutaj, w nowym kraju, czuję, że od momentu wyjazdu z Polski bardziej noszę w sobie te polskie korzenie. Wszystko, co wywoziłam z Polski, mam w sobie i dużo więcej mi to daje niż wtedy, kiedy tam byłam i kiedy wszystko było źródłem zagrożenia.

Czasem mam wrażenie, że wyjechałam w ostatniej chwili, że przez to zdołałam coś zachować, zatrzymać. Być może gdybym została, zatraciłabym zupełnie sens. Bo przez te wszystkie sytuacje, które zdarzały mi się w życiu, potraciłam tylu ludzi, o których myślałam, że mogę ich bez zastrzeżenia akceptować. Tuż przed wyjazdem bałam się, że będę już tylko tak tracić, następnych i następnych. Wyjeżdżając zatrzymałam chociaż garstkę, i dałam sobie trochę oddechu, żeby znów rozumieć i usprawiedliwiać tamtych, którzy okazali się trochę mniejsi niż myślałam.

I to pomaga mi żyć tutaj. Mnie i być może mojej córce, która nagie, parę miesięcy po wyjeździe, stała się okropna patriotką i nie pozwala widzieć niczego co polskie na czarno czy choćby na szaro.

Nie myślę już, że jestem cudzoziemką. Może — trochę — sublokatorką. Ale nikomu nie muszę już niczego udowadniać, opowiadać. Jestem tu, bo jestem, z rodzicami czasem mi trudno, ale to już nie są takie kontakty "szarpiące trzewia".

Mam 45 lat. Coraz bardziej czuję się autorka własnego życia. Czuję, że ja to jestem ja.

Rozmawiała i przygotowała do druku Ewa Zyllńska

Home Coming

Rozmowa z profesorem Zygmuntom Baumanem

— *Dwadzieścia lat po Marcu jest Pan znów w Warszawie. To trudna sytuacja.*

— Wracałem do Warszawy "zindoktrynowany" przez Alfreda Schutza, autora pięknego eseju o tym, co po angielsku nazywa się *home coming*, a co trudno przetłumaczyć wiernie na język polski. Chodzi o powrót do domu, przyjazd do niego po raz wtóry. Esej jest obszerny, ale streszcza się do myśli banalnej: że ów *home coming* jest przyjazdem człowieka, który już nie istnieje, do miejsca, którego także nie ma. Są natomiast oczekiwania: ludzie na miejscu spodziewają się zobaczyć kogoś, kogo pamiętają sprzed lat, ten który przyjeżdża — myśli podobnie. Porozumienie w tej sytuacji jest bardzo trudne.

Bałem się więc tego przyjazdu.

Ale po pierwszym szoku na lotnisku Okęcie, kiedy już po przejściu kontroli paszportowej zawrócono mnie i żonę w sposób niezbyt uprzejmy, kazano czekać i wyjaśniano telefonicznie sprzeczność między faktem posiadania przez nas wizy a istnieniem naszego nazwiska na liście osób niepożądanych w kraju; po zamęcie w głowie na widok twarzy, których nie widziałem od lat — wślizgnąłem się w sytuację. Już na drugi dzień zaczęło mi się wydawać, że podejmuję rozmowy przerwane dwadzieścia lat wcześniej, że właściwie nic się w tym czasie nie zdarzyło — ani mnie, ani ludziom tutaj.

Spędziłem też kilka dni na konferencji, zorganizowanej przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN, w gronie polskich, przede wszystkim, filozofów i socjologów, z których większości nie znałem — kiedy wyjeżdżałem, byli studentami czy nawet uczniami. I nie miałem — zdaje mi się — problemów z porozumiewaniem się z tymi ludźmi, mieliśmy wiele wspólnych tematów i sprawiło mi to niesłychanie wiele radości.

Polska jest zadziwiająco podobna do tej, z której wyjeżdżałem, przy wszystkich oczywistych zmianach. Ale zmiany były najmniej zaskakujące — o nich przecież czytałem, rozmawiałem z ludźmi, którzy przyjeżdżali do Anglii. To zaś, o czym się na ogół nie dyskutuje — przeciętny poziom bytu, stosunek kłoscarki do klientów, funkcjonowanie autobusów — zmieniło się bardzo niewiele.

Tak więc moja pamięć nałożyła się na rzeczywistość i jakoś nie odczuwam rozdźwięku między nimi, one pasują do siebie. Nie ma między nimi przepaści, którą trzeba by zasypywać. I jeśli z tego wszystkiego wynika jakikolwiek morał, to taki zdaje się, że duchowa odległość między emigracją a krajem jest mniejsza, niż by się wydawało. Znacznie mniejsza niż odległość geograficzna, spotęgowana w dodatku przez czysto zewnętrzne trudności w komunikowaniu się. To jedno z moich największych zaskoczeń.

— *Dlaczego zdecydował się Pan przyjechać?*

— Dlatego, że przyjechać mi pozwolono. Nigdy nie obrażałem się na kraj. Czekałem tylko. I chodziło mi nie o to jedynie, aby wizę polską dostać, także o to, by dostać ją na zaproszenie instytucji, którą szanuję. Przyjechałem więc na zaproszenie Uniwersytetu Warszawskiego.

Jeszcze dwa lata temu uzyskanie wizy byłoby prawdopodobnie niemożliwe. Moja córka, malarzka, która wyjechała z kraju mając lat dwanaście i wybierała się do Polski właśnie dwa lata temu z wycieczką malarzy angielskich, nie otrzymała jej. Ambasador Staniszewski, do którego poszła wyłóżać się, pomiędzy koniackiem a całowaniem rączek spytał, czy podziela poglądy polityczne swego ojca. Lidka odpowiedziała, że w ogóle nie ma żadnych poglądów, że jest zajęta wyłącznie swoim malarstwem — ale wiza jednak nie dostała. Tym bardziej więc nie wchodziło to w grę w moim wypadku.

— *Czy to znaczy, że Pan w ogóle nie próbował?*

Rozmowa odbyła się w Warszawie w 1988 roku. Tekst złożony do druku w KARCIE nr 7.

— Nie, nie próbowałem.

— *Lęk przed odmową był tak wielki?*

— Po prostu: wizyta w kraju nie stawała przede mną jako realna możliwość, a nie myśli się na ogół o rzeczach nierealnych. Ludzie z mojego, że tak powiem, paragrafu próbowali — i nawet w bardzo dramatycznych przypadkach, kiedy wchodziła w grę choroba czy śmierć kogoś z rodziny, dostawali odmowy.

— *Jak się żyje z poczuciem, że nie można pojechać do własnego kraju?*

— Przeżyłem tak dwadzieścia lat. Kiedy zaproponowała mi Pani rozmowę na temat życia na emigracji i zacząłem się nad tym zastanawiać, zaskoczyło mnie, że właściwie nie myślałem o sobie w tych kategoriach.

Gdyby się jednak zastanowić: pojęcie emigracji może być negatywne lub pozytywne. Negatywne w takim sensie, że jestem po prostu poza krajem, nie jestem tam. Nie określa ono bytu istniejącego, określa raczej jego brak, to czego w nim nie ma i być nie może. Pozytywne pojęcie emigracji wymaga czynienia z faktu emigracji sensu istnienia, budowania z absencji jakiegoś pozytywnego układu. Tego drugiego zdaje się u mnie nie było.

Mieszkam i pracuję z dala od jakichkolwiek ośrodków emigracyjnych. Instytucje polskie w Leeds — dawniej liczne — znikają. Został właściwie jeden polski kościół, przy nim polski lub katolicki ksiądz i paru bardzo starych panów, którzy z reguły pożenił się z Angielkami i, których dzieci nie mówią z reguły po polsku; oni czasem wspominają jeszcze, że byli spadochroniarzami, mieli górna i chmurną młodzież... Tak więc w pozytywnym sensie jest to emigracyjna pustynia.

Zostałem "wrzucony" w to miejsce jako profesor socjologii na uniwersytecie. Sądziłem, że molch studentów mało w gruncie rzeczy obchodzi, skąd przyszedł ich profesor, że nie powinni być karani za to, że wybrali Leeds, a nie Manchester bądź York tym, że będą studiować miast socjologii egzotyczne problemy egzotycznego profesora. Uważałem, że powinienem grać rolę normalnego, brytyjskiego naukowca. Nie chciałem też, by oceniając książki, które napisałem w Anglii, czyniono ułgi z tego powodu, iż jestem emigrantem, iż jest to moje życie zastępcze, druga seria — że tak powiem.

Tak więc logika sytuacji narzuciła mi sposób, w jaki odnosiłem się do spraw polskich.

— *Rozumiem, że pewna ilość przypadków zaważyła na tym, że trafił Pan właśnie do Leeds. Ale dlaczego ostatecznie wybrał Pan to miejsce, wiedząc — czy przypuszczając choćby — w jaki sposób ono będzie Pana kształtowało?*

— Bardzo to pochlebne, co Pani mówi — że wybierałem, że decydowałem. W gruncie rzeczy niewiele było wyborów w moim życiu.

Zostałem asystentem na Uniwersytecie Warszawskim dość dawno, w 1952 roku. I jeszcze w 1967 roku, gdyby mi ktoś powiedział, że przejdę na emeryturę gdziekolwiek indziej, nie uwierzyłbym.

W moim życiu przeważa pewna bierna odmiana konsekwencji. Poprzednie wybory określały następne. Tak też stało się z Leeds. Ja go nie wybierałem. Po prostu po wyjeździe z Polski dostałem telegram z pytaniem, czy chciałbym porozmawiać z tym uniwersytetem w sprawie pracy. Wiedziałem, że to miasto na północy Anglii, wielki ośrodek przemysłowy czasów wiktoriańskich. Spojrzałem na mapę, sprawdziłem jak się tam dojeżdża. Zona ucieszyła się, że jest tam bardzo renomowany Instytut Sztuki, bo jedna z naszych córek chciała studiować malarstwo. To także zaważyło. Odpowiedziałem więc "tak", przyjechałem, zostałem.

Od tego czasu wyjeżdżałem do wielu innych uniwersytetów na semestr, na kilka tygodni, nigdy jednak nie rozważałem na serio myśli o przeniesieniu się gdzie indziej na stałe. Nadzieja, że można uciec od problemów zmieniając miejsce geograficzne, wydaje mi się płonna. Problemy są w nas.

Prawdopodobnie więc przejdę na emeryturę w uniwersytecie w Leeds. Wolałbym oczywiście w Warszawie. Skoro to się jednak nie udało... Nie mam zamiaru szukać szczęścia gdzie indziej.

— *Dlaczego wobec tego wyjechał Pan z Polski?*

— Trudno to sobie wyobrazić, trzeba było przy tym być. Kiedy otwierało się rano gazetę, kiedy naciskało guzik radia... Tak się złożyło, że z grupy akademików uniwersyteckich, z niewiadomych przyczyn, Brusa i mnie wybrano jako obiekty największych oszczerstw. Nami po prostu wycierano sobie gębę, pomawiano o rzeczy niegodne, moralnie uwiączające: nieuczciwość, dwulicowość, nieszczerłość. Tego było takie mnóstwo, wymysły były tak horrendalne, że ja się w tym dusiłem. Dzieci przychodziły zapłakane ze szkoły, bo koledzy wytykali im skwapliwie to, co usłyszeli, pojawiły się koszmarnie napisy w windzie... Wszystko to razem powodowało atmosferę nie do zniesienia. Odpowiadać na zarzuty, bronić się — nie mogłem, nie pozwalano mi. Musiałem — nie myśląc o konsekwencjach — postawić jakąś barierę między tym wszystkim a sobą. Jedynym sposobem była ucieczka.

Ja uciekłem pod wpływem tej propagandowej nagonki i moralnego obrzydzenia, mdłości, które odczuwałem.

Ale sama decyzja o wyjeździe wymagała ode mnie mniej inicjatywy niż ta, która ją poprzedzała — o wystąpieniu z partii.

— *Pamięta Pan ten moment?*

— Tak, zdecydowałem się 1 stycznia 1968 roku.

— *Jeszcze przed całym dramatem?*

— W końcu jestem socjologiem i wiedziałem dokąd sprawy idą. Widziałem, że odrzucone zostały ostatnie pozory uniwersalizmu, ogólnoludzkich wartości i odbywa się już tylko goła walka o władzę, która — jak sądziłem — będzie posługiwać się szowinistycznym populizmem. Więc oczywiście stawało się, że wreszcie trzeba podjąć decyzję w sprawie, która była dla mnie dramatyczna już od dłuższego czasu. W jakimś momencie trzeba jednak wyjść z tej partii, trzeba przestać to firmować nawet pośrednio, przez sam fakt przynależenia. Wielu moich kolegów, których szanowałem, miało ten luksus, że ich z partii wyrzucono. Mogłem się wtedy ująć solidarnością, odejść. Zabrakło mi energii, odwagi, nie wiem czego jeszcze. Nie uczyniłem tego. A partia się nade mną nie zlitowała, nie wyrzucała mnie.

Pamiętam, że siedzieliśmy z żoną w Lajkoniku na Placu Trzech Krzyży — nasze mieszkanie było już na podsłuchu — i rozmawialiśmy. Było pusto, bo ludzie przepici po nocy sylwestrowej odsypiali w domach. Zaczęliśmy się zastanawiać, jak to ma być dalej. Co mają w tych warunkach robić nasze córki, za które przecież też braliśmy odpowiedzialność.

Decyzja o wystąpieniu z partii była przekreśleniem całego dotychczasowego życia. I nie było łatwo wybrać moment, w którym powiem: ja już więcej nie mogę. Bo jeżeli mówię 1 stycznia 1968, że już więcej nie mogę, to przecież powinienem to wiedzieć dwa, trzy lata wcześniej. A jeżeli tak, to dlaczego nie wiedziałem piętnaście lat wcześniej? Tą decyzją dewaluowałem wszystko, co robiłem przedtem.

Ostatecznie 6 stycznia oddałem legitymację. Dlaczego właśnie w tym momencie? Nie wiem. Mogę tylko zacytować towarzysza Stalina, który powiedział, że zmiany ilościowe przechodzą w jakościowe. U mnie przeszły.

— *I decyzja o wyjeździe była tego prostą konsekwencją?*

— Nie. Wtedy, 1 stycznia, nie myśleliśmy o wyjeździe. To nie rysowało się jako perspektywa. Wiedziałem, że nastąpiły nieodwracalne zmiany gnilne w systemie — i nie miałem nadziei na to, że będzie można je naprawić. Ale przecież jak będzie wyglądał Marzec, tego sobie nie wyobrażałem.

— *Zaskoczyło Pana posługiwanie się argumentacją antysemitką?*

— Jako osobę — tak. Jako socjologa — po refleksji — mniej. To był wybór dokonany w sposób nawet racjonalny dla tego typu gry. Jeśli szło o skanalizowanie społecznego oburzenia na boczne tory, był to wybór sprytny i w jakimś stopniu nawet skuteczny.

— *Sprawa żydowskich korzeni nie była dla Pana przedtem istotna?*

— Przedtem było to naturalne. Byłem Żydem, urodziłem się taki, nigdy się od tego nie odcinałem, nie próbowałem — na przykład — zmienić nazwiska i twierdzić, że nazywam się Roch Kowalski. To co się stało w 1968 roku, to sklasyfikowanie Żydów polskich przez Gomułkę, podjęte później w całym kraju. Było tam miejsce dla tych, co zapierali się jakichkolwiek związków z żydostwem, było miejsce dla Żydów bardzo tradycyjnych, definiujących się tylko jako Żydzi. Nie było tam miejsca dla mnie, to znaczy dla Polaka i Żyda, polskiego Żyda, człowieka, dla którego godzenie tych dwóch rzeczy było dotąd bezproblemowe. Nigdy wcześniej nie widziałem w tym sprawy jakiegoś wyboru: że trzeba coś odrzucić i coś przyjąć, że jest jakiś konflikt między tymi dwoma aspektami mojej tożsamości. To że dzieci wyjeżdżały na kolonie organizowane przez TSKZ, to że matka i siostra żony wyemigrowały wcześniej do Izraela — w żadnym wypadku nie zdawało mi się kłócić z faktem bycia przeze mnie pełnoprawnym członkiem społeczeństwa polskiego. Biorąc pod uwagę świadomość tożsamości, kulturę, język, byłem Polakiem jak każdy inny.

Kiedy ten konflikt został zadekretowany, sytuacja się odmieniła. Bycie Żydem stało się problemem, w sprawie którego trzeba było coś zrobić. Jeśli więc zadekretowano, że jestem Żydem, postanowiłem być nim. Miałem taką samą reakcję jak amerykańscy Murzyni, którzy zamiast wstydić się swojej czarnej skóry, dodatkowo fryzują włosy na afrykańską modłę.

Ale ponieważ to, co robiłem ze szczerym przekonaniem, że robię dla dobra Polski, uznano za element światowego spisku syjonistycznego, w którym szło o to, by oddać Kraków Izraelowi, wydawało mi się, że stałem się takim królem Midasem na opak. I że jeżeli dotknięcie króla Midasa zamieniało wszystko w złoto, moje — zamienia wszystko w gówno. Przepraszam za nieprzyjemne słowo, ale ja tak to czułem. Ta ogólna definicja umożliwiała interpretowanie sensu wszystkiego co robię w sposób, który zapobiegał skuteczności tego. Czułem, że mogę tylko przeszkadzać, a nie pomagać kolegom. I że może lepiej będzie dla nich, jeżeli wyjadę, jeżeli nie będą musieli obok wszystkich pozostałych ciężarów nosić jeszcze i mojego na plecach.

Ślusznie czy nieślusznie — prawdopodobnie będę ten pogląd rewidował do końca życia — byłem przekonany, że ludzie, którzy nie mają tego dodatkowego, przypisanego mi garbu, nie nie zyskają na towarzystwie garbatego.

25 marca dowiedziałem się z radia, że wraz z pięcioma kolegami z Uniwersytetu zostałem zdjęty ze stanowiska za podsycanie studenckiego buntu i niespełnienie obowiązków wychowawcy. Straciłem pracę, odebrano mi legitymację uniwersytecką, zaczęły się telefony z pogrózkami, ubeckie samochody jeżdżące za mną krok w krok, potoki oszczerstw wciąły się z prasy, radia, telewizji.

W maju złożyłem podanie o wyjazd. Zdecydowałem się zostawić za sobą 42 lata życia. To było zamknięcie etapu w sensie zupełnie dosłownym. Wkrótce okazało się bowiem, że ludzie, którzy grali wtedy rolę celników, pozbawili mnie przy wyjeździe całego dorobku naukowego. Wszystkie notatki, prace, materiały gromadzone w ciągu całego akademickiego życia, każdy strzępek słowa pisanego — zabrano mi. Zonie odebrano opowiadania i pamiętniki, które pisała w getcie warszawskim. A ja musiałem potem, za granicą, na nowo konspektować między innymi Marksa.

Baliśmy się z żoną, że jeszcze przy wyjeździe może się nam coś przydarzyć. Na spacerze w parku ustaliliśmy więc, że wyjedziemy w sobotę w nocy, a udawaliśmy, że jedziemy w poniedziałek. Na poniedziałek zamówiliśmy administratora domu, któremu mieliśmy przekazać mieszkanie.

W sobotę o pierwszej w nocy obudziłem dzieci, które też nie były wtajemniczone, wsiedliśmy do samochodu i rzeczywiście — uspiliśmy czujność, nie było za nami ubeckiego samochodu.

— *Wyjechaliście do Izraela.*

— Tak, żona chciała odwiedzić matkę i chorą na raka siostrę. Poza tym najstarsza z moich córek wyjeżdżała zostawiając w więzieniu młodego człowieka, w którym była zakochana. Przypuszczaliśmy, że jeśli on wyjedzie, to właśnie do Izraela — jego ojciec był żydowskim poetą. To okazało się śluszne, moja córka została tam, pobrali się.

— Czy przyjęcie żydostwa "z zewnątrz" miało jakieś duchowe konsekwencje?

— To działanie na przekór miało swoje granice. Nie miałem zamiaru zostać w Izraelu. Nie uciekałem przed jednym nacjonalizmem po to, żeby popaść w drugi. I kiedy przekonałem się, że nacjonalistą żydowskim nie tylko nie byłem, ale nigdy być nie potrafię, wyjechałem z Izraela. Nie znoszą szeregowania ludzi, szufiadowania, budowania granic, wznoszenia barier. I nie sądzę, żeby coś istotnego zmieniło się wtedy w strukturze moich "ważności". To zaś, co nastąpiło, to większe poczucie solidarności z cierpieniami żydowskimi, zainteresowanie *Holocaustem*. Miałem poczucie nieuniknioności należenia do tego narodu, tej tradycji. Skoro i tak, niezależnie od mojego wyboru, należałem, uznałem, że warto poszukać, jakie wartości z tego wynikają.

— Jakież?

— Moja żona we wstępie do swojej książki napisała, że najtrudniej jest walczyć o to, by pozostać człowiekiem w niehumanitarnych warunkach. I tak się jakoś złożyło w historii Żydów — podobnie zresztą jak w historii Polaków czy Irlandczyków — że tych niehumanitarnych warunków było co niemiara. Jeżeli w takich warunkach zachowuje się godność ludzką, to zachowuje się też zdolność tolerancji, odmawia się noszenia kołskich okularów, próbuje się postrzegać ludzkość jako gatunek wspólny, który ma ten sam los. I to jest właśnie zwycięstwo w tej próbie. Tradycja żydowska — okazało się — miała mi tu równie wiele do zakomunikowania, co tradycja polska.

Przypominałem sobie przy tym mojego dziadka, który z bardzo mizernym rezultatem, bo ja to odbierałem jako mękę, usiłował nauczyć mnie Biblii. Jedną z przypowieści nagle wróciła z mojej podświadomości. To była historia o mędrcu, co wędrował z parą osłów niosących juki z żywnością i spotkał na drodze żebraka, który prosił go o kęs chleba. "Poczekaj chwilę — muszę rozwiązać juki" — powiedział mędrzec. Ale zanim owe juki rozwiązał, głód zatryumfował i żebrak umarł. Wtedy mędrzec padł na kolana, wznosił modły do Boga i prosił go: "Ukarz mnie za to, że zaniedbałem bliźniego". W dzieciństwie to mi się wydawało straszliwie nieracjonalne, nielogiczne — przecież mędrzec chciał dać ten chleb, rozwiązywał worek. Nagle zacząłem rozumieć głęboki sens tej opowieści: że w warunkach kiedy reguły gry są skrzywione, wszelki racjonalizm, kalkulacja, trzeźwe obliczanie szans — odpychają człowieka od obowiązku moralnego. I że w tych warunkach, wbrew logice, wbrew rozsądkowi trzeba oddać pierwszeństwo wartościom moralnym. Mędrzec żądał kary dla siebie, ponieważ racjonalne przeszkody nie usprawiedliwiają zaniechania moralnych obowiązków.

Myślę zresztą, że moje oczy — wytresowane w taki a nie inny sposób — wydobywały z tradycji żydowskiej to, co wydawało się ciekawe i bliskie. W końcu Stary Testament jest też pasmem okrucieństw, morderstw, przelewania krwi. Ja widziałem to, co chciałem zobaczyć.

— Znów bierność i konsekwencja?

— Tak. I było tylko sprawą czasu, kiedy wyjeździemy z Izraela. Najpierw uzyskałem nominację z australijskiego uniwersytetu w Cannberze, ale żona nie chciała jechać aż tak daleko. Następną nominacją była z Leeds.

— Jest Pan tam do dziś. Czy to, co zaczęło się w Leeds, było na tyle satysfakcjonujące, na tyle zgodne z tym, czego się Pan od życia spodziewał, że nie trzeba było robić żadnych gwałtownych kroków, by to zmienić?

— Na ogół o generalnym celu życia myśli się rzadko, ten cel chowa się jakby pod wielością celów instrumentalnych. Trzeba, na przykład, załatwić szkołę dla córek, trzeba by one tę szkołę skończyły, potem idą na studia, potem je kończą. Jest do napisania książka, ma się poczucie spełnionego celu, kiedy ona się ukazuje i odbywają się debaty na jej temat. I właściwie wśród tych zajętych dni nie myśli się jakoś o latach, dziesięcioleciach.

Wszyscy wiemy, że umrzemy, ale żyjemy tak, jakbyśmy mieli żyć wiecznie. Sprawy generalne rozważane są w związku z tym rzadko. Tak to właśnie wyglądało w moim życiu: od książki do książki, od jednego cyklu wykładów do drugiego, od matury córek do uniwersytetu...

— Nie buntował się Pan przeciwko temu?

— Można buntować się filozoficznie, nie sędzę jednak, żeby praktycznie można było wiele zdziałać.

Sens mojego życia nie jest dobrze widoczny w powodzi cząstkowych zadań, którym trzeba było poświęcić tyle energii.

— Spróbujmy eliminować: ten sens nie sprowadzał się do bycia Polakiem na emigracji...

— Nie. Żaden ze sposobów ukuwania bytu na emigracji z polskiego tworzywa nie był moim sposobem. Ani postawa niezłomności, która jest charakterystyczna dla emigracji powojennej i wyraża się odmową przyjęcia brytyjskiego obywatelstwa, ale też nieakceptowaniem powojennej polskiej rzeczywistości. Ani tworzenie polskich instytucji, charakterystyczne dla emigracji pomarcowej czy posolidarnościowej. Bardzo szanuję, na przykład, pracę "Aneksu" i grupy Aleksandra Smolara, staram się pozostawać z nimi w kontakcie, ale nie jestem organizatorem, to nie jest mój "pełny etat".

— Dlaczego?

— Kiedy wyjechałem z kraju, sugerowano mi, żebym został specjalistą socjologii, politologii wschodniej. Odmawiałem, nie chciałem przeżywać drugiej części mojego życia odcinając kupony od pierwszej. Uważałem — słusznie czy niesłusznie — że to będzie niewiastywe, niegodne. Nie chciałem, żeby kraj, z którego wyjechałem, czy typ systemu politycznego, jakiego kraj jest przedstawicielem, a jakiego się wyrzekłem, stał się bazą mojej egzystencji naukowej. Uważałem, że godniej będzie odtworzyć moją socjologiczną egzystencję w nowych warunkach. Wszystkie moje książki, które wydałem za granicą, mieszczą się w ramach ogólnowiatowego dyskursu socjologicznego, nie ogniskują się na sprawach polskich.

— Jak właściwie można to określić: jest pan Polakiem, Brytyjczykiem? Kim?

— Dla moich kolegów socjologów w Anglii, Bauman to jest "ten Polak". Przyznają mi to, czego w pewnym momencie odmówiono mi w kraju. Nigdy nie miałem w Anglii ambicji asymilatorskich, zresztą nie sędzę, aby tam było możliwe udawanie, że jest się kimś, kim się nie jest. Angielska tolerancja pozwala mi być sobą i jest to sytuacja niesłychanie wygodna.

— Ale też trudna — niejednoznaczna.

— Ja nie uważam, że jednoznaczność jest cnotą, nie uważam, że jest sytuacją płodną. To się kłóci z tym, co mówiłem o przewadze bierności w moim życiu, ale bardzo dobrze się czuję w sytuacjach niejasnych, wieloznacznych, w sytuacjach intelektualnego niedopowiedzenia. Uważam, że są to sytuacje najbardziej płodne. Mieszkam w Anglii, ale nie jestem wmontowany w tę rzeczywistość. W związku z tym mogę być duchowo niezależny. Uważam, że to idealna sytuacja dla pracy intelektualnej. "Należenie" jest sytuacją przyjemną emocjonalnie, prawdopodobnie też wartościową moralnie, ale zarazem intelektualnie niebezpieczną. Z "należeniem", z byciem osadzonym w jakiegokolwiek grupie wiąże się niebezpieczeństwo instynktu stadnego. Łatwo zamienia się jeden dogmatyzm na drugi, walczy się z jednym dogmatyzmem w imię innego. A ja nie mam żadnego obowiązku, nie jestem pod żadnym ciśnieniem, nikt mnie do żadnego dogmatyzmu nie skłania...

— To się wiąże z samotnością.

— Tak. Ale to jest dylemat naszych czasów, bo marzymy o dwóch rzeczach całkowicie sprzecznych: o społeczności i autonomii. Społeczność bez autonomii jest niewolą, autonomia bez społeczności — to samotność. Gdzieś pośrodku między tymi dwoma biegunami leży życie. W zależności od potrzeb charakteru, od typu pracy, jaką się wykonuje, od sposobu wmontowania w społeczeństwo, sprzyja się bardziej jednemu albo drugiemu biegunowi. Ale żaden z tych biegunów nie jest do przyjęcia, trzeba lawirować pośrodku.

Moje życie ułożyło się tak, że jestem bliżej bleguna autonomia — samotność. Ma to zalety, ma wady. W moim wieku dawno już nie wierzy się, że istnieje sytuacja złożona z samych zalet. Wiem, że za dużo społeczności to męka, za dużo autonomii — także. Zapewne skazani jesteście na szamotaninę się pomiędzy.

— Ten rodzaj refleksji przychodzi z doświadczeniem, z wiekiem. Mógłby stać się Pana udziałem również tutaj, w kraju. Z tego punktu widzenia: nie żałuje Pan decyzji o wyjeździe?

— Powiedziałem już, że nie sądzę, aby jakikolwiek problem można było rozwiązać przenosząc się z miejsca na miejsce. Sartre miał rację: albo jesteś wolnym tu i w tej chwili, albo nigdy i nigdzie. Więc gdybym został, prawdopodobnie prędzej czy później doszedłbym do takich samych wniosków. Szok, jakim była emigracja, ułatwił mi to tylko. W tym sensie Marzec był dobrodziejstwem. W ciągu paru tygodni rozbił mity, które rozkładały się powoli i mogłyby rozkładać się w sposób gnilny i cuchnący przez długi jeszcze czas. Na przykład mit o tym, że to, co niedobre w systemie, to wynik błędów i wypaczeń, że istnieje jakaś inna, lepsza jego wersja, czekająca gdzieś w kącie i tylko trzeba ją odkurzyć, wydobyć. Mit o tym, że można porozumieć się z władzą, że może istnieć twórcza i użyteczna symbioza między społeczeństwem a państwem.

Dla mnie osobiście najważniejsze było jeszcze jedno: nabrałem wstrętu i obrzydzenia — i to jest jeden z głównych tematów moich prac emigracyjnych — do samej idei inżynierii społecznej. Idei, która zmierza za pomocą czołgów albo socjotechnicznej manipulacji do stworzenia warunków, które będą determinować jakiegoś idealne zachowania.

Gdybym tu został, zapewne snułbym teraz podobne rozważania. Nie wiem jednak, czy przekonania byłyby tak klarowne, czy doszedłbym do nich tak łatwo, czy sformułowałbym je dla siebie tak jasno.

— Więc nie żałuje Pan decyzji wyjazdu?

— Nie wiem. Zazdroszczę ludziom, którzy zostali.

— Czego?

— Pełni życia. Nadziei na to, że ich praca coś znaczy, że rzeczywistość byłaby inna, gdyby oni nie robili tego co robią, że to waży...

— W Leeds nie ma Pan takiego poczucia?

— Zupełnie.

Powiedziałem wczoraj moim kolegom — pół żartem, ale i pół serio — że wspaniałe jest, iż ludzie tutaj ciągle jeszcze chcą korzystać z nagłej, niespodziewanej w pewnym sensie, wolności intelektualnej, którą kraj sobie wywalczył. W Anglii wolności jest co niemiara, tylko mało kto chce z niej korzystać, a ci co korzystają są uważani przez dużą część społeczeństwa za gorącogłowych albo kandydatów do klinik psychiatrycznych.

Wolność w Anglii przychodzi razem z nielotnością pracy intelektualnej. Działanie intelektualne ma znikomy wpływ na kształt wydarzeń, społeczeństwa, życia ludzkiego.

— Więc jaki sens ma Pana praca tam?

— To jest chyba mój polski rozpęd. Tutaj wyrobiłem sobie przeświadczenie o wadze intelektualnej debaty, o publicznym znaczeniu i odpowiedzialności intelektualisty. Gdybym był ukształtowany jako socjolog w Anglii, prawdopodobnie kontentowałbym się przyczynkarską działalnością badawczą i to tylko w ilości niezbędnej dla sprostania regułom gry akademickiej. Przekonywałbym uniwersyteckie instancje, że potrafię zrobić równie dobry stołek jak mój mistrz. W jakimś sensie odbiegam od angielskiego tła.

— Ale czy uprawianie socjologii ma wobec tego sens?

— Generalnie biorąc: socjologię odnosi się do działań ludzkich. Można kształtować

baż wpływać na działania ludzkie w dwojaki sposób. Można manipulować zewnętrznymi warunkami człowieka tak, aby prawdopodobieństwo wyboru takiego a nie innego sposobu postępowania było wysokie, a prawdopodobieństwo innego, z jakichś tam powodów niepożądanego — znikome. A można też to dostarczać władzy "tajemnej", niedostępnej z perspektywy prywatnych doświadczeń. Wiedzy o ukrytych, niewidocznych gołym okiem mechanizmach społecznych. Z nadzieją, że wiedza o tych mechanizmach pozwoli człowiekowi, po pierwsze — wybierać wartości ze znajomością rzeczy, a po drugie — kiedy te wartości zostały już wybrane, starać się o ich realizację w sposób bardziej dojrzały i bardziej skuteczny. Te dwa sposoby uprawiania socjologii są diametralnie przeciwstawne z punktu widzenia moralnego. Pierwszy sposób ogranicza wolność człowieka, podczas gdy drugi — mam nadzieję — powiększa ją.

Przez dwadzieścia lat mówiłem do młodych Anglików. Starałem się humanować w jakimś sensie ich egzystencję, oświecać im drogę. Jeśli chcą iść przez życie świadomie, chcą podejmować decyzje tam, gdzie inni idą tylko na fall — próbuję im pomagać. Z jakim skutkiem? Nie chciałbym przeceniać możliwości socjologicznej teorii, nie chcę twierdzić, że jest to warunek wystarczający wolności ludzkiej, ale zapewne jest to jeden z czynników, który tę wolność może powiększyć.

Wobec pierwszego sposobu mam od Marca niewiary intelektualną i moralną odrazę. Teraz rolę socjologa widzę skromniej: to tłumacz, interpretator, który powinien pomagać w dokonywaniu wyborów, ale nie dokonywać ich za innych, a już w żadnym razie nie dopomagać w tworzeniu takich stosunków, które determinują z góry wybory "pożądane". Ja nie rozczarowałem się w Marcu do konkretnego programu przekształcania społeczeństwa, ale do samej idei tego przekształcania. W związku z tym po nowemu zobaczyłem też rolę kultury, którą przedtem interpretowałem tylko jako emanację, wytwór struktur społecznych. Zacząłem traktować ją jako siłę bardzo niezależną, o wielkim potencjale twórczym, o swoim własnym mechanizmie rozwoju, a przede wszystkim — o absolutnie nieredukowalnej wielorakości. Wielorakość kultur przestała mi się wydawać elementem przejściowym, który zaniknie w ramach wytwarzania się kultury uniwersalnej, co miało nastąpić w drodze rozwoju społecznego jako postępu racjonalności. Wielorakość zaczęła mi się wydawać nie tylko zjawiskiem trwałym, ale także wartością. Wartością jest sam pluralizm. Samo to, że jest wiele kultur, samo to, że nie ma między nimi porozumienia, nie ma jednego wzoru. Samo to jest chyba esencją społecznego bytu...

— *Sensem?*

— Jeśli powiem "sens", dodam wartościujący sąd do konstatacji. Więc w tym miejscu zatrzymam się. Jeżeli pójdę dalej, to znów wystąpię w roli inżyniera społecznego, który wie lepiej, zna jeden wzór, ma jedną wizję...

— *Marksistowskie doświadczenie jest bardzo trwałym ogranicznikiem.*

— W jakimś sensie tak. Nie mam do siebie zaufania, a raczej mam zaufanie z ograniczeniem, z przypisaniami, niepełne. Jeżeli raz próbowałem i próbowałem źle... Sądziłem, że ja wiem lepiej, jak to dobrze może być w kraju — okazało się, że nie wiedziałem. W związku z tym, kiedy następnym razem znowu myślę, że wiem lepiej, staram się podejść do własnej wiedzy cynicznie. Z dystansem.

Ja przecież byłem komunistą, byłem komunistą ideowym, naprawdę przekonany, że można narodowi dać szczęście nie pytając go o zdanie.

— *Dlatego nie chciał Pan zajmować się na emigracji sprawami polskimi?*

— Tak. Choć nie tylko dlatego.

Zaproszono mnie do Leeds, ale oczywiście było, że muszę w jakiś sposób dowieść, że ta nominacja nie była pomyłką. Nie groziło mi zdjęcie z posady — raczej to, że uznają mnie za jakiegoś dziwoląga. Musiałem wyrobić sobie pozycję, udowodnić, że jestem socjologiem z prawdziwego zdarzenia, że słyszałem o wszystkich wielkich socjologach, mimo że przyjechałem z kraju tak egzotycznego jak "Jakaś tam Poland". Poza tym zostałem kierownikiem dużego zespołu ludzi. Byłem człowiekiem z zewnątrz i to w wieloraki sposób: z innej kultury, z innego języka, innego systemu politycznego, innego systemu

uniwersyteckiego. To wszystko wytwarzało naturalne zaniepokojenie moich kolegów. Tak że w latach siedemdziesiątych byłem zwyczajnie zajęty borykaniem się z tymi problemami, to konstituowało mój główny wysiłek. Właściwie aż do wybuchu "Solidarności".

— *Co wtedy?*

— Zacząłem myśleć o sprawach polskich, wypowiadać się. Wtedy pierwszy raz od dwunastu lat wróciłem do nich: analizowałem dla "Aneksu" fenomen "Solidarności" i wojskowy przewrót. Od tej pory pracuję w takiej czy innej formie nad sprawami polskimi. Nie łudzę się, że to co robię ma duże znaczenie dla kraju, bo kraj i tak jest błogostawiony przez Boga olbrzymią ilością mądrych ludzi tu, na miejscu. Myślę i piszę o sprawach polskich nie dlatego, żeby wywrzeć wpływ, ale dlatego, że inaczej nie mogę. Mam rozmaite pomysły. Ale tej śmiałości, ażeby przyjść do ludzi i powiedzieć: słuchajcie, ja wiem... — już nie mam. Na starość jestem czymś w rodzaju anarchosyndykalisty — to wydaje mi się jedyną moralnie czystą formą bytu społecznego. Myślę, że tylko młode pokolenie, które jeszcze nie błądziło, może mieć tę pewność siebie, która jest potrzebna dla skutecznego działania, ale za którą potem trzeba płacić. To kosztuje nie tylko tych, co błądzili, ale przede wszystkim społeczeństwo.

— *Wrócił Pan do Polski emocjonalnie. Nie miał Pan wtedy takich pokus, żeby tu przyjechać?*

— Wiedziałem, że to jest nierealne. Nawet za czasów "Solidarności" władze, które decydowały o wizach, nie zmieniły się. Więc musiałbym się chyba przekradać przez zieloną granicę.

— *Ale ja myślę o pokusach wewnętrznych.*

— Cóż z tego, że powiem Pani: były. Z takich prywatnych myśli nic nie wynika. Jeśli praktycznie nic nie uczyniłem...

— *Być może tamte myśli były potrzebne, żeby przyjechał Pan dzisiaj?*

— Może to prawda. Ja nigdy nie miałem innej... — użyję jednak słowa, którego chciałem uniknąć, bo tak dużo się z nim wiąże — ojczyzny. Ojczyzna to jest ta przestrzeń, gdzie człowiek, inaczej niż w innych miejscach, jest rośliną, a nie zwierzęciem. Ma korzenie, czerpie z gleby soki — zwierzęta biegają dookoła. Mogłem zmienić styl ubierania, nie zmieniłem swoich wyobrażeń o życiu szczęśliwym. Pod tym względem nigdy nie przestałem być Polakiem. W gruncie rzeczy wszyscy tutaj jesteśmy tak wychowani — to się przejawia w nieuchwytnych, trudno artykułowanych sposobach nawiązywania i podtrzymywania kontaktów, stosunków międzyludzkich.

— *To przejawia się także w zaściankowym przywiązaniu do własnych kompleksów.*

— Nie zgadzam się z pojęciem zaścianka. Kiedy przyjechałem, uderzyło mnie, jak dużo ludzie tu wiedzą, jak bardzo są otwarci, jak szeroki wachlarz zagadnień chcą i potrafią kompetentnie dyskutować. Warszawę uważam za intelektualną metropolię. Taki rozmach jest rzadko spotykany gdziekolwiek indziej. Może w Nowym Jorku, na Manhattanie, ale nawet tam — podobno — to się zmienia. Ukazała się ostatnio książka Russela Jacobi'ego, który konsekwentnie i z dużą ilością materiału dowodowego przeprowadza tezę, że życie intelektualne Manhattanu skończyło się właściwie w latach sześćdziesiątych, kiedy ci wybitni samotnicy intelektualni zostali zaproszeni na uniwersytety, dostali katedry. Ich studenci myślą już tylko o robieniu doktoratów, o podtrzymywaniu życia akademickiego. Polska jest wyjątkiem.

A paradoks polega na tym, że im bardziej stara się być z a c h o d n i ą, tym bardziej odbiega od tego, co naprawdę na Zachodzie się dzieje. Gdyby nagle Polska stała się rzeczywiście zachodnią, przypuszczam, że nastąpiłby tu proces szybkiego uwiadu intelektualnego, byłoby o wiele mniej ekscytacji, emocjonalnego zaangażowania w pracę intelektualną.

— *Jestem tutaj i często mam wrażenie, że praca intelektualna, o której Pan mówi, jest pozorna, nieistotna.*

— Rzutuje pani niski poziom codziennego bytu, który jest faktem, na życie duchowe. Ja nie wierzę, że byt określa świadomość. A jeżeli nawet określa, to w sposób zupełnie inny niż zakładał marksizm. Byt określa świadomość w tym sensie, że ta niestychana żywość i twórczość, jaka cechuje Polskę, wynika z pewnych elementów bytowych: jesteśmy tu, gdzie jesteśmy, nie możemy być gdzie indziej. Chcąc nie chcąc, jesteśmy wystawieni na wiatry ze Wschodu i z Zachodu, jedne zapraszamy w swoje żagle, inne dmuchają nieproszone. Wszystko jedno. Żagle zawsze są wydęte i to w sposób znacznie silniejszy niż gdzie indziej.

Zacofanie intelektualne to jest ostatnia rzecz, jaką by można Polsce przypisać. W konferencji, o której już mówiłem, brali udział ludzie o bardzo głośnych nazwiskach z Zachodu i ludzie o nieco mniej głośnych nazwiskach z Polski. W moim przekonaniu — chyba nie jest to zniekształcenie patriotyczne — referaty polskie stały wyżej właśnie ze względu na rozmach spojrzenia, głęboką świadomość historii i poczucie związku między, zdawałoby się, abstrakcyjnymi problemami filozoficznymi a losami ludzkimi. Tego związku, który dawno już uszedł uwadze zawodowych filozofów gdzie indziej. Oni całkowicie zadowalają się dalszym precyzowaniem pojęć, dodawaniem trzeciej możliwej interpretacji do dwóch już istniejących, dla nich związek tego co czynią z czymkolwiek co nie jest ich działalnością — niemal się zatracił. Więc nawet jeśli polscy filozofowie — znów myślę o konferencji — piszą o problemach na pozór tych samych, zajmują się na pozór grą według tych samych reguł, to — być może wbrew ich woli — przeliera przez wszystko co czynią ten horyzont, ten oddech historyczny, którego niewiele jest gdzie indziej.

— *Czy naprawdę mówi Pan o tym kraju, z którego wyjeżdża wciąż tak wielu ludzi?*

— Większość ostatniej emigracji jest emigracją czysto zarobkową: ludzie uciekają od uciążliwego bytu codziennego ku dobrobytowi, ku sytuacji, w której mogą się odprężyć, rozwinąć swoje umiejętności, talenty, inicjatywę gospodarczą. Sporo emigrantów próbuje przecież ustabilizować się w biznesie, niektórzy z powodzeniem. I nie wiem, czy ci ludzie narażeni są na rozczarowanie: jeśli idzie im o wyższy poziom życia, znajdują go prawdopodobnie, gdy tylko zdołają stawić czoła czemuś, co dla wielu jest upokarzające — naciskom konkurencyjnym. Konkurencja wydaje się błogosławieństwem i jest nim z punktu widzenia pomnażania dochodu narodowego. Niekoniecznie — z punktu widzenia wpływu na samopoczucie moralne. To jest przecież gra, która nie znosi ludzkich uczuć, słabości, sympatii do drugiego człowieka. Więc jeśli ci, co wyjeżdżają, są na to wszystko gotowi, nie rozczarują się, być może uzyskają to, o co im chodzi.

Co zaś do pobudek intelektualistów... Paradoxs polega na tym, że wolność jest potrzebna wtedy, jeżeli ma się z nią co zrobić.

Ja nie mogę budzić się co rano w moim mieszkaniu w Leeds śpiewając radośnie: "wspaniale, wspaniale, dzisiaj policjant nie przyjdzie". Bardzo dobrze jest, jeżeli policjant nie przychodzi i jeżeli to mi umożliwia robienie czegoś ważnego. Natomiast jeżeli ja i tak nie miałem zamiaru niczego ważnego robić — to właściwie cóż mi daje jego nieobecność?

A jeśli nawet mam coś do zrobienia... Ci, którzy sądzą, że wyjeżdżając na Zachód uzyskają większą wolność wypowiedzania się, mają przed sobą przykre rozczarowanie. Będą mieli możliwość wypowiedzania się. Tyle że mało kogo będzie to obchodziło. Prawie nikt tego nie zauważy.

Ale tak to już jest, że oczy otwierają się nam w jedną stronę po to, by zamknąć się na inną. Inaczej się nie da. Nie ma wyborów bezwzględnie — każdy wiąże się z szamotanem, z męką.

— *Dobrze jest zdać sobie z tego sprawę.*

— *Uświadomić sobie zakres własnych wyborów i unikać złudzeń. Tak.*

— *Dobrze jest też wrócić do rozmów przerwanych przed dwudziestu laty?*

— *W kulturze polskiej, która pełna jest przecież rozłak, emigracji, powrotów, jest coś*

takiego, co czyni dwudziestoletnią nieobecność mniej chyba istotną niż gdzie indziej. Problemy, z którymi borykają się dzisiaj myślący ludzie w kraju, są bardzo podobne do tych, z jakimi borykaliśmy się wtedy, kiedy Mrożek wystawił "Tango". Wynika to z sytuacji Polski: jej geopolityczne przekierowanie stanowi o kulturowym bogostawie, daje jej dojrzałość.

Sprzeczności między zaawansowaniem kulturowym a zacofaniem bytowym i strategią działania, które z tego wynikają — to dwa wątki, które przewijały się wtedy i teraz. Dzisiaj kompromitacja władzy jest większa, nadzieje na rozwiązanie tej kwadratury kąta — mniejsze, ale nadal jest to centrum narodowej problematyki. Poczuję się w domu podejmując te rozmowy.

— *W Leeds jest Pana fotel, biurko, lampa. Rozmowy — tutaj. Myśli Pan o tym, żeby wrócić?*

— Tak.

Są rzeczy, które odpychają i takie, co przyciągają. Odpycha — na przykład — strach przed sytuacją zależności od biurokraty. Zależności, która w tej chwili wydaje się zawieszona, ale która przecież za chwilę może wrócić. Nie zniósłbym tej sytuacji po raz wtóry. Ciągnie — możliwość zanurzenia się w tym żywym morzu myśli, emocji, możliwość uczestniczenia w niesłychanie bogatym i ekscytującym życiu intelektualnym kraju. Koledzy hamują mnie, mówią, że nawet życie intelektualne tutaj nie jest tak piękne, jak mi się wydaje, że zapał wychłócił w znacznym stopniu, że wiele było rozczarowań. Że tutaj także ludzie zaczynają rozumieć, iż wolność słowa przychodzi wtedy, kiedy słowo już się niespecjalnie liczy, bo idzie o rzeczy inne. Więc być może ja trochę przesadzam. Ale kontrast jest szokujący. Między tętnem życia duchowego tam i tu.

Jest jeszcze strach. Nawet jeśli uderza mnie to, jak mało ludzi w Polsce dzisiaj się boją, gdzieś tam w głębi, na jakimś trzecim poziomie, są jeszcze ciągle wspomnienia. I myśl, że dzisiaj jest jakaś porcja wolności, a jutro można rozkazać, aby jej nie było. Nawet jeżeli dzisiaj instruktorzy z KC nie przychodzą na Wydział Socjologii, jutro przyjść mogą.

— *A król Midas?*

— Raz sparzony — wciąż dmucham na zimne. I nie jestem pewien, czy pochodzenie znów nie może posłużyć zdyskredytowaniu mojej pracy. Tak się stało dwadzieścia lat temu — dlaczego nie miałyby się to powtórzyć? Zawsze można mi powiedzieć, że robię coś po to tylko, żeby umożliwić przyłączenie Krakowa do Senegalu. Boję się, że to poczucie zostanie we mnie do końca.

Wiem jednak, że pytanie "wracać — nie wracać" będzie dla mnie ważne. Za trzy lata zakończę służbę uniwersytecką w Leeds. Wtedy po raz pierwszy będę mógł wrócić bez perspektywy bycia zależnym od biurokraty w swej pracy intelektualnej. I wtedy będzie to problem niezależny, bo głównego argumentu "przeciw" — zabraknie.

A teraz? Wyjeżdżam jutro do Anglii i nie wiem, co to jest: powrót? odjazd?

Nie wiem, co właściwie będę robił jutro na lotnisku Okęcie.

Rozmawiała Ewa Żylińska

• Tematy "nie wyczerpane" w piśmie rozrastają się do książek. W druku: "Krajobraz po szoku" (o Marcu 68); w przygotowaniu: Leningrad 1941/42, Mazurzy, Rumunia-Piteszti, Izrael, codzienność stalinizmu.

• Jeden temat nie zmieścił się i w książce: losy Polaków pod okupacją sowiecką i na terenie ZSRR. Nie na siły redakcji. Z inicjatywy KARTY powstało ogólnopolskie Archiwum Wschodnie, zbierające świadectwa stamtąd.



Rys. M. Zieliński

1400zł



wydawnictwo
przedświt

Przedstawicielem KARTY jest

Małgorzata Giżejewska

02-917 Warszawa, ul. Morszyńska 7 m. 1

tel. 42-21-85 — we wtorki, środy i czwartki, 10⁰⁰-13⁰⁰